TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 19 – 25 listopada 2025 nr 47 (3985)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)

SENS ZAMIAST SENSACJI

Nasza droga żywność

Jak posprzątać po Ziobrze

Filmowi ministranci otwierają Kościół

Dlaczego naukowcy uciekają przed Trumpem

Moda na muchomora



STRONY 12–17

Przeczytaliśmy listy kard. Karola Wojtyły do Anny Teresy Tymienieckiej

Miłość i odpowiedzialność

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA



POLIN
Muzeum Historii Żydów Polskich

WYSTAWA STAŁA

Zobacz, usłysz, poczuj

1000 LAT HISTORII

ul. Anielewicza 6
00-157 Warszawa

polin.pl

Organizator

POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich

Mecenas Muzeum

ORLEN

Sponsor strategiczny Muzeum

tvn | WARNER BROS. DISCOVERY

Oficjalny przewoźnik Muzeum

LOT

Działania promocyjne wokół wystawy stałej realizowane dzięki wsparciu

KORET FOUNDATION

Wspólna instytucja kultury

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Warszawa

Stowarzyszenie Żydowski Instytut Historyczny w Polsce

KS. ADAM

Boniecki: *Sztuka bycia człowiekiem*

Historia medytacji XX wieku, o której w tym numerze pisze Maciej Bielawski, wiele mówi o możliwościach człowieka i o granicach ludzkich możliwości, znacznie szerszych, niż się potocznie wydaje. Słowem, mówi o człowieku rzeczy, których najczęściej nie zauważamy. Fascynacja Wschodem – zrozumiała choćby ze względu na kulturową odmienność – nie powinna przyćmiewać zainteresowania medytacją rodzimej strefy kulturowej, choć poznanie innej tradycji niż własna wyostrza wzrok i pomaga zauważyć coś, co we własnej było niedostrzegane lub uważane za oczywiste.

Czy zdolność do medytacji jest cechą człowieka jako takiego, czy też wytworem ewolucji, a może tylko właściwością niektórych ludzkich egzemplarzy? Ludzi medytujących było na świecie mnóstwo, ale trudno obronić się przed wrażeniem, że tych, co nie medytowali, było znacznie więcej. Punktem wyjścia jest samo pojęcie. Myślę, że jeśli za medytację uznamy każde myślenie wychodzące poza biologiczną egzystencję, wtedy grono medytujących w statystykach się powiększy. Może nawet uznamy, że wszyscy ludzie, choćby najprościej, tę praktykę uprawiają.

Wszystkie szkoły czy próby medytacji są dowodem niezwykłego wysiłku opanowania ciała, podporządkowania go wyższym władzom istniejącym w człowieku. We władzy ducha nad ciałem różne szkoły ascetyczne osiągały nieprawdopodobne wręcz wyniki. Chrześcijaństwo jednak, choć także czerpie z doświadczeń Wschodu, nacisk kładzie nie tyle na ascezę w sensie doskonalenia cielesnych uzdolnień, co na miłość bliźniego. Jest taka opowieść – chyba nie legenda – o św. Franciszku, którego kiedyś zbudziły pojękiwania któregoś z młodych braci. Okazało się, że ów młodociany adept Franciszkowej szkoły ascetycznej nie mógł wytrzymać głodu, wyniku praktykowanych we wspólnocie postów. Wtedy Franciszek wstał i nie wdając się w ascetyczne dyskursy, rozpalił ogień, ugotował krzepiący posiłek i dał go jęczącemu braciszkowi. Ponad wszystko miłość: taki jest morał tej opowieści, ale i istota chrześcijańskiej ascezy. Nie jest ona sztuką dla sztuki, ale środkiem służącym miłości bliźniego.



GRAŻYNA MAKARA

Chrześcijańska asceza przejęła i może przejmować wiele z doświadczeń wszelkich społeczeństw i religii, zawsze jednak pod warunkiem, że pierwsze miejsce będzie zajmowała miłość. Niewątpliwie, do niejednego wspólnego z innymi tradycjami wniosku doszliśmy, nie wiedząc o ich doświadczeniach. Są święci, którzy tak opanowali naturalne możliwości ciała, że widziano w tym zjawiska nadprzyrodzone. Są też święci, w których życiu nic takiego nie znajdujemy. Dlatego Kościół podkreśla, że heroiczny stopień miłości wcale nie musi być powiązany z nadzwyczajnością, cudami i zadziwianiem tłumów, że wystarczy dać swoje życie, żeby inni mieli życie, że święci są wśród nas, często nieodkryci.

Świętość bynajmniej nie musi łączyć się z ascezą, a nawet z medytowaniem, choć w życiu wielu świętych się łączyła. Święci to nie tylko abnegaci, zaniedbujący swoje zdrowie biedacy z wyboru, ale ludzie tacy jak inni, obecni w życiu, czynni, zasłużeni. Są święci, których życiorys mieści się na stroniczce maszynopisu, i są tacy, o których można napisać (i napisano) całe tomy. Nie ma to nic wspólnego z ich świętością. Ważne, by tego nie mieszać, by osiągnięć w sztuce bycia człowiekiem nie utożsamiać ze świętością. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego”

TP W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH „TYGODNIKA”

MARTYNA SIKORSKA-PIETRZAK:
Męskość: doskonale wiadomo, jaka powinna być. Krytykuje się to, co do niej „nie pasuje”. Jak się zmienia i jak wygląda dziś w Polsce?

SZYMON ŁUCYK:
Francuzi chcą wprowadzić podatek dla milionerów, jako pierwsi na świecie. Wymyślony przez lewicę, ma poparcie prawicy. Skąd taka zgoda?

MICHAŁ WALKIEWICZ:
Tomasza Schuchardta oglądamy dziś w „Domu dobrym”, w serialu „Heweliusz”. Za co kochamy najbardziej zapracowanego polskiego aktora?

Przez ponad 30 lat wysłali do siebie kilkaset listów. Korespondencja kard. Karola Wojtyły, a potem papieża Jana Pawła II i Anny Teresy Tymienieckiej, polsko-amerykańskiej filozofki, została udostępniona dla czytelników (Biblioteka Narodowa kupiła listy 16 lat temu).

Na naszych łamach czyta ją **MONIKA BIAŁKOWSKA** z zespołem redakcji „TP", który wspiera autorkę w odcyfrowywaniu ręcznego pisma. „Tymieniecka kochała Wojtyłę i pisała mu o tym wprost. Jaka miłość ich łączyła?" – pytała Białkowska w tekście „Filozofia miłości", który opublikowaliśmy dwa tygodnie temu. Wtedy zajęliśmy się listami, które filozofka wysyłała papieżowi w ostatnim roku jego życia.

W tym numerze nasza dziennikarka pisze o listach, które **KARD. WOJTYŁA** wysyłał **TYMIENIECKIEJ** na początku ich znajomości. „»Mieszam w to Pana Boga« – czytamy w liście napisanym wkrótce po ich rozmowie na wzgórzu w Pomfret, w sierpniu 1976 r. To jeden z najbardziej niezwykłych tekstów przyszłego papieża" – stwierdza Białkowska.

Ważne pytania w związku z tą korespondencją zadał Marcin Gutowski, dziennikarz TVN24, który jako pierwszy przeczytał listy, zwracając uwagę na interwencję mieszkającej na przedmieściach Bostonu Tymienieckiej w sprawie trwającego tam wykorzystywania seksualnego nieletnich przez księży, a także mechanizmów tuszowania tych historii przez przełożonych. „Sprawa skandalu zaszła bardzo daleko w świadomości społeczeństwa katolickiego. Reakcja Ojca Św. odebrana była słabo – zbyt późna i zbyt słaba. Trzeba koniecznie działać (sic!!)" – pisała do papieża. I – jak wynika z materiału – doczekała się tylko jednej, i to lakonicznej odpowiedzi. Reakcjami na podobne skandale u nas ma się zająć komisja powołana właśnie przez kard. Grzegorza Rysia, o której pisze **ARTUR SPORNIAK**.

W numerze polecam Państwu także tekst **JACKA K. SOKOŁOWSKIEGO** „Jak posprzątać po Ziobrze", który pyta, czy spór o sądownictwo da się w ogóle rozwiązać; reportaż **MARTY ZDZIEBORSKIEJ** o naukowcach z USA, którzy z powodu panującej tam atmosfery i cięć finansowych opuszczają kraj; a także rozmowę z **PIOTREM DOMALEWSKIM**, reżyserem filmu „Ministranci", który właśnie wchodzi do kin. ©℗



ANNA GOC
REDAKTORKA PROWADZĄCA

Dziennikarka i redaktorka. Autorka książek „Boniecki. Rozmowy o życiu", „Głuszy", za którą otrzymała Nagrodę im. Ryszarda Kapuścińskiego i Nagrodę im. Beaty Pawlak, oraz zbioru reportaży „Biegnij, mała, biegnij".



28 Jak posprzątać po Ziobrze
JACEK K. SOKOŁOWSKI:
Zostawmy na boku przestępstwa i miliony z Funduszu Sprawiedliwości. Zostawmy bieżącą potrzebę „rozliczeń", ba: zostawmy delikatną kwestię zdrowia byłego ministra. Porozmawiajmy o tym, co zasadnicze.



58 Moda na muchomora
MARCIN PIETRAS, TOMASZ SOBCZAK
Charakterystyczne, owiane baśniową aurą trujące grzyby stały się niezwykle popularne wśród zwolenników „medycyny alternatywnej" i poszukiwaczy odmiennych stanów świadomości.



78 Ofelia z rolki
KATARZYNA KARPIŃSKA
Niedługo po premierze najnowszego hitu Taylor Swift dyrektor Museum Wiesbaden kazał przenieść „Ophelię" Friedricha Heysera z kolekcji sztuki secesyjnej do audytorium. Tam będzie miała lepsze światło i wygodniej będzie przed nią nagrywać tiktoki.

GRAŻYNA MAKARA // MARYSIA ZAWADA / REPORTER // MARCIN PIETRAS // KATARZYNA KARPIŃSKA

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Timur i jego drużyna
ZBIGNIEW PARAFIANOWICZ

7-11 Komentarze i informacje

■ ■ KRAJ

18 Cud nad bulwą
MAREK RABIJ:
Co jest nie tak z polskim rynkiem spożywczym?

21 Polska we mgle
MAREK KĘSKRAWIEC:
Krajobraz polityczny po Marszu Niepodległości mocno się skomplikował

24 Żeby dom nie był wyrokiem
ROZMOWA Z JĘDRZEJEM DUDKIEWICZEM, *autorem książki o domach pomocy społecznej*

■ ■ OPINIE

28 Jak posprzątać po Ziobrze
JACEK K. SOKOŁOWSKI

■ ■ ŚWIAT

34 Drenaż Ameryki
MARTA ZDZIEBORSKA:
Zła atmosfera, cięcia finansowe, także strach: za sprawą polityki Donalda Trumpa USA przestają być mekką dla naukowców z całego świata

38 Sygnał dla świata
JACEK STAWISKI:
BBC ma kłopoty, nie tylko dlatego, że Trump żąda od niej odszkodowania

40 Duch dyktatora nad Hiszpanią
AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z ANDALUZJI: *50 lat po śmierci Francisco Franco pamięć o nim oraz o wojnie domowej wciąż dzieli społeczeństwo*

■ ■ WIARA

44 Spod chóru też słychać
ROZMOWA Z PIOTREM DOMALEWSKIM, *reżyserem filmu „Ministranci”*

TEMAT TYGODNIKA

12 Miłość i odpowiedzialność
MONIKA BIAŁKOWSKA
„Mieszam w to Pana Boga” – czytamy w liście Wojtyły do Tymienieckiej, wysłanym wkrótce po ich rozmowie na wzgórzu w Pomfret, w sierpniu 1976 r. To jeden z najbardziej niezwykłych tekstów przyszłego papieża.

14 Kalendarium 1973-78

KUBA SOWIŃSKI DLA „TP”



■ STRONY SPECJALNE ■

62 MUZEUM SZTUKI NOWOCZESNEJ

■ FELIETONY ■

11 BARTOSZ MINKIEWICZ
27 OLGA DRENDA **56** ELIZA KĄCKA
76 PAWEŁ BRAVO
82 TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE:
KUBA SOWIŃSKI DLA „TP”

48 Ślady ze Wschodu
MACIEJ BIELAWSKI:
Spójrzmy na XX wiek przez pryzmat wydarzeń, zjawisk i osób, które odcisnęły ślad na sztuce kontemplacji

50 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ HISTORIA

52 Szlachta w sutannach
ROZMOWA Z KAMILEM JANICKIM, *historykiem, autorem książki „Dziesięcina. Prawdziwa historia kleru w dawnej Polsce”*

■ ■ NAUKA

58 Moda na muchomora
MARCIN PIETRAS, TOMASZ SOBCZAK

■ ■ KULTURA

64 Ja, robot
MARCIN WILKOWSKI:
Sztuczna inteligencja wkroczyła do literatury, i co dalej?

68 Co kryje maska
PIOTR KOSIEWSKI:
Wojtkiewicz i Ensor to jedni z najważniejszych i jednocześnie najbardziej enigmatycznych twórców przełomu XIX i XX w.

70 Dickens i punk rock
JAKUB MAJMUREK:
„Ród Guinnessów” to epicka saga z Dublinem w tle

72 Kumple
RADOSŁAW KOBIERSKI:
Geoffroy de Lagasnerie i esej o przyjaźni

73 Polecamy

74 Pasja podwórkowa
ANITA PIOTROWSKA *o filmie Piotra Domalewskiego „Ministranci”*

75 Lekcja czytania
LEKTOR *o książce Ewy Bieńkowskiej „Dom powrotu”*

■ ■ ZMYSŁY

78 Ofelia z rolki
KATARZYNA KARPIŃSKA

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

„TYGODNIK” JUŻ CZEKA NA CIEBIE...
TO JEST MOŻLIWE – SPRAWDŹ AKTUALNĄ OFERTĘ NA WWW

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA



TIMUR I JEGO DRUŻYNA

Wraz z rosnącym skandalem korupcyjnym w Ukrainie pojawia się coraz więcej wątpliwości wokół przekazywania Kijowowi kolejnych funduszy. Europa nie chce karmić złodziei.

ZBIGNIEW PARAFIANOWICZ

POWYŻEJ:
Ujawniona afera uderza w prezydenta Ukrainy i jego zaplecze. Na zdjęciu: Wołodymyr Zełenski i szef jego biura Andrij Jermak (z prawej) w Kijowie, styczeń 2024 r.

Mityczny Midas w obydwu najbardziej popularnych wersjach jego historii uchodzi za symbol głupoty. W pierwszej, zamieniając wszystko w złoto, ryzykuje głód, gdyż szlachetny kruszec nie może zastąpić mu chleba ani wina. Złoto nie zastąpi mu też córki, którą przemienił dotykiem w pomnik. W drugiej wersji bohater legendy zmuszony jest nosić turban, gdyż bóg ukarał go oślimi uszami za niewłaściwy wynik sędziowania rywalizacji muzycznej między Apollinem a Marsjaszem.

W RZECZY SAMEJ i współczesna wersja tej legendy – kryptonimem Midas określono bowiem operację Narodowego Antykorupcyjnego Biura Ukrainy (NABU) przeciwko przestępczemu układowi w otoczeniu najwyższych władz państwa – spełnia wszelkie kryteria głupoty i prostactwa. Bliski kolega Wołodymyra Zełenskiego i zarazem główny złodziej, czyli Timur Mindicz oraz jego drużyna, kradną niemądrze. Nie wyciągnęli żadnych wniosków z rządów kleptokraty Wiktora Janukowycza, obalonego w 2014 roku przez Majdan. Tak jak on, Mindicz również żywi się państwem, pobierając haracz od wielu przetargów i usług zamawianych na koszt budżetu. Następnie pierze pieniądze, inwestując je w obce waluty lub krypto. Interesy w Atlancie czy Moskwie – jurysdykcja nie ma znaczenia. Wróg przestaje być wrogiem, gdy w grę wchodzą ogromne zyski. Na razie mówi się o ok. 100 milionach dolarów.

SCHEMAT DZIAŁANIA jego twórcy określali mianem szlabanu. Jak wynika z nagrań NABU publikowanych w ukraińskich mediach, drużyna Timura, rozlokowana m.in. w strategicznej spółce Enerhoatom, dopuszczała do świadczenia usług na jej rzecz tylko te firmy, które były gotowe podzielić się prowizją wahającą się od 10 do 15 proc. wartości zamówienia. Jeśli ktoś nie chciał w tym uczestniczyć, czekał za „szlabanem" do momentu, gdy zmieni zdanie.

Z kolei w przypadku spółki Fire Point ekipa Mindicza miała zawyżać koszty produkcji uzbrojenia, pompując ceny do nieracjonalnych rozmiarów. Płaciło oczywiście państwo. Komponent wojskowy ma być zresztą drugą częścią „studia nagrań", które NABU stworzyło w domach skorumpowanych osób.

Mindicz jako właściciel spółki Kino Kit zarabiał również na współprodukcji czegoś, co określa się mianem telemaratonu. To wspólny program telewizyjny nadawany od początku wojny – w imię jedności narodu – przez największe stacje w kraju. O ile na początku miało to jakiś sens, dziś telemaraton służy głównie realizacji przekazów dnia, które płyną od szefa administracji prezydenta, Andrija Jermaka, również kolegi Mindicza.

NAJCIEKAWSZE w tym wszystkim jest jednak coś innego. Propaganda Wołodymyra Zełenskiego już nakłada ruskie onuce tym, którzy nagłaśniają Midas *gate*. Tymczasem mieszkanie w centrum Kijowa, które stanowiło tzw. *back office* do rozważań, jak kraść i jak prać pieniądze – należy do rodziny Andrija Derkacza, byłego oficera Służby Bezpieczeństwa Ukrainy, przed wojną szefa Enerhoatomu. Derkacz to zarazem zdrajca, który po wyborach w USA w 2020 r. został objęty przez USA sankcjami za rozpowszechnianie materiałów szkalujących Joego Bidena, ale dopiero w 2023 r. stracił obywatelstwo Ukrainy. Z paszportem rosyjskim pełni dziś funkcję senatora Rady Federacji, a przez Amerykanów uznawany jest za oficera rosyjskiej Służby Wywiadu Zagranicznego.

PREZYDENT ZEŁENSKI i jego zaufany Jermak próbowali chronić cały ten prymitywny układ, uderzając w służbę antykorupcyjną. Mimo że pół Kijowa plotkowało o wielkiej aferze na szczytach władzy, wrogiem Zełenskiego było – i jest – NABU, a nie skorumpowani ludzie. Przy rekonstrukcji rządu, której dokonał kilka miesięcy temu, zdymisjonował jednego z uczestników afery, wicepremiera Ołeksija Czernyszowa. Kolejnego, ministra energetyki Hermana Hałuszczenkę, przesunął na inne stanowisko, szefa resortu... sprawiedliwości. Być może po to, by mógł zyskać większy wgląd w Midas *gate*. Równocześnie z rekonstrukcją, Zełenski zaczął przy pomocy SBU *de facto* likwidację NABU. Biuro, aby przetrwać, uruchomiło przecieki do mediów, które zmusiły do interwencji zachodnie rządy; rozpoczęło też aresztowania wśród ludzi z drużyny Mindicza. On sam, jako przyjaciel głowy państwa, mógł liczyć na przeciek i kilka godzin przed rewizją jego mieszkania, 10 listopada tuż po godz. 2 w nocy wjechał do Polski przez przejście w Budomierzu luksusową taksówką. Mercedes S-350 należał do firmy byłego wysokiego funkcjonariusza ukraińskiej Straży Granicznej. Potem Mindicz miał odlecieć do Izraela.

WSZYSTKO TO dzieje się w szczycie unijnej dyskusji o wykorzystaniu zamrożonych rosyjskich aktywów przez Kijów. 200 mld euro mogłoby wystarczyć na dwa do trzech lat prowadzenia wojny. Kolejne transze miały być przekazywane jako pożyczki pod zastaw przyszłych roszczeń Ukrainy wobec Rosji. Wraz z narastającym skandalem (wątek energetyczny jest tylko wierzchołkiem góry lodowej) dyskusja o pieniądzach dla Kijowa może się jednak radykalnie zmienić. Już dziś można usłyszeć, że pożyczki nie mają sensu, bo ekipa Zełenskiego je rozkradnie.

Najbardziej znany kleptokrata ukraiński Wiktor Janukowycz z racji braku finezji w złodziejstwie określany był mianem szybkobogackiego. Mindicz i jego świta zreprodukowali taki sam porządek. Obok Rosji, ten wewnętrzny przestępczy układ jest dziś największym wrogiem Ukrainy. Podobnie jak i ci, którzy go chronią. ©

Autor jest publicystą „Dziennika Gazety Prawnej".

SERGEY DOLZHENKO / EPA / PAP



Niemiecki test

JACEK STAWISKI

Partie tworzące dziś koalicję rządową w Niemczech – chadecy z CDU/CSU i socjaldemokraci z SPD – chcą, by w ciągu dekady Bundeswehra stała się jedną z najsilniejszych armii europejskich w ramach NATO. Uzgodnione właśnie między koalicjantami plany reformy zasad poboru zakładają, że do 2035 r. służyć będzie w niej 260 tys. żołnierzy (dziś to 182 tys.), a rezerwistów będzie 200 tys. (dziś jest ich o połowę mniej).

Nowe zasady są kompromisem. Wprawdzie nie będzie przywrócenia – co niektórzy postulowali – obowiązkowej służby wojskowej (zniesiono ją w 2011 r.), ale od 2026 r. wszyscy mężczyźni, którzy urodzili się w roku 2008 i później, będą poddani obowiązkowej rejestracji w komisjach wojskowych i badaniom lekarskim (to na wypadek, gdyby kiedyś, w sytuacji zagrożenia, konieczna była powszechna mobilizacja). Będą też wypełniać kwestionariusz, określając swój stosunek do służby. Rząd ma nadzieję, że bez przywracania starego poboru uda się zapewnić odpowiednią liczbę żołnierzy i żołnierek.

Jeśli tak się jednak nie stanie, sposobem na rekrutację ma być losowanie wśród mężczyzn nadających się do służby.

Wielkim orędownikiem rozbudowy Bundeswehry i zachęcania młodych do służby w armii jest socjaldemokratyczny minister obrony Boris Pistorius. To polityk popularny w społeczeństwie, znacznie bardziej niż jego macierzysta partia SPD. Pistorius nie bawi się w żadne niuanse i od początku rosyjskiej agresji przeciwko Ukrainie podkreśla potrzebę zmiany myślenia o wojnie i pokoju. Wtórują mu eksperci i wojskowi, którzy ostrzegają, że Rosja w krótkim czasie może podjąć decyzję o rozpoczęciu gorącej wojny przeciwko Europie.

Pistorius stale podkreśla gotowość Niemiec do wsparcia wschodniej flanki NATO na wypadek zagrożenia. Także z jego inicjatywy do Polski trafiły niemieckie patrioty i samoloty, dla ochrony naszego nieba przed Rosją. Minister patronuje rozbudowie niemieckiego kontyngentu na Litwie, gdzie kilkuset Niemców tworzy trzon NATO-wskiej grupy bojowej; prócz tego do 2027 r. na Litwie ma stacjonować pełna brygada Bundeswehry (4,8 tys. ludzi).

Ogłoszenie nowych zasad rekrutacji zbiegło się z 70. rocznicą powstania Bundeswehry. W 1955 r., dekadę po II wojnie światowej, Niemcy Zachodnie stały się ważnym ogniwem Sojuszu. Był to też krok ku odbudowie niemieckiej wiarygodności po czasach nazizmu. Dziś rozbudowa potencjału Bundeswehry także będzie testem na wiarygodność Niemiec wobec sojuszników, w tym Polski – w czasie zagrożeń dla wschodniej flanki NATO i całej Europy. ©℗



PIOTR RATAJSKI / / ARCHIWUM PRYWATNE

PROF. WOJCIECH FELESZKO, PEDIATRA:

Komunikację w sprawie obowiązkowych szczepień oddajemy walkowerem

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Według sondażu CBOS dla „Dziennika Gazety Prawnej" 13,4 proc. Polaków jest za odejściem od obowiązkowych szczepień, a kolejne 11 proc. chciałoby poluzować przepisy. Skąd takie nastroje?

WOJCIECH FELESZKO: Staliśmy się ofiarami własnego sukcesu. Szczepienia, dzięki którym doprowadziliśmy *de facto* do wyeliminowania wielu groźnych chorób, sprawiły równocześnie, że wielu z nas groźby tych schorzeń w ogóle nie doświadczyło – a w konsekwencji nie widzi potrzeby ochrony przed nimi. Skoro ludzie nie widzą na co dzień błonicy, krztuśca, mogą swobodnie głosić pogląd, że szczepienia są niepotrzebne.

Nic bardziej mylnego – tylko dzięki obecnemu kalendarzowi szczepień, rekomendowanemu przez WHO, udaje nam się trzymać w ryzach najgroźniejsze schorzenia zakaźne. A gdy pojawia się lokalnie choćby niewielkie poluzowanie, widzimy to od razu na szpitalnych oddziałach.

Pół biedy, gdy np. ciężki krztusiec dotknie zdrowego 20-latka. Gorzej, gdy spotka niemowlaka. Wówczas – jak było w przypadku małego pacjenta, którego leczyłem – może on się otrzeć nawet o OIOM.

W Polsce są obowiązkowe szczepienia m.in. przeciw gruźlicy, rotawirusom, krztuścowi, błonicy, tężcowi, odrze i różyczce. W 2023 r. padł rekord – 87,3 tys. przypadków odmowy zaszczepienia dzieci. Powinniśmy skuteczniej egzekwować ten obowiązek?

Skoro polskie państwo chce się wstawiać za dziećmi nienarodzonymi, to dlaczego nie ma chronić dzieci rodziców, którzy podejmują szkodliwe dla nich czy wręcz głupie decyzje? Obecnie głównym inspektorem sanitarnym jest dr Paweł Grzesiowski, który wziął się energicznie za porządkowanie systemu – ruszyły już prace nad elektroniczną kartą szczepień, dzięki której łatwiej będzie identyfikować osoby odmawiające obowiązkowej procedury. Przy czym ja sam nie jestem zwolennikiem karania rodziców – to zwykle osoby, które padły ofiarą złych podszeptów. Co innego osoby rozpowszechniające fałszywe informacje na temat szczepionek.

Tu pozwolę sobie na dygresję, ale ważną: badania z kilku krajów pokazały, że wpisy antyszczepionkowe w mediach społecznościowych bardzo często pochodziły od rosyjskich trolli. W Polsce takie badania robił prof. Dariusz Jemielniak i pokazały to samo. Warto mieć tego świadomość: jesteśmy obiektem hybrydowych ataków również w tym obszarze.

A czy państwo nie powinno aktywniej propagować szczepienia, mówiąc o ich pozytywnym efekcie?

Niestety, komunikację w sprawie obowiązkowych szczepień oddajemy walkowerem. Ta komunikacja nie może się sprowadzać do plakatów wywieszonych w przychodniach zdrowia. Mamy niezwykle aktywnych celebrytów antyszczepionkowych, aktywny STOP-NOP, jeszcze aktywniejsze rosyjskie boty i naszych własnych parlamentarzystów oraz byłego prezydenta Dudę, który negatywnie przysłużył się sprawie szczepień – sami jesteśmy bierni. Teraz Ministerstwo Zdrowia szykuje ponoć jakieś kampanie informacyjne, ale na razie działania państwa w tym obszarze uważam za niewystarczające. ©℗

Dr hab. Wojciech Feleszko jest pediatrą, immunologiem i pulmonologiem.



Safari i gniew

TOMASZ STAWISZYŃSKI

Wiadomość o śledztwie, które, na podstawie zawiadomienia włoskiego dziennikarza Ezio Gavazzeniego, wszczęła niedawno prokuratura w Mediolanie, brzmi niczym scenariusz ponurego thrillera. Oto w latach 1992-95, w trakcie wojny na Bałkanach, w kierunku oblężonego Sarajewa przyjeżdżać miały w tajemnicy wycieczki złożone z bardzo bogatych ludzi, głównie Włochów, żeby – za opłatą setek tysięcy dolarów – móc dla rozrywki strzelać z karabinów snajperskich do cywilów. Cennik – twierdzi Gavazzeni – był zróżnicowany, za dorosłego płaciło się mniej niż za dziecko, najbardziej pożądany cel.

Nic na razie o realnych dowodach w tej sprawie nie wiemy. Z jednej strony, eksperci oraz przedstawiciele brytyjskiego wywiadu i wojska, którzy stacjonowali w Sarajewie w latach 90., odnoszą się do sprawy sceptycznie. Zwracają uwagę, że przewożenie turystów z Zachodu na tereny wojenne byłoby niezwykle skomplikowane. Prawdopodobieństwo zaś, że – przy takiej skali przedsięwzięcia – dopiero po 30 latach rzecz odkryłby pojedynczy dziennikarz, wydaje się niewielkie. Z drugiej – wiele zbrodni wojennych z tamtego okresu pozostaje nierozliczonych i nieopisanych. Nagranie z 1992 r., na którym rosyjski pisarz Eduard Limonow strzela z karabinu maszynowego w kierunku Sarajewa, w czym kibicuje mu Radovan Karadžić, do dziś rodzi wiele pytań. A ludzkie okrucieństwo – wiadomo – nie zna granic.

Jednocześnie opowieść o skrajnie zdemoralizowanych bogaczach, którzy zabawiają się mordując niewinnych, wpisuje się idealnie w buzujące dziś dookoła nastroje.

Przy skrajnych i wciąż pogłębiających się nierównościach, poziom społecznego gniewu rośnie wykładniczo, a paliwem stają się dla niego tyleż faktyczne niesprawiedliwości, ile rozmaite teorie spiskowe. Najczęściej te, które odmalowują „klasy wyższe" wyłącznie w bestialskich barwach – co pozwala gorzej sytuowanym ustabilizować poczucie własnej wartości, ale zarazem prowadzi do coraz bardziej irrealnego obrazu świata.

Nie twierdzę, że tak jest w tym przypadku. Ale właśnie dlatego, że głównym problemem naszych czasów staje się zanikanie zdolności rozróżniania pomiędzy prawdą a fałszem, teorią spiskową a domniemaniem, fantazją a rzeczywistością – należy w tej sprawie (podobnie jak w wielu innych) zachować powściągliwość. I pozwolić działać instytucjom, których zadaniem jest tych granic staranne i żmudne ustalanie. ©

NA PUNKTY

SPEKULACJE
„Niestety potwierdziły się najgorsze przypuszczenia. Na trasie Warszawa–Lublin (wieś Mika) doszło do aktu dywersji. Eksplozja ładunku wybuchowego zniszczyła tor" – ogłosił na portalu X Donald Tusk. Wcześniej rzeczniczka MSWiA pisała o braku podstaw, by mówić o celowym działaniu i apelowała o rozwagę, bo „spekulacje mogą wywoływać niebezpieczne emocje i poczucie zagrożenia".

GROŹBY
„Teraz przeproś kłamco!" – napisał na portalu X szef MSWiA Marcin Kierwiński do Mateusza Morawieckiego w związku z wpisem byłego premiera o rzekomych zaniedbaniach służb po groźbach jednego z użytkowników portalu pod adresem prezydenta Nawrockiego; 19-latek, który wygrażał głowie państwa, został zatrzymany w ciągu 24 godzin.

INTERWENCJE
Na portalu X nagłośniono również planowaną w Niemczech aukcję prywatnej kolekcji przedmiotów należących niegdyś do ofiar hitlerowskiego terroru podczas II wojny. Po interwencji polskich władz aukcja została wstrzymana. ©℗



USS „Ford" u brzegu Wenezueli

DOMA MATEJKO

Stany Zjednoczone przeprowadziły w minioną sobotę na Morzu Karaibskim kolejny atak na łódź przewożącą kokainę. Takie operacje militarne, trwające od początku września, mają miejsce zaledwie ok. 90 mil od brzegu Wenezueli. Uzasadniając je, Donald Trump argumentuje, iż kokaina przemycana morzem bezpośrednio zagraża zdrowiu i życiu obywateli USA. Co roku ok. 58 tys. Amerykanów umiera z powodu przedawkowania – to więcej, niż zginęło żołnierzy USA podczas trwającej kilkanaście lat wojny w Wietnamie.



W odpowiedzi na to Nicólas Maduro (na zdj.) – odwieczny prezydent Wenezueli, przez większość własnych obywateli uważany za dyktatora – zarządził mobilizację wojska. Jego obawy wydają się słuszne, biorąc pod uwagę fakt, że Waszyngton uważa, iż wenezuelski prezydent jest liderem Cártel de los Soles – kartelu narkotykowego, który Stany uznają za organizację terrorystyczną. Trump wyznaczył nagrodę 50 mln dolarów za informację, które pomogłyby w zatrzymaniu Maduro.

Tymczasem z tygodnia na tydzień rośnie liczebność wojsk USA u brzegu Wenezueli. Największe zdziwienie budzi wysłanie tam USS „Gerald R. Ford", największego lotniskowca na świecie. Tak potężne siły wydają się nieproporcjonalne do walki z łodziami przemytników – tym bardziej że przez Morze Karaibskie transportuje się szacunkowo 17 proc. kokainy; pozostały przemyt drogą morską odbywa się na Pacyfiku.

Prawdziwym celem Trumpa jest zapewne wywarcie presji na Maduro i zmiana rządu w Wenezueli. W ubiegłym tygodniu sekretarz wojny Pete Hegseth ogłosił rozpoczęcie operacji „Południowa Włócznia". Liderka wenezuelskiej opozycji, María Corina Machado, laureatka tegorocznej Pokojowej Nagrody Nobla, opublikowała w sieci wideo, w którym wprost mówi, że „nadchodzi decydujący moment".

Warto dodać, że Wenezuela ma największe złoża ropy na świecie, a współpraca USA z nowym rządem w Caracas pozwoliłaby Trumpowi zyskać przewagę na globalnym rynku energetycznym. ©℗

PAVEL BEDNYAKOV / ASSOCIATED PRESS / EAST NEWS



Prezydent pragnie potulnych sędziów

MAREK KĘSKRAWIEC

Karol Nawrocki postanowił dosłownie potraktować termin „głowa państwa". Nie zadowala się przejęciem z rąk PiS roli głównego ośrodka opozycyjnego; chce jednocześnie stać się centrum władzy wykonawczej (choć wedle konstytucji Polską rządzi raczej rząd), a przy okazji sparaliżować parlament (czyli władzę ustawodawczą) oraz przejąć niektóre obowiązki władzy sądowniczej.

Strategia Nawrockiego zakłada ciągłe nękanie gabinetu Donalda Tuska i Sejmu poprzez seryjne wetowanie ustaw, więc można by mu już chyba nadać przydomek „antydługopisu", w przeciwieństwie do tego, który zmuszony był nosić Andrzej Duda. Wejście w rolę trzeciej władzy prezydent realizuje zaś poprzez blokowanie nominacji sędziowskich na wyższe stanowiska, czego dowodem jest niedawna odmowa awansów dla 46 sędziów, w większości młodych, którzy mieli przejść z sądów rejonowych do okręgowych.

Uzasadnienia odmów nie było, otrzymaliśmy tylko zdawkowe tłumaczenia z Kancelarii Prezydenta, wedle których rzeczeni sędziowie mieli w przeszłości kwestionować ustrój Rzeczypospolitej. Z analiz Onetu wynika, że zgrzeszyli kierując do OBWE prośby o objęcie nadzorem wyborów kopertowych, czy też żądając respektowania orzeczeń TSUE w sprawie niekonstytucyjnej Izby Dyscyplinarnej w SN.

Ostatecznie wyborów przy użyciu poczty nie udało się PiS zorganizować, a Izbę po protestach (wzięło w nich udział 4 tys. z 10 tys. wszystkich polskich sędziów) trzeba było i tak zlikwidować.

Każdy z 46 zablokowanych przez Nawrockiego sędziów został wcześniej zaakceptowany przez neo-KRS, upolitycznioną przez zmianę ustawy w 2018 r. i wciąż obsadzoną przez nominatów PiS. Logiki w działaniach Nawrockiego nie ma więc zbyt wiele, jest natomiast wyraźny sygnał polityczny. Każde zaangażowanie się sędziów w życie publiczne zostanie zapamiętane, a w swoim czasie – ukarane.

Za dwa lata wybory, które może wygrać silny blok prawicowy, pragnący surowo rozliczyć przeciwników. Do tego potrzebuje sędziów. Potulnych. ©℗



MARIAN ZUBRZYCKI / PAP

Kard. Grzegorz Ryś podczas konferencji prasowej dot. powołania komisji ds. badania wykorzystania seksualnego małoletnich. Łódź, 14 listopada 2025 r.

Kardynał Ryś powołał komisję do badania pedofilii

KOŚCIÓŁ W POLSCE ▪ Metropolita łódzki zgodnie z wcześniejszą zapowiedzią powołał niezależną komisję historyczną do zbadania zjawiska wykorzystania seksualnego osób małoletnich w archidiecezji łódzkiej. – Są dwa główne cele komisji: opisanie historycznej prawdy z wnioskami, które mają też mieć użyteczność prewencyjną, oraz dotarcie do osób poszkodowanych, o których jeszcze nie wiemy, i spotkanie z nimi – mówił „Tygodnikowi Powszechnemu" kard. Grzegorz Ryś.

Komisja zajmie się przypadkami wykorzystania małoletnich na terenie archidiecezji łódzkiej w latach 1945-2025. Jej przewodniczącym został sędzia Sądu Apelacyjnego w Łodzi dr Michał Kłos. W skład grupy powołani zostali psycholog, terapeuta i seksuolog dr Elżbieta Wróblewska i historyk dr Sebastian Adamkiewicz. Rzecznikiem prasowym komisji został dziennikarz Łukasz Głowacki.

14 listopada, podczas prezentacji komisji, kard. Ryś podkreślił, że nie ma co czekać na komisję ogólnopolską, „bo czas ucieka". Zaznaczył, że choć grupa ma charakter historyczny, to nie można wykluczyć, iż jej praca będzie miała skutki w postaci dochodzeń prawnych. Komisja ma opracować raport końcowy, który będzie opublikowany.

Po raz pierwszy o decyzji powołania grupy ekspertów kard. Ryś wspomniał w liście do diecezjan odczytanym 20 lipca. Zapowiedział wtedy, że gremium zacznie działać na jesieni. Niewątpliwie na jego decyzję wpływ miało odsunięcie na czerwcowym zebraniu plenarnym Episkopatu Polski abp. Wojciecha Polaka od prac nad komisją ogólnopolską. W liście metropolita łódzki napisał: „Wszyscy z pewnością słyszeliście o trwających od przeszło dwóch lat pracach, kierowanych przez Księdza Prymasa, zmierzających do ustanowienia przez Episkopat Polski komisji niezależnych ekspertów do zbadania zjawiska wykorzystywania seksualnego osób małoletnich w Kościele katolickim w Polsce. Wiecie też, że na czerwcowym posiedzeniu Konferencji Biskupów – prace w dotychczasowym kształcie zostały zatrzymane, i powierzone biskupowi Sławomirowi Oderowi – dla ich ewaluacji i – zapewne – przemodelowania. Wielu z Was o to pyta; wielu wyraża zaniepokojenie i zawód, wręcz protest".

Kardynał Ryś wtedy zastrzegał, że jego ruch nie jest „znakiem sprzeciwu" wobec decyzji Episkopatu, zapewniając, że gdy tylko komisja ogólnopolska zacznie działać, „komisja »łódzka« włączy się z pełnym zaangażowaniem w jej prace". Dał jednak do zrozumienia innym biskupom, że powinni w swoich diecezjach także powołać podobne gremia.

© ℗ ARTUR SPORNIAK

Patrz, jak to się robi

ROBOTYKA ▪ Nie od dziś wiadomo, że jeżeli celem jest stworzenie zręcznej maszyny, to trzeba ją po prostu cierpliwie nauczyć metodą prób i błędów. Problem w tym, że komputery uczą się wolno. Programy szachowe są znacznie lepsze od ludzi, owszem, jednak kto wie, jak dobry byłby ludzki szachista po kilkuset milionach partii? W przypadku robotyki nauczenie nawet najprostszej czynności wymaga zwykle setek lub tysięcy demonstracji. To czasochłonne, kłopotliwe i kosztowne (pomyślmy choćby o nauce smażenia jaj sadzonych).

Grupa naukowców z Imperial College w Londynie (Kamil Dreczkowski i współpracownicy) chwali się na łamach „Science Robotics", że ich robot (na zdj.) nauczył się 1000 zadań w ciągu zaledwie 17 godzin. Co istotne, każde z tych zadań zostało wcześniej zademonstrowane tylko raz, gdzie „zadanie" to czynność z udziałem rozmaitych przedmiotów codziennych, na przykład: „nalej mleko z kartonu do miski", „otwórz czerwoną torebkę" albo „odłóż talerz do zlewu". We wszystkich zadaniach pojawiło się łącznie 31 różnych elementarnych czynności (nalewanie, otwieranie, odkładanie...).



MATERIAŁY PRASOWE

Zadania wykonywał robot przemysłowy Sawyer (ok. 130 tys. złotych) wyposażony w dwupalczasty chwytak Robotiq 2F-35 (ok. 16 tys. złotych). Trening polegał na manualnym sterowaniu robotycznym ramieniem przez człowieka – to bardzo „wygodna" metoda, ponieważ robot ma cały czas dostęp do danych o swoim własnym położeniu i nie musi „tłumaczyć" z anatomii ludzkiej na robotyczną, jak w przypadku oglądania człowieka demonstrującego daną czynność.

Po otrzymaniu polecenia robot najpierw rozdziela zadanie na dwie fazy: przybranie pozycji początkowej (np. ustawienie chwytaka w takim miejscu, z którego można rozpocząć manewr chwycenia kartonika) i wykonanie samej czynności (chwycenie kartonika). Pierwsza faza wymaga sporego sprytu: trzeba zidentyfikować obiekt, wybrać „punkt startowy" odpowiedni dla danego zadania i opracować bezpieczną trajektorię. Druga faza wykonywana jest „na pamięć": robot wyszukuje spośród dostępnych mu nagrań takie, które uzna za najstosowniejsze, i mechanicznie odtwarza odpowiednią sekwencję ruchów.

Okazuje się, że ta mądro-głupia metoda ma niezłą skuteczność. Ogółem, robot wykonał prawidłowo 78 proc. znanych zadań i 66 proc. nieznanych (zadanie jest „znane", jeśli wystąpiło *expressis verbis* w bazie treningowej). Najlepiej wypadły czynności znoszące niedokładność, np. udało się 100 proc. prób zamiatania i 80 proc. prób zamieszania płynu. Gorzej z nabieraniem chochlą (55 proc.) albo przelewaniem wody (25 proc.). Ech, miło patrzeć, jak się te nasze dzieci uczą...

© ŁUKASZ LAMŻA

Powstaje ustawa o ochronie rynku książki



CEZARY PECOLD / FORUM

Po ponad 70 latach działalności zamknięto księgarnię PWN w Łodzi, 9 grudnia 2024 r.

KULTURA I RYNEK ▪ Nowy film Smarzowskiego „Dom dobry” postanowiło obejrzeć podczas jednego tylko weekendu (między 7 a 9 listopada) ponad 310 tys. widzów. Skąd to wiemy? Kina regularnie raportują informacje o liczbie sprzedanych biletów Głównemu Urzędowi Statystycznemu (GUS) oraz Polskiemu Instytutowi Sztuki Filmowej (PISF). Te instytucje z kolei agregują dane, a wyniki publikują w oficjalnych statystykach oraz materiałach prasowych. Obowiązek dzielenia się informacjami o naszych estetycznych preferencjach mają także muzea. Stąd wiemy, że w samej tylko Warszawie wystawę dzieł Chełmońskiego zwiedziło ponad 200 tys. osób (obecnie „Babie lato” i „Wieczór letni” można zobaczyć w Krakowie).

O ile galerie, kina, teatry oraz biblioteki mają obowiązek zliczania odwiedzających, o tyle hurtownie niechętnie przekazują komukolwiek informacje o tym, jakie książki kupujemy. Nawet Nielsen BookScan, największy panel agregujący tego typu dane, posiada wiedzę jedynie na temat połowy polskiego rynku książki. Brak obowiązku dzielenia się informacjami sprawia, że dystrybutorzy żądają od wydawców dodatkowych opłat za sprawozdania o sprzedanych książkach. Co więcej, zdarza się, że manipulują danymi (np. po to, by wydawcy zdecydowali się na dodruki wybranych tytułów), a po zamknięciu roku finansowego dokonują masowych zwrotów niesprzedanych egzemplarzy. Dlaczego? Ten model pozwala bowiem czerpać zyski z wtórnego obiegu książek.

W odpowiedzi na tę sytuację Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego po wielu miesiącach badań i rozmów rozpoczęło prace nad ustawą o ochronie rynku książki. Jeśli wejdzie ona w życie, dystrybutor oraz sprzedawca będą prawnie zobowiązani do kwartalnego przekazywania danych sprzedażowych do GUS (podobnie jak kino czy muzeum), dzięki czemu pisarki i pisarze oraz ich wydawcy będą mieli wreszcie bezpłatny dostęp do rzetelnych informacji o wynikach sprzedaży swoich publikacji. A my dowiemy się, co tak naprawdę lubimy czytać.

Zespół ds. pola literackiego, który pracuje nad ustawą, poza obowiązkiem przekazywania danych sprzedażowych postuluje jeszcze dwie ważne zmiany: jednolitą cenę książki (na okres 12 miesięcy) oraz regulowany prawem rabat dystrybucyjny w hurtowej sprzedaży książek. Obie kwestie są ze sobą powiązane, ponieważ wysokość rabatu najmocniej wpływa dziś na cenę okładkową książki. Wydawcy drukują na niej coraz wyższą cenę, by móc następnie odliczać od niej wymuszany przez dystrybutora rabat (problem polega na tym, że zawyżona cena pozostaje aktualna w księgarni stacjonarnej). O ile mediana rabatu dla dystrybucji wynosi 50 proc., to dla księgarń kameralnych ok. 38 proc., co sprawia, że małe punkty sprzedaży muszą wydawać na towar więcej i sprzedawać go drożej niż księgarnie internetowe. Po prostu nie stać ich na promocje, które robią duże sieci (często już w dniu premiery tytułu). To dlatego w 2024 r. z naszych miast zniknęły 82 księgarnie kameralne, a rok wcześniej zamknięto ich niemal sto. To ostatni moment, by zatrzymać ten fatalny trend. ©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

BARTOSZ MINKIEWICZ



Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

TEMAT TYGODNIKA

MIŁOŚĆ I ODPOWIEDZIALNOŚĆ

„Mieszam w to Pana Boga” – czytamy w liście Wojtyły do Tymienieckiej, wysłanym wkrótce po ich rozmowie na wzgórzu w Pomfret, w sierpniu 1976 r. To jeden z najbardziej niezwykłych tekstów przyszłego papieża.

MONIKA BIAŁKOWSKA

Z pewnością nie była to zwykła znajomość. I nie była to tylko przyjaźń. Była to relacja, która w każdym z uczestników powodowała rozdarcie i którą oboje próbowali nazywać w języku im najbliższym: filozofii i teologii.

W tym języku nazywali ją miłością.

Z lękiem i drżeniem: dzieje pewnej korespondencji

Kilkaset listów i pocztówek z ponad trzydziestu lat. Tysiące stron rękopisów. Dwoje autorów, z których jeden w międzyczasie został papieżem, a po śmierci go kanonizowano. Aura tajemnicy, bo zbiór tej korespondencji był przez lata niedostępny dla badaczy. Plotki o romansie i możliwym skandalu.

Czy uzasadnione? Jak rozwijały się kontakty krakowskiego arcybiskupa i polsko-amerykańskiej filozofki? Zajrzyjmy do listów kard. Karola Wojtyły do Anny Teresy Tymienieckiej z pierwszych lat znajomości [dwa tygodnie temu przedstawiliśmy listy Tymienieckiej z ostatniego okresu życia Jana Pawła II – red.], udostępnionych dziś dla badaczy w warszawskiej Bibliotece Narodowej. Spróbujmy odcyfrować, miejscami niemal nieczytelny charakter pisma.

W 1973 r., kiedy zaczęli tę wymianę, tytułował ją „Szanowna Pani Profesor” i podpisywał się „kardynał Karol Wojtyła”. Listy o kilka lat późniejsze otwiera zwrot „Droga Tereso Anno”, a kończą literki „KW” (jako papież – choć niezbyt często – obok „KW” dopisywał jeszcze „JP”).

Początkowo ich korespondencja ma charakter czysto profesjonalny: dotyczy kolejnych publikacji, ich tłumaczeń, udziału w konferencjach. Prof. Tymieniecka (przypomnijmy: ceniona fenomenolożka, wykładowczyni amerykańskich uczelni) zabiegała o obecność Wojtyły w międzynarodowych kręgach naukowych. Przesyłali sobie książki i artykuły – zwłaszcza ona umożliwiała mu dostęp do literatury, która w Polsce była wówczas nie do zdobycia. Tam, gdzie nie mógł być obecny, odczytywała przygotowane przezeń referaty.

Listy różnią się w tonie, co kilka razy wyjaśnia sam Wojtyła. Kiedy pisał do niej z Polski, był lakoniczny i oficjalny, świadom metod działania peerelowskich służb specjalnych. Zbierał więc raczej listy od Tymienieckiej i odpowiadał na nie zbiorczo, gdy wyjeżdżał z kraju. Wtedy mógł pisać bez obawy, że ta korespondencja wpadnie w niepowołane ręce.

Za granicą był więc bardziej swobodny. Przyznawał, że czyta jej listy wiele razy i że „dotykają spraw, które nosi w sobie”. Zachwycał się jej otwartością. Na ile wiedział już wtedy, w 1975 r., że budowana między nimi więź nie będzie zwyczajna? Co miał na myśli pisząc: „We mnie bowiem jest zawsze pewien lęk zmieszany z poczuciem odpowiedzialności. Może to echo owych słów u Pawła, z lękiem i drżeniem zbawienie swoje sprawujcie (a dopiero – drugich!). To poczucie jest tym większe, im większego Jej [czyli Tymienieckiej – MB] zawierzenia jestem świadkiem, a także im większe są te ciężary i doświadczenia życia, które ona dźwiga. (...) Ten cały kształt, jaki ona nadaje swemu zawierzeniu, jeszcze bardziej mnie przejmuje”.

Agape nie niszczy erosa: jak rozumieć Hymn o miłości

W liście z 10 lutego 1975 r. Wojtyła umawia się z Tymieniecką na rozmowę w Rzymie lub w Zurychu, które to miasta miał odwiedzić między 26 lutego a 1 marca. Z kolei 9 marca – prawdopodobnie po ich spotkaniu – odnosi się do dwóch listów, które od niej otrzymał; listów, które się nie zachowały.

Pisze: „Widzę, że jest koniecznie potrzebna gruntowna analiza znaczeń. Ponieważ nie miałem czasu jej przeprowadzić, przesyłam w załączniku tekst, który powinien coś wyjaśnić.

Proszę, abyś czytała I Koryntian 13 [chodzi o Hymn o miłości – red.]. Uprzedzam jednak, że dopiero po jakimś czasie znajdujemy w nim pełną weryfikację. Miłość ma bowiem

ARTURO MARI / VATICAN MEDIA



Jan Paweł II i Anna Teresa Tymieniecka, Watykan, 1989 r.

inny jeszcze wymiar niż eros, o którym napisałaś w książce i w listach. Jest to wymiar agape, którym kształtuje się autentyczna »communio personarum«. Polecam cię Bogu, który jest miłością. Kard. Karol Wojtyła". Z boku listu dopisane są jeszcze słowa: „Agape nie niszczy »erosa«, lecz go przekształca".

Co się wydarzyło na początku marca 1975 r.? Jakie słowa padły ze strony Tymienieckiej? Nieco światła na te pytania rzuca wspomniany „tekst z załącznika". Wojtyła modli się w nim, polecając Bogu Teresę, jej męża i ludzi, których spotyka. Znów natrafiamy tu na słowa, które powracać będą nie tylko w tej korespondencji, ale i w życiu papieża Jana Pawła II, a nawet w jego testamencie. „Polecam Ci Annę Teresę, którą w sposób szczególny mi zawierzyłeś – i która z Twojej łaski zawierzyła mi siebie, w tym wszystkim, co w Niej jest dobre, twórcze, głębokie, prawdziwe i piękne, a zarazem trudne i właśnie piękne. (...) Proszę Cię, Matko, o takie serce, abym odpowiedział zawierzeniu, którym mi zawierzono".

Zawierzenie – *Totus Tuus* – to dla Karola Wojtyły synonim oddania się w miłości, a zarazem dewiza jego pontyfikatu. W kategorii zawierzenia opisywał też relację z Teresą Anną – w tym kluczu rozumiał wagę jej daru i swoją odpowiedzialność. To Bóg – streszczając wywód przyszłego papieża – zawierzył ją Wojtyle i to ona sama siebie Wojtyle zawierzyła. Wojtyła zaś to jej zawierzenie przyjął. Na ile to doświadczenie go przemieniło?

Co to znaczy dar: emocje krakowskiego kardynała

27 marca 1976 r. Wojtyła znów odpowiada Tymienieckiej. „Pragnę ci za te wszystkie listy podziękować, bo są one ↦

Kalendarium

29 lipca 1973 Pierwsze spotkanie kard. Karola Wojtyły (1920-2005) z prof. Anną Teresą Tymieniecką (1923-2014) w krakowskiej kurii, po jej liście – niezachowanym w archiwum – na temat jego książki „Osoba i czyn". On był od 10 lat metropolitą krakowskim i od 6 lat kardynałem. Ona była uznaną fenomenolożką, wykładowczynią filozofii na amerykańskich uniwersytetach, żoną Hendrika Houthakkera (profesora ekonomii na Harvardzie, doradcy prezydentów USA) i matką trojga nastoletnich dzieci.

Kwiecień 1974 Kongres filozoficzny w Neapolu z okazji 700. rocznicy urodzin św. Tomasza z Akwinu, na którym Wojtyła wygłasza referat – jego treść, jak również program konferencji, były tematem ich korespondencji. Kardynał prosi, by Tymieniecka w jego zastępstwie odczytała ten referat – w wersji francuskiej – na konferencji filozoficznej w Montrealu.

Lipiec-grudzień 1974 Spotkania Tymienieckiej i Wojtyły w Krakowie i Rzymie. Od lata 1974 zwracają się do siebie po imieniu.

Styczeń 1975 Wojtyła prosi Tymieniecką, by odczytała w jego imieniu fragmenty jego referatu na kolokwium we Fryburgu (ostatecznie udaje mu się dotrzeć do Szwajcarii i wystąpić osobiście).

Marzec 1975 Wojtyła przesyła Tymienieckiej tekst zawierzenia jej Bogu i Jego Matce.

1975-1976 Korespondencja i rozmowy telefoniczne stają się częstsze; Wojtyła i Tymieniecka spotykają się w Krakowie i w Rzymie. Uzgadniają szczegóły tłumaczenia na angielski „Osoby i czynu" oraz publikacji artykułów Wojtyły w amerykańskich periodykach filozoficznych. W listach pojawiają się rozważania na temat miłości, odpowiedzialności i powołania. Tymieniecka pisze też o problemach rodzinnych (choroba dzieci).

23.07-11.09.1976 Pobyt Wojtyły w USA (głównym celem był kongres eucharystyczny w Filadelfii), w dużej części zorganizowany przez Tymieniecką i jej męża.

25-27.08.1976 Trzydniowy, prywatny pobyt Wojtyły w domu Houthakkerów w Pomfret.

Wrzesień 1976 Rekolekcje w Zakopanem, podczas których Wojtyła pisze do Tymienieckiej o swoich refleksjach po pobycie w Pomfret.

1977 Wojtyła i Tymieniecka spotykają się kilkakrotnie w Polsce i w Rzymie, listy są częste (podczas miesięcznego pobytu na synodzie biskupów w Rzymie kardynał wysyła pięć listów). Ostatnia wizyta Tymienieckiej w Krakowie w grudniu – podczas której przekazuje kardynałowi „wielki list" (tak go nazywa w dalszej korespondencji, dodając, że „dobrze, że nie był przesłany pocztą. Dotyka spraw zbyt głębokich, żeby mogły go oglądać oczy jakiegoś cenzora" – list nie zachował się).

1978 W lipcu Wojtyła zaprasza Tymieniecką na spływ kajakowy w okolice Piły. Pisze: „Moich towarzyszy biwaku uprzedziłem już, że będzie z nami »pewna pani profesor«. Więc bardzo chętnie to przyjęli. Widzę możliwość albo jej biwakowania w namiocie, albo w jakimś domku w pobliżu (...) Owi moi towarzysze są w większości ludźmi pracującymi naukowo lub w innych zawodach inteligenckich".

10 października 1978 Ostatni list wysłany przed rozpoczęciem konklawe. Kolejny (z 23 października) napisze już jako Jan Paweł II. ©℗ EA

↦ bliskie, te pisane do mnie właśnie mają mowę głęboką, otwierają tajemnicę duszy i serca, wyrażają ufność, zawierzenie. Powiem więcej: te listy są mówione i pisane mową, którą się dzielimy wobec Boga, zawierają w sobie Jego Perspektywę.

Wiem, że jestem Ci winien odpowiedź. (...) Odpowiadam zaś w poczuciu daru, który w tym wszystkim się zawiera. Dar musi pozostać darem, nie można go sobie przywłaszczać, można w nim tylko coraz dojrzalej uczestniczyć. To jest także tajemnica Opatrzności i Łaski. Skoro więc nie można sobie przywłaszczać daru, to tym bardziej trzeba nań odpowiadać darem. W ten sposób wywołuje się w rzeczywistości »empirycznej« jakiś wymiar Boga – w ten sposób także najbardziej zbliżamy się do »empirii«, wchodząc w jej najprostsze centrum, w jej rdzeń życiodajny. Cieszę się z tego, iż masz tyle sił, że sprawy układają się harmonijnie i dojrzewają. Już Ci kilka razy powiadałem, że miłość nie może niszczyć Miłości, musi pomagać jej się rodzić i utrwalać nawet tam, gdzie trudno jej żyć".

Próżno szukać tu skandalu i romansu. Jest miłość i Miłość. Konsekwentne wyprowadzanie relacji w wymiar transcendentny. I troska. „Nasze dziedzictwo jest w Chrystusie, bo dziedzictwo Chrystusa jest w nas. Cieszę się, jeśli mogłem Ci to w jakimś calu przybliżyć. Codziennie proszę Chrystusa, abym mógł to dalej czynić – i abym niczego nie popsuł" – pisze Wojtyła.

W listach do Tymienieckiej widzimy też jego emocje. Kiedy w marcu 1976 r. ubolewa, że deklaracja stworzonego przez nią Światowego Instytutu Badań i Studiów Fenomenologicznych została zredagowana w pięciu językach, ale nie po polsku, pisze: „Jest mi przykro, że Ci zrobiłem przykrość – jednakże właściwy sens całej sprawy był całkiem inny: chciałem Ci przede wszystkim pokazać, co mnie boli. I daruj Tereso, będzie nadal bolało, pomimo Twoich wyjaśnień. (...) Jeżeli Ci chciałem pokazać, co mnie boli, to nie w tym celu, aby Cię dotknąć, abyś się musiała bronić przed moją niesprawiedliwością – ale po to, abyś wiedziała i czuła razem ze mną. Nie musisz się bronić przed moją niesprawiedliwością i gdybym nie miał takiego zaufania, jakie mam do Ciebie i do tego, co nas łączy, nie poruszyłbym tego problemu. Będziemy szukać z [Bożą] pomocą, w jaki sposób rozwiązywać te sprawy na przyszłość. (...) Nie mów, że jesteś sama i niepotrzebna.

Napisałem Ci już poprzednio o tym, co to znaczy »dar«. Pan Bóg – kiedy »daje« człowieka człowiekowi, to zawsze zarazem go »zadaje«. Wiem, prawie od pierwszego spotkania, że Pan Bóg mi Ciebie dał i zadał. Wiem o tym zaś nie na drodze jakiej »narzuconej konstrukcji«, ale na podstawie głosu wewnętrznego, który jest także głosem serca. Na tej także podstawie przyjmuję Cię i wszystkich oraz wszystko, co się z Tobą łączy – przyjmuję przed Bogiem, szukając stale u niego światła i pomocy, aby umiał dać Ci to, co jest »prawdziwym dobrem dla Ciebie«".

Przyjmuję prawdę tego rozdarcia: list po kluczowej rozmowie

Być może najważniejszy list z tamtego czasu napisany został przez metropolitę krakowskiego we wrześniu 1976 r.

w Genui – po powrocie z Pomfret, gdzie w trakcie miesięcznego pobytu w USA przebywał w gościnie u Tymienieckiej i jej rodziny. To list, który powinien wybrzmieć w całości; pomijam jedynie techniczny w gruncie rzeczy początek.

„Droga moja Tereso! (...) trzy dni w Pomfret – to były jedyne dni wypoczynku na całej amerykańskiej trasie. Ale nie tylko wypoczynku. Dni jakiejś odpowiedzi na pytania stawiane sobie i przedkładane Bogu przez cały rok. To wszystko Ci zresztą dość szczegółowo tam opowiadałem w ciągu tych dni, które tylko na to były przeznaczone. Trwa we mnie wielkie wzruszenie, wielkie przejęcie treścią tych dni, treścią »ludzką« czy »między-ludzką« – choć wiesz dobrze, że nie mieszczę się w tym wymiarze, i »mieszam w to Pana Boga« w tym przekonaniu, że On sam chce być w naszych ludzkich i między-ludzkich sprawach. Powiem więcej, gdybym nie miał tego przeświadczenia, jakiejś moralnej pewności także – i działania w posłuszeństwie względem niej – nie ośmieliłbym się tak działać. Wierzę, że Bóg jest Miłością – i że to, co my ludzie nazywamy miłością, o tyle nią jest, o ile stanowi uczestnictwo w Bożej Miłości. W ciągu tych dni pytam siebie wciąż: czy stanowiło? I nie przestaję prosić, aby stanowiło na gruncie naszej ludzkiej słabości, w samym jej środku, pomimo niej i niejako z niej.

W tym punkcie jakoś się spotykam z dominantą Twoich listów, a przed tym jeszcze Twoich słów: najwspanialsze z nich zostały wypowiedziane na szczycie wzgórza w Pomfret (pamiętasz?), a potem jeszcze w Belmont – te o wiele bardziej radykalnie objawiły Twoją wewnętrzną tajemnicę. Piszesz więc w ostatnich listach o rozdarciu – i o tym także mówiłaś w Belmont, a ja nie znajdowałem żadnych formuł na te słowa, tylko pamiętam, że powtarzałem jedno zdanie ogarniając Cię niejako w samym środku tego wyznania czy też tego wyznanego rozdarcia.

Przyjmuję prawdę tego rozdarcia, Tereso. Człowiek bytuje pomiędzy życiem a śmiercią, pomiędzy spełnieniem a niespełnieniem, pomiędzy miłością a nie-miłością (nienawiścią? obcością? czymś innym jeszcze?), pomiędzy nadzieją a zawodem, pomiędzy... Jednakże miejsca »rozdarcia« są także miejscami scalenia, jedności i jej objawiania się w człowieku i między ludźmi, i między ludźmi (między człowiekiem) – a Bogiem. Wierzę w to objawianie Miłości, że jest ono najściślej związane z miłością (z Miłością i miłością), stanowi po prostu jej sens. Dlatego też godzę się z Tobą, że ludzie stają wówczas wobec siebie »uwolnieni od wszelkich zwierciadeł, zwłaszcza krzywych i sztucznych«, ale słowa te rozumiem w ten sposób, że stają w całej swojej prawdzie, nie tylko w prawdzie tego, jak są sobie »dani«, ale także tego, jak są sobie »zadani«. Człowiek nigdy nie może zwolnić siebie od transcendencji...

Communio personarum jest tym miejscem, w którym ona najpełniej dochodzi do głosu – i stanowi o całej strukturze miłości. Miłość dlatego właśnie jest objawieniem – i można w niej wypowiadać najbardziej „rozdzierające" prawdy, bo ona ma w sobie moc ich przyjęcia (czy podjęcia).

Kiedyś – pamiętam dokładnie, kiedy i gdzie – usłyszałem te słowa »należę do ciebie«, w których zabrzmiał dla mnie nade wszystko »dar osoby«. Lękałem się tego daru, wiedziałem od początku i wiem w dalszym ciągu coraz lepiej, że trzeba przyjąć ten dar równocześnie jako »dar z wysokości«. Że jest to wielki skarb, którego nie można sobie przywłaszczyć, nie można stać się jego »właścicielem«. Dlatego już w roku ubiegłym szukałem długo odpowiedzi na te słowa „należę do ciebie" i wreszcie znalazłem przed swoim wyjazdem z Polski – szkaplerz, wymiar, w którym Cię »przyjmuję«, »odbieram« wszędzie, w każdej sytuacji, zarówno gdy jesteś blisko, jak też wówczas, gdy jesteś bardzo daleko. Dlatego takim szczególnym punktem przeżycia daru stało się to miejsce, w którym wciąż Ciebie widzę, w dniu 24 sierpnia w Pomfret. Właściwie wszystko inne jest tylko promieniowaniem tego przeżycia, tego »obdarowania«, tego »przyjęcia daru«, którym najpełniej raduję się w całej jego postaci wówczas, gdy porozumienie między nami sięga – może sięgać Źródła i Dawcy. Wówczas także jestem najbardziej »dany« Tobie, jestem najprościej dla Ciebie darem, gdy w ten sposób przyjmuję Twój dar. Myślę też, że w tym się wyraża i udziela właściwa siła miłości, która musi umacniać człowieka i gruntować go w egzystencji »ordinavit in me caritatem« [„a sztandarem jego nade mną jest miłość" – red.] (Pieśń n. p.).

Jaką funkcję spełnia w tym ciało? Bardzo istotną. Jednakże nie jest ono »tworzywem« obojętnym, ani nie jest tworzywem tylko. Jest poniekąd każdym z nas, jest »osobą«, jest terenem najgłębszych znaczeń. Rytm gestów musi odpowiadać rytmowi znaczeń, musi w nich się niejako zakorzeniać – wówczas kształtuje się w nich komunia osób. W tym świetle rozumiem zawsze te słowa Chrystusa »duch jest, który daje życie, ciało na nic się nie zda«.

Słowa »należę do ciebie« zrodziły we mnie ogromną tkliwość, a zarazem ogromną troskę o Ciebie: o Twoje dobro, o jego wzrost, o wszystko, co się na nie składa – oczywiście, jest to troska o zbawienie, której źródło znajduje się w samym Chrystusie. Jest ona też dla mnie przetłumaczona na takie słowa, które w najróżniejszych momentach wypowiadam do Matki Chrystusa. »Totus Tuus ego sum et omnia mea Tua sunt... Accipio Te in mea omnia... Praebe mihi cor Tuum«. [Jestem cały Twój i wszystko, co moje, do Ciebie należy. Przyjmuję Ciebie całym sobą. Daj mi Swoje Serce; cytat z „Traktatu o prawdziwym

↦



FELICI / VATICAN MEDIA

Jan Paweł II i Anna Teresa Tymieniecka. Watykan, 2000 r.

nabożeństwie do Najświętszej Maryi Panny" Ludwika Marii Grigniona de Montfort, a zarazem biskupie i papieskie zawołanie autora – red.]

Mam zatem świadomość, że nie jestem źródłem dobra ani miłości, ale mogę stać się jego sługą i uczestnikiem, jeżeli to, co czynię, co przeżywam, zakorzenię mocno i po prostu w tym Źródle.

Nie są to wszystkie myśli, zaledwie jakieś sygnały. Pozostaje obszar niewypowiedzianego, a przez to samo potrzeba modlitwy. Miłość i odpowiedzialność. Tą modlitwą ogarniam wciąż Ciebie, Twoich, wszystkie Twoje sprawy, nas.

Łaska jest potężniejsza od naszej słabości. *Virtus in infirmitate perficitur* [Moc w słabości się doskonali – red.]... A więc nie tylko »infirmitas«, nędza, słabość, grawitacja w stronę miłości – ale także »virtus«.

Tak czuję proporcje całej sprawy. I dlatego też tak ją przeżywam: przeżywam ją także jako modlitwę bytowania. Jest ona czasem silniejsza niż modlitwa słów,

Droga Tereso

KW".

Nie wiemy, do jakich wyznań doszło na wzgórzu w Pomfret. O jakim obdarowaniu i przyjęciu daru mowa. Jedno wiemy jednak na pewno: ani przez moment Wojtyła nie zwątpił w to, że wszystko dzieje się z woli Boga, i próbował rozumieć relację z Tymieniecką jako zadanie, które Bóg przed nim stawia. Pisał: „Tak jest, spotykamy się codziennie, poniekąd stale, bez przerwy – bo Rzeczywistość ta nie zna przerw, na które nasze ludzkie bytowanie jest skazane... Patrząc wstecz, nie tracę ufnego przekonania, że nasze poprzednie spotkania z tej Rzeczywistości czerpały – a także nadziei, że następne będą z Niej również czerpać...".

Proszę, ażeby nie przerywać: papież pisze dalej

Jesień 1978 r. zmienia życie Karola Wojtyły. 10 sierpnia pisał do Tymienieckiej, że nie będzie go w Krakowie 18 sierpnia z „wiadomej przyczyny": właśnie zmarł Paweł VI, na 12 sierpnia zaplanowany był jego pogrzeb, później rozpocząć się miało konklawe.

W tym liście wspominał jeszcze wakacyjną wyprawę na kajaki, w której Tymieniecka również wzięła udział: „Pragnę wyrazić radość z tych dni, które mogłaś spędzić wśród ludzi bliskich mi. Cieszę się, że przyjęli cię tak serdecznie, że dobrze czułaś się wśród nich i że odnalazłaś piękno polskiej przyrody, urok ogniska, biwaku pod gołym niebem, że wypoczęłaś. Za to wszystko dziękuję Bogu, bo wyczuwałem Jego

opatrzność w kształtowaniu się całej tej sprawy. Myślę także, iż rozwiały się i dojrzały jakieś sprawy głębokie i bardzo zasadnicze sprawy, które sięgają w różne warstwy naszego człowieczeństwa, jeśli do nich dociera łaska. Cały bowiem człowiek stoi przed tym otworem, oczywiście na miarę tego, jak się otwiera, na ile się otwiera. Ona wówczas wszystko jest zdolna przetworzyć i uczynić stopniowo tworzeniem nowych znaczeń".

Kolejny list jest datowany na 10 października i zawiera życzenia imieninowe. Ma na kopercie również pieczątkę poczty amerykańskiej – dostarczono go adresatce 16 października 1978 r.

Kolejny napisany został 23 października. Gdyby ktoś nie znał tych dat, z samej treści nie domyśliłby się, że w życiu nadawcy wydarzyła się rewolucja: został papieżem. Ale jest tam także podsumowanie relacji – tak jakby Wojtyła potrzebował jeszcze raz nazwać to, co się między nimi wydarzyło.

„Piszę, ażeby nie przerywać wymiany myśli, która zawsze wydawała mi się twórcza i bardzo owocna. Wspominałem już o tym, że należałoby z tych przywołanych prywatnych przecież listów zrobić swoisty wybór tekstów (oczywiście za pozwoleniem autorki), z uwagi na ich wielką trafność i odkrywczość. Cieszyłem się zawsze i cieszę się nadal z tego, że mogłem być »człowiekiem odniesienia« dla tej trafności i odkrywczości, która oczywiście sama z siebie nie jest zaadresowana na zewnątrz, ale do wnętrza. Cieszę się, że mogłem mieć udział w jej życiu wewnętrznym. Zawsze starałem się tutaj zrozumieć myśl Bożą, i współpracować z łaską, licząc równocześnie na to samo po jej (po Twojej stronie), na czym się nie zawiodłem".

Głównym celem jest jednak ów komunikat, że to nie jest koniec; że ich wymiana myśli nie zostanie przerwana. „Zbyt głęboko wpisała się ta całość w moje życie, abym mógł postąpić inaczej" – pisze Jan Paweł II.

Dar, zadanie, zawierzenie: co się zatem wydarzyło

Co się zatem wydarzyło między tym dwojgiem filozofów? Bez wątpienia w listach Wojtyły można znaleźć wątki z przyszłych katechez: wczytując się w tę korespondencję, można rozpoznać myśli, które tworzyły nauczanie Jana Pawła II. Wielokrotnie komplementował przenikliwość swej korespondentki. To prawda – Tymieniecka otwierała mu przez lata drzwi na intelektualne salony, ale nie było w nim wyrachowania: przyjmował jej pomoc z wdzięcznością, a ona sama była mu zwyczajnie bliska. Nie tylko jako partner intelektualny, z gatunku tych, których nie miał zbyt wielu w polskim środowisku. Jako dar, zadanie, jako ktoś, kto został mu „zawierzony".

Sama Tymieniecka zapewniała w rozmowie z Politim i Bernsteinem, że nie była zakochana w kardynale. Jednak temat miłości powracał w ich listach bardzo często – zbyt często i zbyt osobiście, by uznać te rozważania za wyłącznie teoretyczne. Z drugiej strony trudno tu mówić o „zwyczajnej miłości" czy „chwili słabości", bo oboje – kardynał i mężatka z trójką dzieci (które poważnie chorowały) – przenieśli swoje uczucie na płaszczyznę teologii i filozofii, wierząc, że będą zdolni w Bogu budować tę relację – czerpać z niej, wzajemnie w niej siebie dawać, jednocześnie wypełniając w ten sposób wolę Bożą.

Odpowiadając więc wszystkim spragnionym sensacji: owszem, listy Karola Wojtyły do Anny Teresy Tymienieckiej to prawdziwa sensacja. Rzadko się zdarza usłyszeć tak wyraźnie głos człowieka, którego wielu zna już jedynie ze świętych obrazów i pomników.

© MONIKA BIAŁKOWSKA

Współpraca przy odczytywaniu rękopisów Karola Wojtyły: Edward Augustyn, Agnieszka Cynarska-Taran, Michał Okoński, Artur Sporniak, Aurelia, Katarzyna, Teresa i Maciej Szklarczykowie.

TYGODNIK POWSZECHNY ■ **www.TygodnikPowszechny.pl**

Redaktor naczelny Jacek Stawiski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny: Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik), Monika Białkowska, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Michał Okoński, Marek Rabij, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Wojciech Brzeziński, Agata Kaźmierska, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski, Monika Ochędowska (kierowniczka), Anita Piotrowska
Fotoedycja: Katarzyna Bułtowicz, Grażyna Makara (kierowniczka)
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (kierowniczka), Katarzyna Rutkowska, Jacek Taran
Dyrektor ds. transformacji: Michał Bagiński
Promocja: Michał Sowiński (kierownik)
Marketing i sprzedaż: Karolina Biały, Sławomir Bieniek, Mateusz Gawron, Justyna Hernas (kierowniczka), Lech Krupa, Anna Pietrzykowska, Jakub Starzyk, Barbara Ziajka
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński
Dyrektor ds. Technologii: Bartłomiej Swojak
Dział IT: Łukasz Bieńkowski, Paweł Maliszewski, Piotr Muszyński
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Paweł Musiałek, Maciej Müller, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Stefan Sękowski, Piotr Sikora, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Edyta Płachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039 redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416 reklama@TygodnikPowszechny.pl promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075 prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

CUD NAD BULWĄ

Gdy wieś narzeka, że nie opłaca jej się uprawiać pól, klienci w sklepach skarżą się na drożyznę. Co jest nie tak z polskim rynkiem spożywczym?

MAREK RABIJ



Czterdzieści groszy. Tyle wynosi różnica między upodleniem a progiem przyzwoitości – bo o godziwym wynagrodzeniu ponoć nadal nie ma mowy. W skupie za kilogram cebuli rok temu płacili rolnikom sześćdziesiąt groszy. Teraz – dwadzieścia, o ile znajdzie się punkt, który jeszcze ją przyjmuje, bo magazyny pełne.

W swoim gospodarstwie w Kruszynie Krajeńskim Monika Olszak obsiała cebulą 20 hektarów, co przy stawce rzędu dwudziestu groszy za kilo dałoby jej około 300 tys. zł przychodu i to przy założeniu, że zbiory byłyby bardzo udane. Na papierze wygląda to nieźle, ale po odliczeniu kosztów, które w przypadku cebuli mogą sięgnąć nawet 12 tys. zł rocznie na hektar, może oznaczać rok pracy niemal za darmo. W akcie desperacji pani Monika ogłosiła więc w internecie, że każdemu, kto cebulę zbierze prosto z jej pola, sprzeda ją po 60 groszy za kilo. W hipermarkecie czy w dyskoncie to samo warzywo kosztuje 3-4 zł za kilogram.

Solidarność plus VAT

Z podobnych wezwań do wyjścia w pole i apeli o wsparcie dla rolników można było tego lata i jesieni ułożyć mapkę niemal całej Polski. Gmina Świątki, powiat olsztyński: zaproszenie do zbioru kapusty i buraków. Złotówka za kilogram, do negocjacji. Pod Warszawą za tyle samo można było odebrać z pola seler i cebulę. W podlaskim Zambrowie na zbiór czekały dynie, również po złotówce za kilo. W lubelskim Jastkowie można było zaopatrzyć się w paprykę po 2 zł, ale trudno uznać to za atrakcyjną ofertę, skoro w Gałkowicach w Świętokrzyskiem gospodarz rozdawał te warzywa gratis. Pomidory gruntowe z kolei czekały na zerwanie koło Mińska Mazowieckiego, po 3 zł za kilogram.

Były i jabłka, wiele odmian i jeszcze więcej lokalizacji: od Grójca, przez Trzebnicę aż po Głubczyce przy granicy z Czechami, po 2-3 zł za kilogram. Ziemniaki – w Żarach 1,5 zł za kilo, pod Wrocławiem – 50 groszy. W Przeworsku na Podkarpaciu kilo malin odmiany jesiennej kosztowało 10 złotych, o ile rwało się je prosto z krzaka.

Samozbiory w gospodarstwie Moniki Olszak w Kruszynie Krajeńskim w gminie Białe Błota. 11 września 2025 r.

Za nową rolniczą rzeczywistością nie nadąża nawet Słownik Języka Polskiego, bo wciąż na próżno szukać w nim słowa „samozbiór". Gorliwością wykazali się za to urzędnicy ministerstwa finansów, którzy zawczasu ostrzegli, iż taka działalność może podlegać podatkowi VAT, nawet jeśli rolnik na niej nie zarobi. „Jeśli (...) jest czynnym podatnikiem, to nawet nieodpłatne rozdanie plonów może być potraktowane jako czynność opodatkowana, ponieważ stanowi nieodpłatne przekazanie towarów należących do przedsiębiorstwa podatnika".

Serwisy dla rolników zapłonęły oburzeniem. Kontrolowany przez PSL resort rolnictwa próbował co prawda chłodzić nastroje, ale tylko na nowo je podgrzał po tym, jak minister Stefan Krajewski stwierdził, że sytuacja w punktach skupu jest poważna z powodu warunków pogodowych i nadprodukcji.

Polskie Medellín

Tego lata faktycznie obrodziło wiele gatunków warzyw i owoców, jednak tłumaczenie cen w skupie klęską urodzaju może najwyżej częściowo odpowiedzieć na pytanie, dlaczego rolnicy zarabiają dziś tak niewiele. Narracja o nadprodukcji całkowicie pomija fakt, że detaliczne ceny żywności w znikomym stopniu odzwierciedlają dynamikę cen w hurcie. Z analizy portalu panparagon.pl wynika, że sezonowy koszyk warzyw i owoców podrożał tego lata średnio o 5,9 proc. rok do roku. Wśród warzyw, których cena wzrosła najbardziej, znalazł się jednak m.in. bób, który obrodził obficie. Jeśli więc mamy klęskę urodzaju, to nie widać jej w niższych cenach na paragonach.

Dlatego rolnicy wskazują na innego winowajcę. Ich zdaniem rynkiem skupu rządzi coś na kształt kartelu hurtowników oraz wielkich sieci handlowych i przetwórców, którzy narzucają producentom rolnym skrajnie niekorzystne warunki. Doskonale pokazuje to przykład warzywa, które w tym roku udało się rolnikom najbardziej, czyli ziemniaka. Ze wstępnych danych GUS wynika, że krajowa produkcja była aż o 15 proc. wyższa od zeszłorocznej. Rolnicy zebrali z pól łącznie 6,8 mln ton ziemniaków, przy zapotrzebowaniu, które w skali całego kraju sięga maksymalnie 6 mln ton. Sytuację na polach odzwierciedlają ceny w skupie, gdzie za kilogram kartofli, w zależności od odmiany, płaci się średnio 10-20 groszy – około 40 proc. mniej niż przed rokiem. Te same ziemniaki na półce w hipermarkecie lub dyskoncie kosztują jednak średnio około 2-3 zł za kilogram (nie uwzględniając promocji), czyli tylko około 15-20 proc. mniej niż przed rokiem.

Co na to Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów? W odpowiedzi na list resortu rolnictwa, który w ub. miesiącu poprosił o sprawdzenie, czy działania przedsiębiorców prowadzących obrót artykułami rolno-spożywczymi nie naruszają zasad konkurencji, prezes UOKiK podkreślił, że urząd już w sierpniu wszczął kontrole. W październiku zarzuty nieuczciwego wykorzystywania przewagi kontraktowej wobec rolników usłyszeli przedstawiciele polskich oddziałów amerykańskiego koncernu Bunge i brytyjskiego Procam, które wedle UOKiK przerzucały na dostawców ryzyko związane z tzw. siłą wyższą – m.in. suszami, przymrozkami czy gradobiciami. Wcześniej ukarane zostały też m.in. PolishAgri i Cefetra Polska.

Zdaniem szefa UOKiK niekorzystna dla rolników sytuacja nie jest jednak wynikiem praktyk ograniczających konkurencję. Problem ma charakter strukturalny. Na polskim rynku spożywczym karty rozdają dziś wielkie sieci handlowe i zakłady przetwórcze, które rozdrobnionemu polskiemu rolnictwu mogą narzucić niekorzystne warunki nawet bez łamania przepisów. Płacą mało, bo mogą – nikt inny nie odbierze płodów rolnych od producentów.

Problem w tym, że prezes UOKiK zdaje się nie dostrzegać, iż lista poszkodowanych nie kończy się na rolnikach. Są na niej także klienci sklepów.

Kraina marżami płynąca

Dane za październik ukazują, że ceny były o zaledwie 2,8 proc. wyższe w porównaniu z rokiem ubiegłym, ich dynamika mieściła się więc w okienku tzw. celu inflacyjnego, który naszemu bankowi centralnemu narzuca ustawa o NBP (1,5-3,5 proc.). Z kolei od stycznia do września br. skumulowana inflacja w Polsce wyniosła 2,3 proc. To sukces, którym chwali się gabinet Donalda Tuska. Traci on jednak lekko blask, gdy spojrzymy na spożywczy wycinek rynku detalicznego. W trzech pierwszych kwartałach br. ceny żywności ↦

WOJCIECH OLKUŚNIK / EAST NEWS

↦ wzrosły o 3,3 proc. Artykuły spożywcze drożeją więc szybciej niż większość produktów.

Trudno lekceważyć również fakt, że jedzenie w Polsce staje się coraz droższe także w stosunku do kosztów jego zakupu w innych krajach. Niepokoić może też sama dynamika tego procesu. Z danych Eurostatu wynika, że ceny detaliczne produktów spożywczych w Polsce stanowią obecnie około 87 proc. unijnej średniej, choć jeszcze w 2015 roku było to zaledwie 63 proc. Rumunia – kraj, w którym obecnie je się najtaniej w Unii (76 proc. średniej UE) – dekadę temu plasowała się w tej stawce oczko wyżej od Polski (64 proc.). Hiszpanie w 2015 r. płacili za żywność 92 proc. średniej ceny unijnej. Obecnie – 95 proc.

Jeszcze gorzej wypadamy pod względem udziału kosztów zakupu jedzenia w budżecie przeciętnego gospodarstwa domowego. W 2021 r. Eurostat szacował je w Polsce na poziomie 19,6 proc., podczas gdy średnia dla wszystkich krajów UE wynosiła 13,3 proc. Dwa lata później GUS podawał już, że w strukturze wydatków gospodarstw domowych w Polsce żywność i napoje bezalkoholowe miały udział na poziomie 27,2 proc. W Luksemburgu, gdzie za jedzenie płaci się najwięcej, bo 27 proc. ponad średnią unijną, przeciętna rodzina wydawała na ten cel zaledwie 9,5 proc. domowego budżetu.

Czy to kwestia różnicy zarobków? Owszem, ale nie tylko. W 2022 r. cennikom wielkich sieci handlowych przyjrzał się serwis Business Insider i doszedł do wniosku, że większość z nich dorzuca w Polsce do cen zakupu i kosztów operacyjnych znacznie wyższą marżę niż w krajach, z których się wywodzą. Biedronka, kontrolowana przez portugalską spółkę Jeronimo Martins, pracowała w Polsce z marżą EBIDTA 8,3 proc., podczas gdy jej portugalskie sklepy zadowalały się 5,6 proc.

Lidl w Polsce wykręcał marżę na poziomie 7,9 proc., a w Niemczech jego spółka-matka Lidl Stiftung operowała na poziomie 7,1 proc. Różnice między marżami w Polsce i we Francji, na niekorzyść polskich klientów, zaobserwowano także w Carrefourze i Auchan, ale rekordzistą w zestawieniu Business Insidera okazał się Rossmann. W polskich drogeriach tej sieci marże były aż o 8,1 punktu proc. wyższe niż w niemieckich.

Na rynku spożywczym karty rozdają wielkie sieci handlowe i zakłady przetwórcze, które rozdrobnionemu polskiemu rolnictwu **mogą narzucić niekorzystne warunki.** Bez łamania przepisów.

Sojusz konsumencko-chłopski

Nic więc dziwnego, że w tej sytuacji akcje rolników spotykają się ze zrozumieniem. W badaniu przeprowadzonym wiosną br. przez pracownię Kantar Media aż 78 proc. ankietowanych wyraziło zainteresowanie „samozbiorami" polskich warzyw i owoców. Przeliczając procenty na osoby, otrzymalibyśmy aż 25,2 mln potencjalnych nabywców, o 600 tys. więcej niż w zeszłym roku i aż o 2,5 mln więcej niż w roku 2023. Wśród argumentów przemawiających za taką formą zakupów badani wymieniali najczęściej atrakcyjną cenę i uczciwe warunki transakcji, dzięki którym cały zarobek trafia do producenta, ale także pewność, że kupowane warzywa i owoce nie przyleciały z drugiego krańca Europy lub świata. Dla aż 65 proc. ankietowanych lokalne pochodzenie produktów ma na tyle duże znaczenie, że zadeklarowali zwiększenie zakupów warzyw i owoców z polskich pól i sadów.

Dla działających w Polsce sieci handlowych dyskusja o cenach produktów rolnych może z kolei mieć wymiar wykraczający daleko poza samą logistykę zakupów czy politykę wizerunkową. Protesty rolników nie tylko pokazały, że mogą oni liczyć na zrozumienie klientów sklepów. Przy okazji uruchomiły też dynamikę społeczną, która potencjalnie może prowadzić do głębokich zmian w strukturze polskiego handlu spożywczego. Na razie niepodzielnie władają nim wielkie sieci. Dyskonty, jak Lidl, Biedronka czy Dino, inkasują około 37 z każdych 100 złotych wydawanych w Polsce na zakupy spożywcze. Gdyby dodawać do tego utarg super- i hipermarketów oraz sklepów sieciowych typu Żabka, rachunek dobije już w pobliże 53 zł, ale to nie oznacza, że pozycja wielkich sieci na rynku jest niezagrożona. Przeciwnie, widać już pierwsze objawy zmęczenia Polaków handlem skoszarowanym w dużych sklepach i dyskontach. Ostatnie dane GUS pokazują, że tylko Dino i Żabka zwiększają przychody dzięki rosnącej sprzedaży w przeliczeniu na sklep – co można uznać za miernik popularności tego formatu handlowego. Pozostałym graczom obroty w przeliczeniu na sklep sukcesywnie maleją, w najlepszym razie drobią w miejscu. Wzrost u takich graczy jak Biedronka czy Lidl bierze się już tylko z rosnącej liczby placówek.

Co czeka wielkie sieci za zakrętem, w który właśnie wchodzą? Jednym z możliwych scenariuszy jest to samo, co nastąpiło już na rynku medialnym, gdzie internet skrócił relacje łączące twórców mediów z odbiorcami. Fenomen podkastów i kanałów YouTube, które gromadzą milionowe audytoria i zapewniają ich twórcom gwiazdorskie zarobki, udowodnił, że producenci i konsumenci mogą obyć się bez pośredników. Pokolenie, które wirtualną rzeczywistość traktuje jak pełnoprawną alternatywę dla świata realnego, może w kilka lat częściowo przeskoczyć z zakupów spożywczych w hipermarkecie do zakupów bezpośrednio od producenta. Samozbiory, które tej jesieni wdarły się szturmem do świadomości konsumentów, mogą zagościć w niej na stałe. Mało prawdopodobne, by całkowicie zastąpiły wizyty w sklepie, ale mogą zyskać na popularności na tyle, że dla sieci handlowych staną się realną konkurencją, zmuszającą je do weryfikacji cen. W pewnym sensie byłby to też akt dziejowej sprawiedliwości.

Elegia dla spółdzielni

Wieś jest jednym z największych wygranych akcesji do Unii Europejskiej. Z 243,2 mld euro, które w latach 2004-24 przetransferowano do Polski z budżetu Wspólnoty, 78 mld trafiło do rolnictwa i rolników. Średnia powierzchnia upraw, która w roku 2004 wynosiła zaledwie 8,7 hektara, obecnie sięga 13 hektarów. Wartość eksportu produktów rolnych i spożywczych przed akcesją nie przekraczała 3,6 mld euro rocznie – obecnie dobija do 54 mld euro. Co równie ważne, duża część krajowej produkcji rolnej jedzie za granicę już przerobiona na wy-

roby spożywcze „made in Poland", gwarantujące większy zysk od eksportu nieprzetworzonych zbóż, mleka czy owoców. Z danych Instytutu Ekonomiki Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej wynika z kolei, że około 63 proc. surowców wykorzystywanych w polskiej produkcji spożywczej pochodziło z naszych pól i sadów.

Problem w tym, że dokonując tego transformacyjnego skoku, polska wieś postawiła tylko na jednego konia, czyli na odbiorców przemysłowych. Nie udało się zbudować czegoś, co we Włoszech, Austrii, Niemczech czy Hiszpanii stanowi dodatkowy atut tamtejszego rolnictwa, czyli silnych rynków lokalnych. W krajobrazie polskiej wsi brak choćby spółdzielni rolniczo-przetwórczych, które z lokalnych płodów rolnych wytwarzają wyroby spożywcze, w które zaopatrują się najpierw okoliczni mieszkańcy, a potem, wraz ze wzrostem skali produkcji, cały kraj. Nieliczne wyjątki od tej reguły – jak choćby łomżyńska Piątnica, która w ub. roku miała 2,8 mld zł przychodów – pokazują, jak wielką szansę zmarnowała w ten sposób polska wieś.

W 2022 r. próbę odwrócenia tego trendu podjął rząd PiS, powołując do życia Krajową Grupę Spożywczą, holding przedsiębiorstw branży rolnej i spożywczej. Grupa miała „budować przewagę konkurencyjną na krajowym rynku rolnym i przyczyniać się do wzmocnienia rozwoju polskiego rolnictwa na rynkach zagranicznych" – czytaliśmy w komunikacie Centrum Informacyjnego Rządu. Docelowo grupa miała przejmować zagraniczne podmioty, jednak cały pomysł utknął na etapie konsolidacji polskiego przemysłu cukrowniczego. Dziś KGS zmaga się z gigantycznymi problemami finansowymi spowodowanymi załamaniem cen cukru na światowych rynkach, a obecny rząd przestał się nią chwalić.

Najchętniej też udawałby, że na rynku spożywczym wszystko działa jak w zegarku, licząc na to, że debatę o cenach skupu i marżach wielkich sieci przykryją inne tematy. Tak się zapewne stanie, ale problem i tak powróci. Wszyscy musimy przecież jeść.

©℗ MAREK RABIJ



ANDRZEJ IWAŃCZUK / REPORTER

Karol Nawrocki na Marszu Niepodległości „Jeden naród – silna Polska", Warszawa, 11 listopada 2025 r.

Polska we mgle

MAREK KĘSKRAWIEC

POLITYKA | Krajobraz polityczny po Marszu Niepodległości mocno się skomplikował. Najwięksi są przekonani, że przed najważniejszym starciem muszą zjeść małych. Kłopot w tym, że może to być skrajnie niestrawny posiłek.

Nie ma chyba gorszego sposobu na pokazanie sprawczości władzy, jak wymyślenie przepisu, którego nikt nie ma zamiaru przestrzegać – tak było z zakazem używania środków pirotechnicznych podczas manifestacji 11 listopada. Policja na szczęście nie grzebała po kieszeniach jej uczestników, ci zaś okazali sporą dojrzałość. Jedyna raca, która ostatecznie sprawiła zagrożenie, została rzucona w amerykański konsulat – i to nie przez narodowca, ale przez lewicowego aktywistę, co tylko podkreśla absurd sytuacji. To nie w dymie i mgle z nielegalnej pirotechniki tkwią bowiem główne zagrożenia dla naszego kraju, ujawnione w dniu, który powinien być celebrowaniem wspólnej radości.

Marsz połowy narodu

Marsz Niepodległości to dziś świetnie zorganizowana manifestacja, która przez lata nie straciła rozmachu, ale ma zasadniczą wadę – pozostaje wewnętrzną imprezą polskiej prawicy. Fakt, marszu nie organizują już radykałowie pokroju Roberta Bąkiewicza, ale z drugiej strony – kiedyś stanowili oni alibi dla wielu nacjonalistycznych i homofobicznych haseł. Dziś, gdy w pochodzie idzie prezydent oraz pełen przekrój polityków polskiej prawicy, obecność niektórych transparentów może niepokoić. Na partie, które je tolerują, chce głosować wedle sondaży ponad połowa elektoratu.

Politycy obecnej koalicji rządzącej, która wygrała wybory ledwie dwa lata temu, w Święto Niepodległości nie są w ogóle mile widziani w Warszawie, o czym świadczy wygwizdanie ministrów Władysława Kosiniaka-Kamysza i Marcina Kierwińskiego. W połączeniu z faktem, że premier Donald Tusk świętował ten dzień w Gdańsku, otrzymamy zestaw dowodów ukazujących, jak głębokie jest społeczno-polityczne pęknięcie w naszym kraju.

Ono zresztą ma charakter coraz bardziej złożony. Lider głównej partii ↦



FILIP NAUMIENKO / REPORTER

Marsz Niepodległości „Jeden naród – silna Polska", Warszawa, 11 listopada 2025 r.

↦ opozycyjnej, której politycy już szykują się do powrotu do władzy – na Marszu Niepodległości był postacią niemal anonimową. Jarosław Kaczyński nie przemawiał, bo nikt mu tego nie zaproponował. To zaś wyraźnie różniło go od Karola Nawrockiego; prezydent co prawda też nie wygłosił mowy, ale tylko dlatego, że nie chciał, choć mógł. Mógł też pokazać się w tłumie polityków PiS, ale skrzętnie ich ominął.

Niby to drobny fakt, ale po raz kolejny pokazuje, jak bardzo skłócona jest polska prawica, i jak mocno w ostatnich tygodniach Pałac przejmuje rolę głównego jej ośrodka. Trzy miesiące od zaprzysiężenia nie ukazały nam co prawda jakichś wyjątkowych talentów prezydenta i jego otoczenia, ale też nie stało się nic, co by mu znacznie obniżało ratingi. Teraz jednak czas na prawdziwy egzamin: czy Nawrocki okaże się kimś więcej niż Andrzej Duda?

Jesień Kaczyńskiego

Na jego drodze stoi oczywiście prowadzący ascetyczny żywot Jarosław Kaczyński, niepasujący do roli lidera prawicy wchodzącej w drugą kwartę XXI wieku. Jego podeszły wiek, słabe rozeznanie w cyfrowym świecie, brak umiejętności budowania sojuszy, w których partnerzy nie byliby tylko pokarmem – raczej skazują go na powolną utratę znaczenia niż na trzecią polityczną młodość. By odzyskać pełną władzę, PiS potrzebuje wrócić do sondaży przekraczających 40 proc. poparcia, a to oznacza konieczność wyjścia poza obecną bazę, złożoną głównie ze starszych osób. Dla osiągnięcia tego celu Kaczyński musi pójść albo z ofertą (umiarkowaną) w stronę sierot po PSL i Polsce 2050 Szymona Hołowni, albo zradykalizować przekaz, by skusić narodowe skrzydło Konfederacji i zwolenników Grzegorza Brauna. Kłopot w tym, że w obie strony iść nie sposób, a wybranie jednej z dróg też nie gwarantuje sukcesu.

Dla wyborców politycznego centrum PiS jest partią skompromitowaną łamaniem konstytucji, a jej pakiet społeczny zwietrzał mimo radykalnych ofert z ostatniego kongresu (100 tys. zł za trzecie dziecko, 500 zł dochodu podstawowego dla każdego Polaka). Oczywiście, dowożenie finansowych obietnic nadal jest siłą PiS, ale jak je spełnić po raz kolejny, skoro główny kandydat do roli koalicjanta po wyborach w 2027 roku to krnąbrna Konfederacja?

Między bajki włożyłbym scenariusz dogadania się Mentzena z Tuskiem, bo w oczach elektoratu Konfederacji jej lider byłby wówczas skończony. Jednak do PiS nie jest Konfederacji wcale dużo bliżej – to przecież partia głosząca odmienne idee co do roli państwa w życiu społecznym. Kaczyński chce tego państwa jak najwięcej, a Mentzen jak najmniej. Można by rzec, że w dyskusjach obu polityków, w których pada coraz więcej wzajemnych obelg, odrodził się stary spór Polski solidarnej i Polski liberalnej – tyle że nie rozgrywa się na scenie ogólnokrajowej, ale w łonie samej prawicy. I nawet jeśli z powodów taktycznych obie partie w końcu się dogadają, nie zasypie to fundamentalnych różnic – będą się one ujawniać przy każdym drobnym sporze.

Na razie wygląda na to, że pomny swoich doświadczeń z lat 2005-2007, Kaczyński uznał, iż lepiej pewne sprawy załatwić zawczasu, żeby potem nie męczyć się jak z Lepperem czy Giertychem. Stąd szturm na Mentzena, który budzi jednak konsternację wśród ważnych polityków PiS – niewielu z nich wierzy, że Konfederację można zepchnąć pod próg wyborczy, przejmując równocześnie jej młody elektorat. Większość uważa, że obecne ostre zwarcie może uniemożliwić w przyszłości „ślub z rozsądku".

Skłócić Bosaka z Mentzenem

Idealnym scenariuszem dla Kaczyńskiego byłby konflikt Nowej Nadziei Mentzena z drugim skrzydłem Konfederacji, czyli Ruchem Narodowym Krzysztofa Bosaka. Podglebie do tego istnieje, bo

programy są trochę niespójne, a obaj liderzy nie tylko nie darzą się przyjaźnią, ale niemal w ogóle się nie spotykają. Wystarczy spojrzeć na relacje z Marszu Niepodległości. Nie znajdziemy wspólnych zdjęć Bosaka i Mentzena; szli osobno.

Czy jednak Kaczyński wypada wiarygodnie w roli polityka namawiającego Bosaka do wolty? Nie. Lider narodowców doskonale pamięta, jak się wychodzi na sojuszach z PiS – był przecież posłem LPR i patrzył na jej upadek w 2007 r. Trudno sobie wyobrazić, iż miałby ochotę na kolejne eksperymenty u boku Kaczyńskiego, mając do stracenia pozycję w partii, która trwale osadziła się na trzecim miejscu politycznego podium w Polsce, a na dodatek cieszy się świetnymi relacjami z Karolem Nawrockim.

Nie sposób w tej chwili przeanalizować dalekosiężnych planów prezydenta i jego współpracowników – być może ich jeszcze nie ma. Na razie wygląda na to, że Pałac będzie dużo aktywniejszy i silniejszy niż za czasów Dudy, kiedy podwładni ministra Kierwińskiego dokonywali zatrzymań posłów Kamińskiego i Wąsika na jego terenie. Pewne jest, że Nawrocki nie uważa się za „strażnika żyrandola", więc będzie stale ścierał się z rządem (o NFZ, o nominacje w sądach, wojsku i służbach etc.), ale niekoniecznie konsultując wszystko z PiS. Ma od Dudy silniejszy charakter i nie widzi się w roli zakładnika Kaczyńskiego. Zresztą, prezes też niespecjalnie zbiera się do pierwszego egzaminu. Musi najpierw ogarnąć partię.

W ostatnich tygodniach PiS zmaga się z poważnym kryzysem: zaczął go Robert Telus aferą wokół sprzedaży działki kluczowej dla CPK, a rozwinął Zbigniew Ziobro, zaskakując nawet bliskich współpracowników odmową przyjazdu do Polski. I ratując tym... rząd Tuska.

Źródło rozczarowań

Jeszcze dwa tygodnie temu wydawało się, że minister Waldemar Żurek i jego podwładni z prokuratury przesadzili z wnioskiem o areszt, a historia zmagającego się z nowotworem byłego ministra sprawiedliwości będzie politycznym złotem dla PiS. W dodatku przyniesionym przez polityka, który dla Kaczyńskiego pozostanie jednym z największych rozczarowań jego życia. Ziobro, który spiskował przeciwko prezesowi PiS w czasach największego kryzysu partii w 2011 r., dziś nie jest dla niego żadnym partnerem, tylko ewentualnym narzędziem.

Decyzja Sejmu, by wraz ze zgodą na odebranie Ziobrze immunitetu, jednocześnie pozwolić na jego areszt – była mocno kontrowersyjna. Niejeden niechętny poprzedniej władzy prawnik zauważył, że sytuacja, w której chory na raka polski europoseł miałby trafić za kratki, zanim jeszcze zdążył odmówić stawienia się w prokuraturze czy sądzie, jest jednak nadużyciem. I to nawet jeśli sam Ziobro nie pojawiał się na przesłuchaniach komisji ds. Pegasusa, albo drwił z polityków będących w podobnej jak on dziś sytuacji, kreując się równocześnie na szeryfa i twardziela, którego nic nie złamie.

Zamiast wrócić z podniesioną głową i dać się aresztować w świetle kamer, Ziobro postanowił jednak zostać w Budapeszcie. Zawiódł tym PiS i Kaczyńskiego, a zarazem niechcący pomógł rządowi. Spójrzmy bowiem, co by się stało, gdyby wniosek prokuratury o areszt dla schorowanego Ziobry został odrzucony przez niezależny sąd? Byłaby to klęska Tuska w najbardziej antypisowskiej części jego elektoratu oraz kolejny dowód na nikłą sprawczość jego ekipy. Gdyby areszt jednak orzeczono, PiS mógłby wzmocnić swą nową teorię spiskową, wedle której decyzja Żurka o zlikwidowaniu jedynej chwalonej przez prawników zasady wprowadzonej przez Ziobrę, czyli losowania sędziów do spraw – stanowiła tylko preludium do wyznaczenia składu, który na 100 proc. skaże aresztowanego, cierpiącego polityka.

Bez szampana

Niepowrót Ziobry do Polski zmienił też dynamikę w samym PiS, ograniczając wpływy byłego ministra. Nie chcą się dziś z nim specjalnie sklejać ani wewnętrzni oponenci jak Mateusz Morawiecki, ani liderzy Konfederacji, ani Karol Nawrocki. Trzymanie tej sprawy na świeczniku karmi raczej rząd i Koalicję Obywatelską. Ale tylko ją, bo jednocześnie runęło poparcie dla sojuszników Tuska z PSL oraz Polski 2050, w zasadzie osieroconej przez Szymona Hołownię. Z kilkunastu analizowanych przez nas sondaży wynika jasna prawidłowość: gdybyśmy dziś mieli pójść na wybory, wygrałaby je KO, ale nie miałaby szans na stworzenie rządu, nawet jeśli próg wyborczy przekroczyłaby Nowa Lewica. Tak naprawdę zwyciężyłaby prawica.

W siedzibie PiS przy ul. Nowogrodzkiej nikt jednak nie otwiera szampana. Druga strona duopolu ma bowiem ten sam problem, co Tusk: może nie mieć za dwa lata z kim rządzić. Popularność Korony Grzegorza Brauna opiera się głównie na skrajnym radykalizmie, niechęci do Ukraińców i Żydów – to wąski projekt polityczny, a koncesje na jego rzecz ze strony PiS mogłyby wprost stać się zaprzeczeniem spuścizny Lecha Kaczyńskiego. Nie jestem pewien, czy jego brat aż do tego stopnia nienawidzi Tuska, by pójść na układ z nieobliczalnym Braunem. Raczej spróbuje za wszelką cenę doprowadzić do sytuacji, by mógł rządzić bez niego. I bez Konfederacji.

Jeśli jednak nie powiedzie się projekt stłamszenia wewnętrznej konkurencji na prawicy (Mentzen z Bosakiem stawią na pewno dużo większy opór niż ten, jaki spotkał Tuska ze strony Kosiniaka i Hołowni), PiS będzie musiał rozważyć, czy dla władzy ustąpić w kwestii programu. To zaś oznaczałoby dziwaczną hybrydę Polski socjalnej oraz liberalnej *à la* Mentzen. Czy Kaczyński na to pójdzie? Prezesowi PiS zawsze zależało na władzy: ale nie dla niej samej, tylko dla realizacji różnych programów oraz idei. Dlatego sojusz z Konfederacją to dla niego ostateczność, wcześniej zapewne spróbuje tego, w czym PiS był zawsze dobry, czyli w umiejętności kreowania dyskusji, do której przyłączają się potem inni.

Tak było z CPK, z barierą na granicy i polityką migracyjną. Jakkolwiek Tusk zaklinałby rzeczywistość, twierdząc, że wszystko, co wymyśli ekipa Kaczyńskiego, on sam musi potem poprawiać – to KO wydaje się brakować kluczowego elementu potrzebnego do rządzenia, odpowiedzi na najważniejsze pytania. Dlaczego idziemy po władzę, poza tym, że chcemy odsunąć od niej PiS? Jaki projekt Polski chcemy realizować i z kim, zarówno w domu, jak i poza jej granicami?

Jeśli obecnie rządzący nie będą w stanie zastanowić się, po co właściwie jest im ta Polska – nie złożą w całość żadnej wiarygodnej opowieści i nie stworzą projektu, który uruchomi wyobraźnię obywateli państwa będącego 20. gospodarką świata. A bez tego nie będzie zwycięstwa. Starzejący się Kaczyński wciąż o tym pamięta.

©℗ MAREK KĘSKRAWIEC

Żeby dom nie był wyrokiem

JĘDRZEJ DUDKIEWICZ, AUTOR KSIĄŻKI O DOMACH POMOCY SPOŁECZNEJ:

OPIEKA | Likwidacja DPS-ów jest mrzonką: zawsze będą istnieć ludzie potrzebujący wsparcia całodobowych placówek. Tyle że one powinny być opcją ostateczną, a w Polsce bywają opcją jedyną.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Książkę „Inny dom" dedykujesz swoim rodzicom.

JĘDRZEJ DUDKIEWICZ: To wyraz wdzięczności: wiem, że nic by się nie wydarzyło bez nich, o czym zresztą piszę w podziękowaniach. Ale ta dedykacja to też wyraz nadziei na lepszy świat. A konkretniej: na system pomocy społecznej, w którym ani moja, ani żadna inna polska rodzina nie będą skazane na zero-jedynkowy wybór: albo sami dajemy rodzicom – jeśli oczywiście kiedyś będzie taka potrzeba – wsparcie, albo trafią do całodobowej placówki.

To temat mocno pokoleniowy. My, 40- i 50-latkowie mamy starzejących się rodziców. Ale za dwie, trzy dekady sami będziemy seniorami w Polsce, w której 65+ będzie niemal co trzecia osoba.

Pełnosprawność, jak mówi moja znajoma i wspaniała społeczniczka Gosia Szumowska, to stan przejściowy, choć przyznam, że sam nie mam odruchu wyobrażania sobie, jak to będzie za kilka dekad. Równocześnie mam świadomość, że na tym trochę polega problem: wypieramy wizje własnej starości, pewnie również ze względu na fakt, że w niepewnej rzeczywistości czas za kilka dekad jawi się nam jako abstrakcja.

Tymczasem dane są nieubłagane, więc musimy jako społeczeństwo wreszcie zacząć myśleć o przyszłości. Po to też jest ta książka.

Zapamiętałem z niej m.in. fragment opowieści pani Doroty, pielęgniarki z DPS, która chciała kiedyś przywołać do porządku mieszkańca za bałagan w pokoju. „Słuchaj, ja tu jestem u siebie w domu, to ty do mnie przyszłaś" – usłyszała ripostę. Z jednej strony mam pewność, że ten pan miał rację. Z drugiej pojawiła się u mnie wątpliwość: czy ci ludzie są faktycznie u siebie w domu?

Tak uważam: nieprzypadkowo słowo „dom" pojawia się w rozwinięciu skrótu DPS.

A może właśnie całkiem przypadkowo? Może to nazwa zwodnicza?

Wiele polskich domów pomocy społecznej odbiega od naszego wyobrażenia domu. Ale w tych placówkach żyją też tysiące ludzi, którzy o swoich pokojach i placówkach myślą właśnie jako o domach. Niektórzy z nich nie mają rodzin, inni są ze swoimi bliskimi w konflikcie, jeszcze inni sami dokonali wyboru, że chcą być w DPS.

Co więcej, zarządzający DPS-ami i kadry tych placówek też coraz częściej myślą o tej przestrzeni jak o domu – czego przykładem jest zresztą cytat przywołany z wypowiedzi pani Doroty. Ci ludzie coraz częściej wiedzą, że ich rolą jest nie tylko opieka, pielęgnacja, ale też zapewnienie mieszkańcom jak największej wolności i decyzyjności.

Żeby mieć wolność i decyzyjność, muszę sam móc rozstrzygnąć, kiedy włączę telewizor, a kiedy zgaszę światło. Tymczasem w książce cytujesz dokumenty, zgodnie z którymi 30 proc. pokojów jednoosobowych w polskich DPS-ach to ambitny plan na przyszłość.

Placówka zawsze będzie placówką: nawet jeśli w DPS mieszka 30 osób, to zorganizowanie przestrzeni w taki sposób, by każdy miał „jedynkę", może nigdy nie być możliwe.

DPS-y bywają dobrymi miejscami dla osób, które pragną bezpieczeństwa, ale fatalne dla ceniących sobie wolność?

Tak sądzę. Trudno by mi było znaleźć np. młodą osobę z niepełnosprawnością, która chciałaby trafić do DPS. W książce jest opowieść Agnieszki, kobiety z niepełnosprawnością, którą gmina chce za wszelką cenę wysłać do placówki, a ona broni się przed tym rękami i nogami, podkreślając właśnie, jak ważna jest dla niej wolność.

Z drugiej strony, mam historię pani z Karolinowa, która bardzo sobie chwali, że trafiła właśnie do DPS-u. Ma potomstwo, ale nie utrzymuje z nim kontaktów. To w placówce nawiązała nowe relacje, zbudowała więzi, czuje się tu dobrze – fizycznie i psychicznie.

Są też tacy, którzy mówią, że DPS wręcz uratował ich rodzinę.

To ważna historia mojej książki. Mowa o rodzicach dziecka z głęboką niepełnosprawnością, którzy opowiadają o DPS jako wybawieniu dlatego, że nie dostali wsparcia na wcześniejszych etapach życia i sami próbowali radzić sobie z opieką nad dzieckiem. Szukali pomocy w fundacjach – i nie udało się. Wyzwaniem było dla nich nawet wyjście z domu z dzieckiem na kilkuminutowy spacer. Cierpieli również dlatego, że nie mogli poświęcać uwagi swojej drugiej córce. To wszystko wpędziło ich w stan psychiczny, z którego nie widzieli wyjścia. Zdecydowali się na DPS – i akurat dobrze trafili. A swoje niepełnosprawne dziecko zabierali na weekendy, wakacje i święta do domu. Ich syn niestety niedawno zmarł, co nie zmieniło ich podejścia do DPS-ów.

Powiedzmy jednak dla porządku: coraz więcej ekspertów i praktyków uważa, że dzieci w DPS – w Polsce obrazek niestety częsty – to cywilizacyjny skandal. I że nie ma takiego stanu dziecka, który wykluczałby życie w rodzinie, oczywiście pod warunkiem fachowego wsparcia.

I ja się z tym stwierdzeniem zgadzam, akcentując jego drugą część: rodzina,



ŁUKASZ CYNALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

W Domu Pomocy Społecznej w Poznaniu, marzec 2024 r.

o której opowiadam, takiego wsparcia nie dostała. Zresztą kim ja jestem, by oceniać tych ludzi, nie będąc nigdy w ich położeniu i nie mając pojęcia, z czym się mierzyli. Dyrektorzy DPS-ów mówią otwarcie, że część dzieci, jakie do nich trafiły, przyszły z rodzin zastępczych, które z opieką nad dziećmi z niepełnosprawnościami sobie po prostu nie poradziły – one również nie dostały wystarczającego systemowego wsparcia.

Kluczowe w tym wszystkim jest jedno. By zarówno decyzja o zamieszkaniu w DPS, jak i rezygnacja z takiej opcji, były efektem wolnego wyboru.

Tymczasem w Polsce takiego wyboru często nie ma.

DPS powinien być opcją ostateczną, a w Polsce bywa opcją jedyną. Państwo albo zrzuca wszystkie opiekuńcze obowiązki na rodziny, albo wysyła do placówki.

Co dla rodziny oznacza często poczucie winy.

Rodzicom przywołanego tu już Stasia z Poznania zdarzało się usłyszeć i od znajomych, i od krewnych, że „pozbyli się problemu". Opowiadam też w książce historię z Zielonej Góry, gdzie kochający tata na skutek choroby psychicznej stawał się dla własnej rodziny niebezpieczny. I tutaj – znowu – nie zadziałał system wsparcia, a na koniec okazało się, że DPS jest jedyną opcją – dla rodziny na pewno dobrą.

Obie te historie pokazują, że bardzo często rodzina dochodzi do ściany, a gdy „odda" bliskiego do całodobowej placówki, jest łatwo i szybko oceniana.

Często oceniamy też kadry placówek. Twoja książka oddaje ich przedstawicielom głos.

Jest ona faktycznie próbą oddania sprawiedliwości osobom, którym zdarza się wykonywać wręcz heroiczną pracę. A do mainstreamowych mediów przedostają się głównie historie patologii – to buduje obraz placówek zarządzanych przez „potwory w ludzkiej skórze". Ja istnienia tych patologii nie neguję, ale bardziej mnie interesowała codzienność tych ludzi. Również dlatego, że chciałem odpowiedzieć sobie na pytanie, skąd te patologie mogą się brać.

Skąd?

Powiem tak: biorąc pod uwagę, jak ten system jest skonstruowany, jak pracownicy są przemęczeni, ile im się płaci – trudno się dziwić patologiom.

W grudniu 2024 r. NIK stwierdziła w wielu placówkach uchybienia, m.in. prawa do wolności, nietykalności, intymności itd. Zastanowiło mnie, że jedna z Twoich rozmówczyń, prezeska stowarzyszenia zrzeszającego dyrektorów DPS, nawet nie próbuje odpierać zarzutów NIK. Dowodzi, że zachowania bezprawne – jak stosowanie przymusu bezpośredniego przez niemedyczną kadrę placówki – są pokłosiem kadrowych niedoborów.

Opisuje też m.in. sytuację z potężnym mężczyzną, któremu zdarzało się wpadać w szał, a wtedy zagrażał i sobie, i innym. Nie stawiam tego pytania w książce wprost, ale przecież ono się samo narzuca: co w takiej sytuacji powinien zrobić personel, wśród którego nie ma akurat przedstawiciela kadry medycznej?

Na temat DPS-ów krążą z grubsza dwie opowieści. Pierwsza: że są niedoinwestowane, mają za małe kadry. Druga: że stanowią klasyczny przykład biurokratycznego worka bez dna, w dodatku łamią prawa człowieka. Wedle pierwszej opowieści, trzeba do nich dosypać pieniędzy, wedle drugiej – likwidować.

Nawet będąc zwolennikiem deinstytucjonalizacji, nie sposób nie przyznać, że DPS-y będą potrzebne zawsze – ich całkowita likwidacja to mrzonka. Zawsze będą istnieć osoby wymagające całodobowej opieki. Zawsze będą ludzie całkowicie niesamodzielni, np. wyłącznie leżący albo będący na zaawansowanym etapie choroby neurodegeneracyjnej. ↦

↦ Dlatego trzeba też dbać o DPS-y. Ich pracownicy, zwłaszcza ci niemedyczni, zarabiają niewiele ponad minimalną krajową, i jeśli chcemy zwiększyć prestiż zawodu opiekuna, to musimy tym ludziom lepiej płacić. Owszem, są premie, jest specjalny rządowy dodatek motywacyjny w wysokości tysiąca złotych brutto. Tyle że on nie jest zapisany ustawowo, w związku z czym można go w każdej chwili zabrać, a poza tym nie wlicza się go do pensji, więc jak pracownik idzie na L4, dodatku nie ma.

Pytasz w książce swoich rozmówców, ile powinni w swoim odczuciu zarabiać.

A oni odpowiadają, że tysiąc, półtora tysiąca więcej. To było dla mnie smutne, bo pokazało, że ci ludzie mają tak mocno wdrukowaną w psychikę misyjność swojej pracy, że nie przychodzi im nawet do głowy powiedzieć: „10 tysięcy złotych na rękę". A przecież taka odpowiedź byłaby uzasadniona.

To za co konkretnie są te cztery tysiące z okładem na rękę?

Za fizyczną pracę, tzn. przenoszenie, podnoszenie ludzi, co często kończy się kontuzjami. Za ich przebieranie, mycie, co niejednokrotnie oznacza pracę w trudnych warunkach, a mówiąc wprost – kontakt z fekaliami. Za odpowiedzialność za życie i zdrowie mieszkańców, których przypadki – i w sensie fizycznym, i psychicznym – bywają bardzo trudne.

Pracownicy są nie tylko wycieńczeni i źle opłacani, wydają się też być zalęknieni zmianami. O deinstytucjonalizacji mówią jak o zagrożeniu.

Nawet dyrektorzy DPS przyznają, że czują opór i siłę przyzwyczajenia części kadry: „Skoro tak jest od dekad i działa, to po co to zmieniać?".

Wytłumacz w trzech zdaniach: co jest istotą tej odmienianej przez wszystkich deinstytucjonalizacji?

Najprościej: to ustawienie w centrum człowieka, żeby mógł wybrać, jakiego i gdzie udzielanego wsparcia potrzebuje. Żeby to nie osoba potrzebująca musiała się dostosować do systemowych warunków, czyli np. do faktu, że w danej gminie jest tylko całodobowy DPS, tylko żeby ten system dopasował się do ludzi.



ARCHIWUM PRYWATNE

JĘDRZEJ DUDKIEWICZ jest dziennikarzem, specjalizuje się w sprawach społecznych. Autor wydanej w tym roku przez Znak Horyzont książki „Inny dom. Ludzie, system i granice wsparcia w polskich DPS". Nominowany do przyznawanej od tego roku przez „Tygodnik" nagrody Bonus w kategorii „Media".

By miał do zaoferowania i placówkę całodobową, i dzienną, i tzw. mieszkanie wspomagane, i pomoc dochodzącą do mieszkania potrzebującego człowieka. I by każdy, kto tego potrzebuje, mógł dostać darmowego asystenta osobistego. Tego wszystkiego w Polsce brakuje, a DPS-y są niedofinansowane.

W samych tylko samorządowych DPS-ach w Polsce żyje niemal sto tysięcy ludzi (kolejne tysiące w prywatnych domach opieki). Jak wiele z nich nie musiałoby tam być?

Dokumenty powiatów i województw mówią, że DPS-y mogłoby opuścić najwyżej kilka procent mieszkańców. Ale to optyka urzędników. Wypadałoby zapytać o zdanie samych mieszkańców, a takich badań nie znam.

Jedno jest pewne. Trzeba reformować system w dwojaki sposób. Po pierwsze, cywilizować same DPS-y, by były jak najbardziej zbliżone do faktycznych domów: możliwie dobrze wyposażone, możliwie mało liczne i otwarte.

Po drugie, musimy jak najszybciej zacząć budować tę drugą nogę systemu, czyli usługi w miejscu zamieszkania, mieszkania wspomagane i – będącą tu kluczem – asystencję osobistą.

Ustawowo gwarantowani asystenci mogą opóźnić moment umieszczenia np. seniora w DPS, albo wręcz sprawić, że takie przenosiny nie będą potrzebne. Czy przyjęty kilka tygodni temu przez rząd projekt ustawy o asystencji daje nadzieję na realną zmianę?

Mogę powiedzieć, co słyszę od osób z niepełnosprawnościami. Dominuje rozczarowanie, gdyż ostateczna wersja projektu została mocno okrojona. Istnieje ryzyko, że to nie od osoby z niepełnosprawnością będzie zależało, kto będzie jego lub jej asystentem, i kiedy będzie można wykorzystać godziny wsparcia.

A że asystencja jest kluczowa, i że może uchronić przed pójściem do placówki, przekonuję się regularnie. Niedawno np. zrobiłem wywiad z Martą Lorczyk, która od lat mieszka samodzielnie w Warszawie, mając postępującą chorobę – dystrofię mięśniową. Nie jest w stanie podnieść ręki powyżej poziomu nosa, ale jest świetna w tym, co robi – awansowała na stanowisko eksperckie. Dzięki asystentowi, którego ma z projektu, może pracować, podróżować, śpiewać w chórze.

Książkę zaczynasz od sceny, w której starsza pani z Twojego bloku zostawia klucze w skrzynce na listy. W dodatku nie do końca kojarzy, gdzie jest i co się dzieje, mimo iż kilka godzin wcześniej się do wszystkich uśmiechała. Ta pani, jak piszesz, pomimo demencji do DPS-u nie trafiła – dzięki odpowiedniemu wsparciu pozostała w swoim domu. Co się w Polsce musi stać, by coraz liczniejsze rzesze ludzi mogły się starzeć w domu, a przynajmniej, by mieli wybór: zostać czy iść do placówki?

Poza tym wszystkim, o czym już mówiliśmy, musi się też dokonać głęboka zmiana społeczna. W kierunku wspólnotowości, empatii, uważności na takich ludzi jak ta pani z mojego bloku. Ale też w stronę myślenia o tym, co z nami jako społeczeństwem będzie za 10, 20 lat. I tak jesteśmy spóźnieni, więc to trochę jak myślenie o budowaniu torów pod pociąg, który już jest w biegu. Chodzi o to, by ten pociąg nie wykoleił się na naszych oczach.

©℗ Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

OLGA

Drenda: *Niewidzialny młoteczek*



Kilkoro spośród twórców, których dorobek cenię, przeszło podobną drogę. Nie ma tu potrzeby wymieniać nazwisk, bo chodzi o matrycę, nie o zżymanie się na kogoś konkretnego, i zachęcam, by skupić się na matrycy właśnie. Przez pewien czas twórcy ci przemawiali dobitnie bardzo własnym głosem, tworząc coś robiącego wrażenie, mocnego, jedynego. Byli czasami odważni i nowatorscy, a czasem po prostu bardzo solidni w swojej robocie, skupieni i fachowi. Z wypowiedzi towarzyszących ich dziełom wyłaniały się do tego obrazy silnych osobowości, pewnych swojej drogi i nieprzejmujących się nadmiernie cudzym osądem, stojących ponad tym.

A potem coś się zmieniało. Ktoś nie docenił pracy, ktoś odmówił, ktoś odrzucił pomysł, z kimś nie ułożyła się rozmowa. Rzeczy, jakich pełno w życiu, i niegodne większego roztrząsania – cóż, zdarza się, nie zawsze przecież wszystko musi iść po naszej myśli. A jednak nie; akurat padło na złą godzinę, uderzyło w niefortunnie odsłonięty czuły punkt. I od tamtej pory nie było już odwrotu, człowiek popadał w otchłań rozpamiętywania realnej lub zupełnie subiektywnej porażki. W jego przekonaniu dookoła zaczynali czaić się wrogowie i sabotażyści, wszystko, co działo się w świecie, wtem stawało się o nim, a raczej przeciwko niemu. Ja sam i moja uraza, ja i moja szkoda: wyłącznie to od tej pory absorbowało artystę, który jeszcze niedawno potrafił rozpalać cudze umysły.

Najgorzej wpływało to na twórczość, która stawała się jednocześnie ksobna, wycofana, enigmatyczna i jadowita, niezrozumiała i, niestety, niedobra. Ktoś tworzył nadal, ale pochłonięcie sobą sprawiało, że talent wiądł, niegdyś mocny własny głos stawał się nierozpoznawalny.



OLGA DRENDA

Kto trzyma niewidzialny młoteczek

Znałam też człowieka onieśmielającego wykształceniem i osiągnięciami, który znajdował upodobanie w zabawie w adwokata diabła. Pasjonowała go własna przekora i nieustannie podbijał stawkę, znajdując coraz to osobliwsze i bardziej szokujące przekonania, których mógłby dla sportu bronić. Postawa wiecznego kontrariusza rozregulowała w końcu jego kompas. Stał się podatny niczym ofiara wyłudzenia „na wnuczka", tyle że na dowolne, choćby najbardziej absurdalne treści, byleby tylko były zaserwowane w tonie „anty". Przyjemność prowokowania sprawiła, że sam się zaplątał, a może raczej uzależnił; z pewnością przestał być człowiekiem wolnym. Niewidzialny młoteczek nieustannie uderzał w jego kolano.

Wszystkich łączyło to, że dotarli do punktu, w którym nie wiedzieli, czy realnie ktoś lub coś im zagraża, czy mają faktycznych wrogów. Po prostu nie umieli już inaczej.

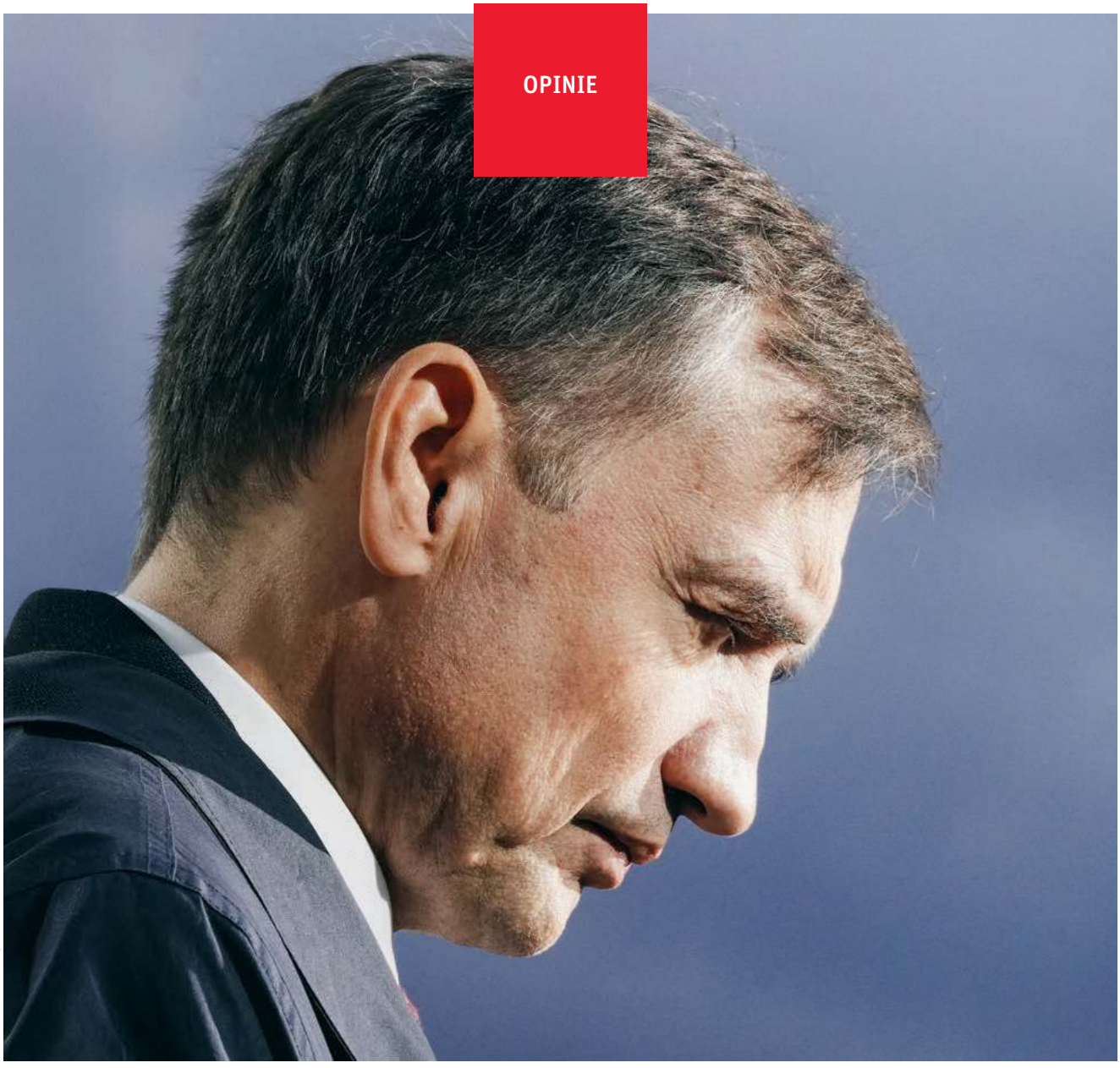
Dla takich ludzi nastały dziś czasy pod pewnym względem pomyślne. Wielu jest bowiem skłonnych kibicować im albo dawać wiarę bez sprawdzenia. Przypomina to trochę zachęcanie kogoś do trwania w nałogu. Albo utwierdzanie samego siebie poprzez zobaczenie siebie samego w takim męczenniku. Wystarczy bowiem jedynie przedstawić siebie jako kogoś znienawidzonego czy prześladowanego, twierdzić, że ktoś się na nas uwziął, albo być uparcie i wiecznie na nie, by ktoś to kupił z miejsca.

Oczywiście bezzasadna nienawiść, prześladowania, oszczerstwa, kampanie negatywnego PR-u, groźby czy szantaże zdarzają się, i to prawdopodobnie niestety coraz częściej. Nieraz warto też pielęgnować w sobie skłonność do kontestacji. To wszystko może być prawda. Ale może być to także kwestia przyjemności czy pogubionej miłości własnej. Albo przyklejonej na dobre do twarzy maski. Zwłaszcza gdy przyjmuje znajomo wyglądający format i gdy następuje eskalacja.

Rola „ostatniego sprawiedliwego" jest także chwytliwą, pokupną, ale niewątpliwie – rolą. Kto raz się w niej odnajdzie, zaczyna znajdować w niej upodobanie, jakby stawał się tym jedynym grzesznym, lecz prawdomównym policjantem w skorumpowanym mieście. To z pewnością daje wiele satysfakcji i przekonania o doniosłości własnych dokonań. Ja nie mówię, ja walczę.

Zdumiewające, jak często ludziom zdarza się wierzyć komuś odruchowo tylko dlatego, że coś o sobie twierdzi. Smutne, gdy się zawodzą i gdy okazuje się, że ten ktoś chciał tylko przytakiwania albo i uwielbienia. Można byłoby pisać tu frazesowe apele o kryzysie prawdy, o łatwowierności, o wodzie z mózgu. Ale koniec końców to zjawisko jednak świadczy o czymś krzepiącym. Otóż ludzie to jednak wielkoduszni są. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".



MARYSIA ZAWADA / REPORTER

Zbigniew Ziobro. Warszawa, 14 października 2025 r.

JAK POSPRZĄTAĆ PO ZIOBRZE

Zostawmy na boku przestępstwa i miliony, które wyciekły z Funduszu Sprawiedliwości. Zostawmy bieżącą potrzebę „rozliczeń", ba: zostawmy delikatną kwestię zdrowia byłego ministra. Porozmawiajmy o tym, co zasadnicze.

JACEK K. SOKOŁOWSKI

Historia polskiego sporu o sądownictwo trafi do podręczników ekonomii politycznej jako studium przypadku ilustrujące, jak nie prowadzić polityki publicznej. Może też być opisywana w podręcznikach historii jako proces, który zahamował rozwój Polski i uniemożliwił jej uzyskanie statusu regionalnego lidera.

Na drodze do którego to statusu ewidentnie się znajdujemy – i niemała w tym zasługa Kaczyńskiego i Morawieckiego. To oni po 2015 r. wyrwali elitę polityczną i wyborców z zaklętego kręgu myślenia o ojczyźnie jako „brzydkiej pannie bez posagu", której horyzont ambicji ograniczać się powinien do sprawnego wydawania unijnych dotacji. Patriotycznej i bogoojczyźnianej retoryce liderów PiS towarzyszyły przecież działania modernizujące państwo, których symbolem stał się projekt CPK. Ekipa Tuska idzie tą drogą, różniąc się od poprzedników właściwie już tylko w kwestii tego, kto jest sędzią, a kto nie.

Ale spór o tę kwestię doprowadzić może do paraliżu państwa. Dlatego w sprawie sądownictwa polityka PiS była czymś gorszym niż zbrodnią – była kardynalnym błędem. W który brnie obecna władza, dewastując zaufanie do państwa nie gorzej niż poprzednicy i czyniąc wyjście z błędnego koła niemal niemożliwym.

Błędna diagnoza, fałszywa recepta

Jarosław Kaczyński, wychowanek PRL-owskiego teoretyka prawa, prof. Stanisława Ehrlicha, jest w poglądach na system prawny właściwie marksistą: wielokrotnie powtarzał, że prawo w Polsce jest tworem, nad treścią którego całkowitą kontrolę sprawują prawnicy dokonujący – ze względu na własne uwikłania w miniony system – jego wykładni w interesie grup nacisku, powstałych w trakcie transformacji gospodarczej.

Problem w tym, że nawet jeśli w latach 90. ta opinia zawierała część prawdy, to po pierwsze – tylko część, a po drugie – w drugiej dekadzie XXI w. jest w całości nieaktualna. W sądownictwie nastąpiła wymiana pokoleniowa, podczas której elita sędziowska zreprodukowała wprawdzie negatywne wzory zachowań, jednak nie zreprodukowała powiązań z tym, co Andrzej Zybertowicz (druga osoba, której poglądy w tych kwestiach mają wpływ na prezesa PiS) nazywał „antyrozwojowymi grupami interesów". Polskie sądownictwo rzeczywiście traktować można jako przeszkodę na drodze do budowy sprawnego, silnego państwa i rozwoju gospodarki, ale z innych powodów.

„Blokerem" modernizacji są bowiem nie uwikłania personalne sędziów, lecz ich mentalność i specyficzna kultura korporacyjna. Opiera się ona – w największym skrócie – na biurokratycznym formalizmie, premiującym żonglerkę pojęciową ponad zdrowy rozsądek. Polski sędzia orzeka tak, jakby rozwiązywał kazus przed profesorem, a to, jaki skutek wywrze jego orzeczenie na życie konkretnego człowieka, jest mu w zasadzie obojętne.

Przyczyny tego stanu rzeczy są złożone. Po części to kwestia modelu kształcenia sędziów – który, *nota bene*, stopniowo zmienia się na lepsze dzięki utworzeniu Krajowej Szkoły Sądownictwa i Prokuratury; po części – np. „chowu wsobnego", którego zwornikiem jest pozycja ustrojowa Krajowej Rady Sądownictwa i brak transparentnych procedur, w których wyłania ona kandydatów na sędziów.

Złożoność przyczyn wymaga złożoności recept, a przede wszystkim konsekwentnych działań, których efekty widoczne staną się nieprędko: rzecz niezwykle trudna do osiągnięcia w zmediatyzowanej demokracji, a wręcz niemożliwa, gdy do władzy dochodzi partia ożywiona duchem rewolucyjnym. Kaczyński potrzebował szybkich efektów. I święcie wierzył, że sądownictwo jako bastion postkomunizmu jest problemem przede wszystkim personalnym, zagrażającym rządom PiS. Postanowił więc zburzyć ten bastion poprzez radykalną wymianę kadrową, dając wolną rękę Zbigniewowi Ziobrze. Człowiekowi, którego sposób uprawiania polityki już raz – w 2007 r. – kosztował PiS utratę władzy i który już raz – w 2011 r. – Kaczyńskiego zdradził.

Nigdy się nie dowiemy, czy miał choć częściowo rację. Być może Trybunał Konstytucyjny, zdominowany przez wybranych w ostatniej chwili głosami PO sędziów pod przewodnictwem prof. Rzeplińskiego – autora koncepcji mówiącej, że obowiązkiem TK jest stać na straży równowagi budżetowej – zablokowałby np. 500 plus. Albo covidowe tarcze. Jednak nie zablokował, ponieważ Andrzej Duda nie zaprzysiągł sędziów wybranych w kończącej się kadencji Sejmu, a PiS wybrał innych. A gdy upłynęła kadencja Rzeplińskiego jako prezesa TK, uchwalono nową ustawę o Sądzie Najwyższym oraz nowelizacje ustaw o Krajowej Radzie Sądownictwa i o ustroju sądów powszechnych.

Przepisy i interpretacje

Problem z tymi ustawami nie polegał na tym, że były jednoznacznie sprzeczne z Konstytucją. Dwa artykuły ustawy zasadniczej, wokół których ogniskuje się spór, pozostawiają spore pole do interpretacji.

Pierwszy z nich, art. 187, w ustępie pierwszym, pkt 2), mówi, że Krajowa Rada Sądownictwa „składa się z 15 członków wybranych spośród sędziów". Nie mówi, przez kogo ci sędziowie mają być wybrani, choć w pkt. 3) tego samego przepisu dodaje, że ponadto w skład KRS wchodzi „4 członków wybranych przez Sejm spośród posłów oraz 2 członków wybranych przez Senat spośród senatorów".

Łącząc jedno z drugim, większości prawników wychodziło do tej pory, że skoro w pkt. 3) wskazane jest, że 6 członków KRS (niebędących sędziami) wybierają Sejm i Senat, a w pkt. 2) mowa o 15 członkach (koniecznie sędziach), których wybiera nie-wiadomo-kto, to rozróżnienie nie może być przypadkowe. A skoro zarazem 15 członków musi być sędziami, no to... niech wybierają ich sędziowie.

Uzasadnienia tego rozwiązania polegają najczęściej na żonglowaniu pojęciami ogólnymi, takimi jak „niezależność sądów" (która miałaby być zagrożona, gdyby członków-sędziów wybierali politycy). Można z tym jednak polemizować: wybór sędziów TK przez polityków (od zawsze wybierał ich Sejm) nie ograniczał ich niezależności. Kiedy przechodzimy do rozważań, czy jakieś rozwiązanie ustawowe jest zgodne z kategoriami tak ogólnymi jak „niezależność sądów", wkraczamy w obszar rozważań filozoficznych, nie prawnych.

Podobnie rzecz ma się z drugim kluczowym dla „wojny o sądy" przepisem Konstytucji, czyli art. 179. Zgodnie z nim „Sędziowie są powoływani przez Prezydenta Rzeczypospolitej, na wniosek Krajowej Rady Sądownictwa". Co ma tu być decydujące? Według jednych wola KRS, którą prezydent „jak notariusz" powinien zaprotokołować, według innych głowa państwa ma swobodę, ale ograniczoną (albo i nie). ↦

↦ Zależy, jak dokonamy „interpretacji konstytucyjnego modelu relacji między głową państwa a władzą sądowniczą, wyznaczonego przez zasady: demokratycznego państwa prawnego (art. 2 Konstytucji RP), podziału i równowagi władz (art. 10 ust. 1 Konstytucji RP), odrębności i niezależności sądów od innych władz (art. 173 Konstytucji RP) oraz przez zasadę niezależności sądów i niezawisłości sędziów (art. 178 ust. 1 i 3 Konstytucji RP), stanowiącą gwarancję prawa do sądu (art. 45 ust. 1 Konstytucji RP), które jest fundamentem demokratycznego państwa prawnego" (cytat z jednej z opinii prawnych).

I jako obywatel, i jako praktykujący prawnik, który już nie raz zupełnie różne wyroki w bardzo podobnych sprawach widział, powiem tylko, że konia z rzędem temu, kto uważa, że w kwestii wykładni art. 179 możliwa jest tylko jedna interpretacja. Możliwych jest wiele – i co więcej, każda ma charakter polityczny.

Istota sporu sprowadza się więc do tego, kto ma tej wykładni dokonać.

Chwiejna równowaga władz

Równowaga pomiędzy władzą ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą nie musi być pobożnym życzeniem. Tam, gdzie ją w jakimś stopniu osiągnięto, czyli w „skonsolidowanych demokracjach" Europy Zachodniej, powstała w burzliwym procesie, mającym początek w XIX-wiecznej walce o ograniczenie praw monarchy konstytucją.

To wtedy słabe jeszcze politycznie mieszczaństwo weszło w sojusz z warstwą państwowych urzędników i wolnych zawodów. Których rola stopniowo rosła (nawiasem: tam, gdzie mieszczaństwo było silne i od razu ucięło królowi głowę – we Francji – rola prawników pozostaje bardziej ograniczona, czego przejawem brak sądownictwa konstytucyjnego). A po drodze była jeszcze II wojna i doświadczenia związane z przejęciem władzy przez dyktatorów.

Long story short: na Zachodzie politycy i prawnicy zgodzili się, że ci drudzy mogą stawiać pierwszym pewne granice co do treści i sposobu realizowania polityki. W sposób sformalizowany – przez sądy konstytucyjne – i mniej sformalizowany, przez wykładnię przepisów, dokonywaną przez sędziów.

Bowiem sędziowie stosując prawo, jednocześnie je współtworzą. Od zjawiska tego nie da się uciec (co system anglosaskiego *common law* uznaje wprost), a demokracje zachodnie uczyniły z niego siłę: prawo ustanowione przez polityków i „przefiltrowane" przez poglądy i postawy sędziów jest odbierane przez społeczeństwo jako bardziej sprawiedliwe (więc lepiej legitymizuje władzę polityczną), ale też jest bardziej skuteczne i elastycznie reaguje na zmiany społeczne.

> Na Zachodzie prawnicy i politycy to grupy odrębne, ale dysponujące wspólnym kodem. W Polsce to dwa światy, które zderzyły się ze sobą w wyniku **deform Ziobry.**

Taka jest istota kompromisu, tworzącego realną równowagę władz: politycy gwarantują prawnikom szeroki, ale określony zakres autonomii, w obrębie którego „prawo w działaniu" zmieniać może prawo stanowione, zaś prawnicy powstrzymują się od działań, które torpedowałyby kierunki polityki publicznej, wytyczone w prawie stanowionym przez elitę polityczną. Granice kompromisu bywają przesuwane, jednak dopóki istnieje zgoda obu elit co do tego, jaki zakres ich działania jest wzajemnie akceptowalny, dopóty system prawno-polityczny działa stabilnie.

Prawdziwym źródłem tego kompromisu nie jest jednak taki czy inny zapis prawny, lecz pewna spójność przekonań obu elit, wspólne rozumienie racji stanu. A także – dość powszechny w Europie – wpływ władzy politycznej na obsadę stanowisk sędziowskich.

Wojna dwóch światów

Wszystkich tych rzeczy nie było w Polsce po 1989 r. Była natomiast elita sędziowska, która w wyniku transformacji uzyskała stopień niezależności od polityków idący dalej niż w większości krajów zachodnich, a zarazem nie dzieliła z tymi politykami zapatrywań na funkcjonowanie państwa i demokracji.

Status polskich sędziów jest bowiem pochodną tego, że przy Okrągłym Stole przedstawiciele Solidarności (wśród nich bracia Kaczyńscy) wynegocjowali całkowitą autonomię sądownictwa od partii (czego przejawem stała się pozycja KRS i sposób wyłaniania jej składu), zakładali bowiem, że pierwsze lata transformacji przebiegać będą pod rządami PZPR. Sytuacja uległa zmianie kilka miesięcy później, ale pozycja ustrojowa prawników została.

I dlatego w Polsce prawnicy uważają, że są od pilnowania polityków, bez żadnych wobec nich zobowiązań – poza tymi, które ewentualnie sami wyczytają w Konstytucji. Przekonanie to stosunkowo najsłabiej dochodziło do głosu w Trybunale Konstytucyjnym, który w większości orzeczeń poszukiwał jednak równowagi pomiędzy celami politycznymi a tym, co uważał za nienaruszalne wartości (może dlatego, że jego skład wybierali jednak politycy).

Prawdziwy stosunek prawników do polityków widać w sądownictwie powszechnym. W którym – jak mawiają praktycy sądowi – najważniejszym kryterium obowiązywania jakiejś normy prawnej (ustanowionej przez władzę polityczną) jest to, czy się w danym sądzie „przyjęła". „Nie przyjęła się" np. lustracja w Sądzie Najwyższym (zablokowana orzeczeniem Izby Karnej z 5 października 2000 r., dokonującym takiej wykładni ustawy, że nikt nie mógł zostać uznany za agenta – co *nota bene* jest dla prezesa PiS jednym z dowodów na prawdziwość jego teorii), ale „nie przyjęły się" również posiedzenia wstępne, wprowadzone nowelą k.p.c. z 2019 r. Sędziowie byli przyzwyczajeni do starego modelu procedowania i uznali, że nie będą ich robić.

Na Zachodzie prawnicy i politycy to grupy odrębne, ale dysponujące wspólnym kodem, pozwalającym podobnie patrzeć na państwo i swoje w nim funkcje. W Polsce to dwa światy – i te światy zderzyły się ze sobą w wyniku deform Zbigniewa Ziobry.

Problem z ustawami sądowymi z 2017 r. nie polegał bowiem na tym, że przewidziany w nich sposób wyboru KRS (a następnie wyłaniania przez nią kandydatów na sędziów) był jednoznacznie sprzeczny z konstytucją, lecz że sposób ich procedowania oznaczał, że zamiarem ministra sprawiedliwości jest pozbawić całkowicie elitę prawniczą wpływu na interpretację prawa.

Ustawy uchwalono przy sprzeciwie obywateli i właściwie całego środowiska prawniczego; głosami jednej opcji poli-



BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Protest „Iustitii" w solidarności z represjonowanymi sędziami. Kraków, 18 stycznia 2021 r.

tycznej. Opcja ta następnie obsadziła stanowiska w KRS kandydatami, co do których zachodziło uzasadnione przypuszczenie, że będą wobec polityków dyspozycyjni. Tak utworzona KRS wskazała kandydatów na sędziów do nowych izb Sądu Najwyższego, zaś pochodzący z tej samej opcji prezydent ich nominacje podpisał.

Sensem tych zmian było podporządkowanie Sądu Najwyższego politykom. Oznaczało to fundamentalną zmianę ustrojową (choć wprowadzaną tylnymi drzwiami). Co charakterystyczne: środowisko prawnicze kontestuje te ustawy nie w imię obrony zasady równowagi władz, lecz w imię formalistycznych pretensji, opartych na wąskiej interpretacji art. 187 Konstytucji.

Zmienne środowiskowe

Opór wobec deform Ziobry był powszechny. Część sędziów odmawiała stosowania przepisów, uznanych przez nich za niekonstytucyjne. Spotykały ich za to szykany, realizowane za pośrednictwem nowej Izby Dyscyplinarnej SN (np. zawieszenie w pełnieniu obowiązków) oraz seanse nienawiści, jakie urządzała TVP Jacka Kurskiego. Te ostatnie szczególnie dotknęły Waldemara Żurka, brutalnie zaatakowanego z wykorzystaniem byłej żony, oskarżającej go (fałszywie) o niepłacenie alimentów.

Większość protestowała biernie, a z czasem oportunistycznie się przystosowała. Niemal nikt nie chciał podpisywać list poparcia dla kandydatów do nowej KRS, ale też niewielu głośno kontestowało jej istnienie. W szczególnej sytuacji znaleźli się natomiast ci, którzy po 2018 r. postanowili zostać sędziami: uczestnictwo w rozpisywanych przez neo-KRS konkursach było *de facto* uznaniem jej istnienia – i jej prawa do nominowania sędziów. Liderzy opozycji wzywali do bojkotu, ale odzew był nikły.

Od roku 2018 w Polsce przybyło ok. 2500 nowych sędziów. Część to ludzie, których nominacje były jednoznacznie polityczne (np. sędziowie Izby Dyscyplinarnej SN), część budzi wątpliwości (niektóre awanse z sądów niższego szczebla, zwłaszcza do apelacyjnych w Warszawie). Najwięcej było jednak młodych absolwentów KSSiP, przygotowujących się już do zostania sędziami.

W 2017 i 2018 r. minister Ziobro zrezygnował z szukania sojuszników w sądownictwie i narzucił nowe rozwiązania siłą. Ministrowie Bodnar i Żurek zrobili coś podobnego, ignorując istnienie dużej, stanowiącej blisko 25 proc. wszystkich, grupy sędziów powołanych przez neo-KRS. Dominujące dziś w resorcie środowisko stowarzyszenia „Iustitia" domagało się powrotu do przeszłości: uznania neo-KRS za nieistniejącą, a jej powołań sędziowskich za nieważne. W drodze „pragmatycznego wyjątku" w mocy utrzymać miano nominacje dla absolwentów KSSiP.

Co z setkami tysięcy wyroków wydanych przez neo-sędziów? W tej kwestii środowisko „Iustitii" zastosowało szantaż: w sądach wyższych instancji zaczęło uchylać prawidłowo wydane wyroki jedynie z uwagi na to, że w ich wydaniu uczestniczył neo-sędzia. Jednocześnie rozpętano kampanię stygmatyzowania neo-sędziów, wrzucając wszystkich do jednego worka niemal jako „żołnierzy Ziobry".

Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że liderzy „Iustitii" odgrywają się na części środowiska za niewystarczające poparcie ich nieugiętej postawy w latach 2018-2023. Ale może jest coś więcej. Mówimy przecież o sędziach starszego pokolenia, w większości „pałacowych", czyli zajmujących wysokie stanowiska w wymiarze sprawiedliwości, delegowanych do ministerstwa: o sędziowskiej „górze".

Oportuniści, którzy siedzieli cicho w latach ziobrowszczyzny (lub zostawali wtedy sędziami), to ludzie młodsi od nich, w większości „sędziowie liniowi", orzekający w sądach I instancji. Bez komfortu, pod presją rosnących z dnia na dzień referatów, pozbawieni pomocy asystentów. Ten konflikt ma również wymiar pokoleniowy, w którym „starzy" próbują podporządkować sobie „młodych".

Droga donikąd

Jedyne sensowne rozwiązanie, pozwalające przeciąć gordyjski węzeł (suflowane zresztą pośrednio przez Komisję Wenecką i orzecznictwo Trybunału Sprawiedliwości UE) polegać by musiało na uznaniu, że wadliwy sposób powołania neo-KRS nie czyni jej nieistniejącą. Jej nominacje są ważne, wyroki wydane przez nominowanych przez nią sędziów pozostają w mocy, a oni sami są sędziami. Wobec tych, którzy wykazali się dyspozycyjnością polityczną, należy podjąć środki dyscyplinarne, do usunięcia z zawodu włącznie – ale usunięcia nieskutkującego nieważnością wydanych przez nich wyroków.

Rozwiązaniem tym nie jest zainteresowana żadna strona. PiS, uskrzydlony zwycięstwem Karola Nawrockiego, liczy, że wróci do rządów i przechyli ostatecznie szalę równowagi władz na korzyść polityków (bez pytania, co to będzie, gdy politycy u władzy się zmienią). Ludzie „Iustitii" wierzą w upokorzenie wszystkich, którzy choćby milcząco Ziobrę wsparli, i odzyskanie kontroli sędziowskich elit zarówno nad sędziowskim demosem, jak i nad politykami. Donaldowi Tuskowi sędziowska wojna, prowadzona cudzymi rękami, pozwala z jednej strony zrzucać z siebie odpowiedzialność za chaos, a z drugiej – odróżniać się od PiS-u i mobilizować zwolenników.

Równowagi władz w znaczeniu takim, w jakim ukształtowała się w krajach Zachodu, nie ma i nie będzie.

© JACEK K. SOKOŁOWSKI

Poznajcie finalistów nagrody B( )NUS

TYGODNIK POWSZECHNY

Kilka tygodni temu ogłosiliśmy listę nominowanych do nagrody BONUS. Chcemy ją wręczyć osobom, które w przestrzeni publicznej stawiają na sens zamiast sensacji, na dialog zamiast podziałów, na budowanie wspólnoty zamiast jej rozbijania.

Dziś przedstawiamy **finałowe trójki w każdej z pięciu kategorii.** To dziennikarze i twórcy, społeczni liderzy i innowatorzy, którzy swoją pracą pokazują, że inny sposób mówienia o ważnych sprawach jest możliwy. Że można być wiarygodnym, nie rezygnując z pluralizmu. Że można być odważnym, nie padając ofiarą polaryzacji.

BONUS – tak właśnie po łacinie brzmi słowo „**dobry**" – to nagroda dla tych, którzy łączą zamiast dzielić, rozmawiają zamiast krzyczeć i tworzą przestrzeń porozumienia tam, gdzie najłatwiej o konflikt.

Pięć kategorii, pięć przestrzeni wspólnego dobra.

Finaliści w kategorii KULTURA

Wyróżniamy ludzi kultury, którzy przez swoją twórczość otwierają przestrzeń dla różnorodnych perspektyw, dla różnych głosów, żadnego nie uciszając, nie lekceważąc ani nie unieważniając.

DOROTA OGRODZKA – za budowanie w ramach spektakli i warsztatów teatralnych wspólnoty opartej na słuchaniu i wzajemnym uznaniu; za pokazywanie, że kultura może być narzędziem spotkania; za wrażliwość na drugiego człowieka, który jest w centrum procesu twórczego; za dzielenie się dobrymi praktykami poprzez wiele sieci współpracy.

DANIEL RYCHARSKI – za wprowadzanie sztuki współczesnej w przestrzeń wiejskiej codzienności, za wpływ, jaki jego prace mają na współczesną prozę, za włączanie osób LGBTQ+ w obręb Kościoła i za poważne traktowanie zarówno wiary, jak i praw mniejszości.

ARJUN TALWAR – za opowiadanie głosami imigrantów o Polsce, która nie jest krajem dwubiegunowym, albo spod znaku Marszu Niepodległości, albo Parady Równości; za oddawanie głosu zwykłym–niezwykłym ludziom, ich tęsknotom, przemianom i różnicom, które, jak się okazuje, aż tak bardzo nie dzielą.

Finaliści w kategorii MEDIA

Nagradzamy twórców mediów, którzy nie pogłębiają polaryzacji i odważnie stawiają na pluralizm i dialog. Którzy nie ulegają dyktaturze klikbajtu i sensacyjnych nagłówków. Którzy nie boją się wskazywać, że rzeczywistość jest złożona i taka właśnie pozostanie.

JAKUB DYMEK i **MARCIN GIEŁZAK**, autorzy podkastu „Dwie Lewe Ręce" – za pokazywanie, że posiadanie poglądów nie zamyka dyskusji. Za publicystykę, która przebija bańki, oraz za rozmowy o ideach, do których bieżące wydarzenia z życia politycznego Polski i świata są jedynie pretekstem. Za tworzenie medium, wokół którego zbiera się społeczność, ucząca się nawzajem dialogu i krytycznego myślenia.

JUSTYNA SUCHECKA – za dziennikarstwo pełne empatii, nadziei, wzajemnego zrozumienia i szacunku, w którym młodzi są podmiotem, a nie przedmiotem debaty publicznej. Za szukanie tematów, których inni nie potrafią dostrzec. Za bycie ambasadorką dzieci i młodzieży; za budowanie dialogu między pokoleniami.

KAROLINA WIGURA – za myślenie i publicystykę ponad stereotypami i podziałami politycznymi. Za opisywanie życia społecznego na przekór polaryzacji, łączące refleksję intelektualną i historyczną z empatią i szacunkiem. Za opisywanie rzeczy po ludzku najbliższych w taki sposób, który otwiera możliwość rozmowy.

Finaliści w kategorii DZIAŁALNOŚĆ SPOŁECZNA

Honorujemy tych, którzy przyczyniają się do budowania wspólnot i odbudowywania wspólnoty, których działania sprawiają, że nawet różniąc się gwałtownie, zaczynamy mieć chęć i przestrzeń na dialog.

PIOTR M. A. CYWIŃSKI – za bycie strażnikiem pamięci. Za to, że w dobie fake newsów, negacjonizmu, ale też holokaustowego kiczu pozwala mówić faktom, uznając zarazem z pokorą, że istnieje taki wymiar prawdy o Auschwitz, wobec którego słowa są bezradne. Za bycie wzorem służby publicznej: za to, że nawet będąc podwładnym ministrów, nie kieruje się doraźnymi interesami polityki historycznej polskiego państwa. Za przypominanie, że naszą wspólnotę – przekraczającą tożsamości narodowe, religijne, genderowe – łączą zobowiązania wobec Umarłych i Ocalałych.

ANNA KRAWCZAK – za bycie orędowniczką rodzinnej pieczy zastępczej jako mama zastępcza i adopcyjna, a także badaczka. Za rzecznikowanie najsłabszym – dzieciom w trudnych sytuacjach rodzinnych. Za bycie przykładem, za dodawanie sił i nadziei, ale też popularyzowanie rzetelnej wiedzy; za pokazywanie, że sprawy nigdy nie są tak proste, jak się wydaje. Za to, że jej głos, wyważony i oparty na faktach, stanowi wzór komunikacji, która łączy, a nie dzieli.

CECYLIA MALIK – za angażowanie siebie i nas w sprawy, które bolą, straszą i przejmują beznadzieją – jak zniszczone środowisko naturalne czy systemowa krzywda społeczna. Za akcję „Siostry Rzeki", podczas której w gronie dzieci, matek, babć, koleżanek, sąsiadek pokazuje, że rzeki są naszym obywatelskim dziedzictwem i zasobem. Za jej sztukę – w działaniu krytyczną, a przy tym radosną i afirmatywną. Za nazywanie kryzysu, przy równoczesnym przekonywaniu, że razem możemy naprawić świat.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Finaliści w kategorii TECHNOLOGIA

Wyróżniamy twórców innowacji technologicznych, które służą włączaniu, a nie wykluczaniu ludzi ze wspólnoty, które wspomagają budowanie porozumienia, umożliwiają dostęp do rzetelnych informacji – a poprzez to wzmacniają więzi społeczne.

EWA PRZEBINDA – za aplikację MÓWik – technologię, która dosłownie daje głos osobom z autyzmem, afazją i innymi zaburzeniami mowy; za narzędzie przełamujące jedną z najbardziej dotkliwych barier wykluczenia: niemożność porozumienia się. Za pokazanie, że najważniejsze innowacje to te, które włączają w rozmowę tych, którzy dotąd nie mogli w niej uczestniczyć.

PRZEMYSŁAW KUŚMIEREK – za aplikację Migam.org – technologię, która przełamuje mur ciszy, oferując tłumaczenia na polski język migowy, słownik PJM online oraz narzędzia edukacyjne – za innowację, która realnie zmienia życie tysięcy osób głuchych. Za wzmacnianie więzi społecznych i przeciwdziałanie marginalizacji poprzez zapewnienie dostępu do rzetelnych informacji w naturalnym języku społeczności Głuchych. Za pokazanie, że włączanie zaczyna się od zrozumienia, że nie wszyscy mówimy tym samym językiem.

RAFAŁ MODRZEWSKI – za technologię, która patrzy z góry, by chronić tych na dole. Za zbudowanie w ramach firmy ICEYE największej cywilnej konstelacji satelitów radarowych obserwujących Ziemię – i za służenie w jej ramach ochronie społeczności i ratowaniu życia (dane firmy wspierają zarządzanie kryzysowe podczas klęsk żywiołowych, dostarczając informacji tam, gdzie dezinformacja może kosztować życie). Za demokratyzowanie technologii wcześniej dostępnych tylko dla supermocarstw; za pokazanie, że te najbardziej zaawansowane mogą służyć nie podziałom, ale ochronie każdego z nas.

Finaliści w kategorii LIDER/LIDERKA

Nagradzamy przywódczynie i przywódców za wybitne dokonania w życiu publicznym. Osoby budujące wspólnotę, inspirujące i pociągające za sobą innych. Budujące w życiu publicznym dobro wspólne.

BASIL KERSKI – za budowanie mostów tam, gdzie historia wykopała rowy; za tworzenie przestrzeni polsko–niemieckiego porozumienia. Za to, że jako dyrektor Europejskiego Centrum Solidarności i redaktor naczelny dwujęzycznego „Magazynu DIALOG" łączy pamięć o powikłanej historii z budowaniem wspólnej przyszłości. Za pokazanie, że prawdziwe przywództwo to nie pełnienie funkcji, lecz tworzenie warunków do spotkania. Za pamiętanie o konfliktach, bez podsycania ich na nowo.

BARTOSZ PILITOWSKI – za stworzenie – w ramach Fundacji Court Watch Polska – systemu monitoringu sądów: innowację społeczną, która demokratyzuje kontrolę nad wymiarem sprawiedliwości. Za to, że zamiast dzielić Polaków w sporze o sądy, zbudował narzędzie pozwalające obserwować, jak naprawdę działają sale rozpraw. Za udowodnienie, że prawdziwe przywództwo obywatelskie nie polega na głośnym manifestowaniu, lecz na cierpliwej budowie instytucji dających obywatelom realny wpływ na jakość demokracji.

MARTA TITANIEC – za pokazanie, że można być głęboko zakorzenioną w Kościele i jednocześnie otwartą na tych, których Kościół zranił. Za budowanie mostów tam, gdzie wydają się niemożliwe: między ofiarami nadużyć a hierarchią kościelną, między Żydami i chrześcijanami, między polskimi rodzinami a syryjskimi uchodźcami. Za styl kierowania Fundacją Świętego Józefa i bycie współinicjatorką Inicjatywy „Zranieni w Kościele": za udowodnienie, że można walczyć o zmianę w instytucji, nie niszcząc jej; za pokazanie, że najsilniejsze przywództwo rodzi się z gotowości do słuchania tych, z którymi się nie zgadzamy.

Laureatów poznamy podczas gali wręczenia nagród 28 listopada 2025 o godz. 19.00 w Muzeum Manggha (ul. Marii Konopnickiej 26) w Krakowie.

ORGANIZATOR

80! TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER STRATEGICZNY

blik

PARTNER GŁÓWNY

Kraków

PATRONI MEDIALNI

tvn24

Trójka POLSKIE RADIO

PARTNERZY

Mazowsze. serce Polski

HERBEWO CITY S.A.

mpec kraków

WODOCIĄGI Miasta Krakowa

za KS sprzyjamy wyobraźni

WSPÓŁPRACA

t/ Fundacja Tygodnika Powszechnego

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

NARODOWE CENTRUM KULTURY

Projekt zrealizowany we współpracy z Narodowym Centrum Kultury

Więcej informacji **bonus.TygodnikPowszechny.pl**

DRENAŻ AMERYKI

Zła atmosfera, cięcia finansowe, także strach: za sprawą polityki Donalda Trumpa USA przestają być mekką dla naukowców z całego świata. Rozmawialiśmy z tymi, którzy decydują się opuścić Stany.

MARTA ZDZIEBORSKA



Na instagramowym koncie Emmanuela Guerisolego roi się od zdjęć fantazyjnych, argentyńskich murali. Gdyby ulec tej iluzji, można by pomyśleć, że Emmanuel świetnie się bawi i odkrywa nowe zakątki Buenos Aires.

W rzeczywistości ten 40-letni socjolog i historyk wrócił do Argentyny – kraju, w którym się wychował i gdzie mieszkają jego rodzice: jego matka jest Argentynką, a ojciec Włochem. Emmanuel mówi „Tygodnikowi", że po raz pierwszy od 20 lat nie mieszka na własną rękę i nie ma stałej pracy. Gdyby nie rządy Trumpa, jego życie wyglądałoby inaczej.

Tematy niepożądane

Cofnijmy się o ponad rok. Jesienią 2024 r. Emmanuel dostał propozycję etatu na jednym z amerykańskich uniwersytetów. Miał tam prowadzić badania dotyczące kolonializmu i dyskryminacji rasowej w USA. Jego szanse na stały kontrakt przekreśliła jednak administracja Trumpa, która wiosną obcięła lub zamroziła fundusze federalne na badania naukowe.

Pod nóż poszły granty w przeróżnych dziedzinach: od biomedycyny, rolnictwa i badań nad zmianami klimatu po nauki humanistyczne, w tym te związane w jakikolwiek sposób z płcią i rasą. Te ostatnie tematy postrzegane są przez ludzi Trumpa jako „radykalnie lewicowe".

W wyniku tych cięć uczelnia, która miała zatrudnić Emmanuela od lipca tego roku, straciła na to środki. Naukowiec opowiada, że zaproponowano mu inną pracę, jednak ostatecznie jej nie podjął, bo kończyła mu się wiza, na podstawie której przebywał w USA.



JOHN MCDONNELL / AP PHOTO / EAST NEWS

Pracownicy uczelnianych wydziałów medycznych i Narodowych Instytutów Zdrowia (przyznają one granty na badania) protestują przeciw cięciom w budżecie federalnym. Waszyngton, 19 lutego 2025 r.

Na walizkach

Według prawników Emmanuel miałby problem z przedłużeniem wizy ze względu na swój obszar badań. Naukowcowi zdarzało się też krytykować w social mediach Trumpa oraz sposób, w jaki Izrael prowadził działania wojenne wobec Strefy Gazy (to drugie było już podstawą do prób deportacji zagranicznych studentów z USA).

– Wyjechałem ze Stanów, choć na karierę naukową w tym kraju poświęciłem 15 lat. Nie tak wyobrażałem sobie pożegnanie z USA – mówi „Tygodnikowi" Emmanuel. Zna on kilku naukowców, w tym fizyków z Arizony i Luizjany, którzy po utracie środków na badania wyjechali za granicę.

Jeszcze w marcu – w okresie dużych trumpowskich cięć – prestiżowe czasopismo naukowe „Nature" opublikowało wyniki ankiety. Według niej aż 75 proc. z ponad 1,6 tys. respondentów – ludzi ze środowisk naukowych – rozważało wyjazd z USA. Według danych przeanalizowanych wiosną przez „Nature", liczba naukowców aplikujących rok do roku o pracę w Kanadzie wzrosła o 41 proc., w Europie o 32 proc., a w Chinach o 20 procent.

Wolę Irlandię

Amerykę opuścił już Patrick – klimatolog. Od czerwca jest badaczem ekstremalnych zjawisk pogodowych w jednej z irlandzkich instytucji.

Zaczął rozglądać się za nową posadą tuż po tym, jak rok temu, w listopadzie 2024 r., Trump wygrał wybory prezydenckie. Patrick mówi, że przeczuwał, co się szykuje, bo Trump już za pierwszej kadencji ciął środki na badania nad klimatem. Już wtedy ubiegający się o fundusze naukowcy unikali we wnioskach grantowych takich słów, jak „zmiany klimatu" czy „zmienność klimatu".

Przeczucia Patricka nie zawiodły. Nowa administracja Trumpa obcięła ponad miliard dolarów funduszy na granty przyznawane przez Narodową Fundację Nauki (NSF). To instytucja finansująca badania na uczelniach i w laboratoriach ↦

↦ federalnych. Cięcia objęły również kluczową dla badań nad klimatem Narodową Administrację ds. Oceanów i Atmosfery (NOAA).

Właśnie na funduszach z tych dwóch instytucji polegała prestiżowa uczelnia z tzw. Ligi Bluszczowej, na której pracował Patrick (naukowiec nie chce podawać jej nazwy, ze względów bezpieczeństwa poprosił też o zmianę swojego imienia).

– Jeszcze przed wyjazdem z USA zaczynałem dzień od sprawdzania doniesień o nowych prezydenckich dekretach. Bałem się, że Trump ogłosi kolejne cięcia dla nauki i z dnia dzień stracę środki na badania. A że byłem naukowcem na stażu podoktorskim, to moja pensja całkowicie zależała od zewnętrznych grantów – tłumaczy Patrick w rozmowie z „Tygodnikiem". Razem z żoną mają na utrzymaniu czteroletnią córkę.

Co będzie w roku 2026

Gdy w połowie marca Patrick dowiedział się, że przyjęto go do pracy w Irlandii, poczuł ogromną ulgę. Jak mówi, jeśli tylko będzie miał taką możliwość, zostanie na stałe w Europie.

Patrick obawia się, że polityka Trumpa pogrąży amerykańskie badania nad klimatem, i to w momencie, gdy w USA dochodzi do coraz częstszych anomalii pogodowych: od huraganów i tornad, po rekordowe upały, powodzie i pożary.

Tymczasem pod wielkim znakiem zapytania pozostaje sposób finansowania nauki w 2026 r. Administracja Trumpa chciałaby obciąć aż o ponad połowę budżet dla NSF, o niemal 40 proc. dla Narodowych Instytutów Zdrowia (przyznają one granty na badania medyczne) oraz o ponad 24 proc. dla agencji kosmicznej NASA.

Choć zatwierdzenie tak dużych cięć przez Kongres jest mało realne – na co wskazują projekty budżetu przygotowywane jeszcze przed zakończonym właśnie shutdownem, paraliżem budżetu federalnego – to naukowcy wciąż czekają w niepewności.

Organizacja American Association for the Advancement of Science alarmowała wiele miesięcy temu, że jeśli jakimś cudem Biały Dom dopiąłby swego i obcięto by cały roczny budżet na naukę ze 198 do 154 mld dolarów, to byłaby to najniższa kwota, jaką przeznaczono na badania w USA w wieku XXI.

Obserwatorzy przestrzegają, że taki obrót spraw może pogrzebać rolę Ameryki jako światowego lidera w nauce i dziedzinie innowacji.

Awantura o Indian

O tym, jak trudne staje się dziś prowadzenie badań w USA, opowiada mi Andrew, doktor nauk o Ziemi pracujący na Zachodnim Wybrzeżu (imię zmienione, on również prosił, aby nie podawać jego personaliów, nawet prawdziwego imienia).

Wylicza, że stracił już dwa granty z Narodowej Administracji ds. Oceanów i Atmosfery. I to jeszcze zanim zdążyły się one rozpocząć. Jeszcze inny grant jest obecnie poddany audytowi. Trafił na „czarną listę", bo według administracji Trumpa zawiera „radykalnie lewicowe" słowa – jak „klimat", „edukacja" i... „Indianie".

Andrew tłumaczy, że „Indianie" w jego wniosku grantowym wzięli się stąd, że jeden z modułów projektu przewiduje zajęcia dla licealistów w szkole na terenie rezerwatu dla rdzennych Amerykanów. Miejsce jest nieprzypadkowe, bo badania naukowe mają być prowadzone w pobliskim centrum obliczeniowym.

– To pokazuje szaleństwo tej administracji. Jeśli rząd zakręci nam kurek z pieniędzmi na badania, będziemy skończeni – mówi Andrew. – Nie mamy gdzie aplikować o nowe granty, bo Narodowa Fundacja Nauki i inne agencje nie mają jeszcze zatwierdzonego budżetu na przyszły rok.

– Teoretycznie możemy próbować zdobyć pieniądze od prywatnego sektora, ale trudno o fundusze, jeśli prowadzi się badania mające na celu wyjaśnianie zjawisk, a nie stworzenie wynalazku lub produktu. Bill Gates i inni amerykańscy filantropi raczej pieniędzy nam nie dadzą – spekuluje Andrew, który nie wyklucza wyjazdu za granicę, jeśli sytuacja w amerykańskiej nauce nie ulegnie poprawie.

Chiny składają ofertę

Już teraz mówi się o wywołanym przez politykę Trumpa drenażu mózgów. Jednak tym razem to nie Stany ściągają do siebie największe talenty.

Gdy w lutym noblista Ardem Patapoutian przestrzegał na platformie Bluesky, że trumpowskie cięcia zniszczą badania biomedyczne w USA, ponoć natychmiast dostał propozycję z Chin. Według doniesień dziennika „New York Times" naukowiec – nagrodzony w 2021 r. za odkrycie receptorów temperatury i dotyku – dostał ofertę, by prowadzić własne laboratorium na dowolnej uczelni w Chinach, z promesą finansowania na 20 lat.

Patapoutian, któremu administracja zamroziła środki na jeden z grantów, z oferty nie skorzystał. Korzystają za to inni. Według wyliczeń badaczy z Uniwersytetu Princeton, tylko w pierwszym półroczu do Chin wyprowadziło się ok. 50 naukowców chińskiego pochodzenia.

Walizki po czterech dekadach życia w Stanach spakował też Liu Jun, światowej klasy statystyk z Uniwersytetu Harvarda – uczelni od miesięcy atakowanej przez administrację Trumpa.

Pismo „Nature" twierdzi, że chińskie prowincje biją się nawet o doktorantów i naukowców ze stopniem doktora. Np. ponoć za przeprowadzkę z USA do prowincji Hunan doktoranci na „dzień dobry" mogą dostać nawet 140 tys. dolarów.

Globalna kolejka chętnych

W tym wyścigu uczestniczą także Australia, Kanada i Europa. W maju szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen ogłosiła, że Unia w latach 2025-27 wyda pół miliarda euro na przyciągnięcie największych talentów. Biją się o nie już uczelnie m.in. z Niemiec, Belgii, Portugalii, Holandii czy Francji.

Również ze Szwajcarii, nie należącej do Unii. Np. Uniwersytet w Zurychu od przyszłego roku zatrudni laureatów Nagrody Nobla z ekonomii – Esther Duflo i Abhijita Banerjee, którzy mają tworzyć na tej uczelni własne centrum badawcze.

Z kolei francuski Uniwersytet Aix-Marseille uruchomił w marcu program „Safe Place For Science" (Bezpieczne miejsce dla nauki), do którego w ciągu zaledwie miesiąca zgłosiło się niemal 300 naukowców z USA. W tym osoby z najbardziej prestiżowych uczelni, jak Uniwersytet Johnsa Hopkinsa, Columbia, Yale czy Stanford.

Amerykanin w Marsylii

Wśród kandydatów do programu „Safe Place For Science" jest profesor historii Brian Sandberg, już teraz przebywający na stażu naukowym na Uniwersytecie Aix-Marseille.

Sandberg tłumaczy w rozmowie z „Tygodnikiem", że pierwotnie przyjechał do Marsylii na rok, aby robić badania dotyczące francuskich wojen religijnych

w wiekach XVI i XVII. Jednak w obliczu głębokich cięć funduszy na naukę nie widzi dużych szans na pracę w USA. Uważa, że za rządów Trumpa jest mało prawdopodobne, by badacze nauk humanistycznych otrzymali nowe granty. Narodowy Fundusz na rzecz Humanistyki (NEH), który w dużej mierze finansował badania Sandberga, wstrzymał większość bieżących grantów i ogłosił, że przeznaczone na nie środki posłużą realizacji „prezydenckiej agendy".

Fundusze trafią więc na badania dotyczące, przykładowo, kluczowych wydarzeń w amerykańskiej historii – co wpisuje się w przygotowania do przyszłorocznych obchodów 250. rocznicy niepodległości USA.

Ze stanu do stanu

Brian Sandberg wspomina moment ogłoszenia trumpowskich cięć: – To był czwartek 3 kwietnia. Razem ze współpracownikami z mojej uczelni mieliśmy spotkanie online z koordynatorką projektów z Narodowego Funduszu na rzecz Humanistyki. Przygotowywaliśmy wniosek grantowy i chcieliśmy skonsultować z nią kilka kwestii. Parę godzin później dowiedziałem się z mediów, że 80 proc. pracowników tej agencji wysłano na przymusowy urlop. Być może wśród nich była kobieta, z którą rozmawialiśmy.

Sandberg dodaje, że badacze z dziedzin humanistycznych w USA obawiają się dziś nie tylko braku finansowania, ale także ograniczania ich wolności akademickiej. W tym ingerowania w ich program zajęć.

To może być istotny problem, jeśli ich uczelnie znajdują się w republikańskich stanach, których władze są bardziej skłonne do realizacji agendy Trumpa. Dziennik „The Guardian" pisał w październiku o naukowcach z Uniwersytetu Teksańskiego w Austin, obawiających się likwidacji całych katedr zajmujących się *gender studies* czy badaniami nad mniejszościami etnicznymi.

– Słyszałem o profesorach, którzy ze względu na atmosferę panującą na swoich uczelniach próbują przenieść się na uniwersytety w stanach rządzonych przez Demokratów – mówi Brian Sandberg.

Lepiej nie podróżuj!

Dla Massimo Faggiolego – włoskiego teologa i historyka Kościoła, w Stanach pracującego od 17 lat (i znanego także czytelnikom „Tygodnika") – najlepszym rozwiązaniem był wyjazd za granicę.



GRAŻYNA MAKARA

MASSIMO FAGGIOLI
ma poczucie, że wolność akademicka w USA jest dziś ograniczana.



INSTYTUT IMERA NA UNIWERSYTECIE AIX MARSEILLE

BRIAN SANDBERG
obawia się nie tylko cięć finansowych, ale też ingerencji w program uczelnianych zajęć.



ARCHIWUM PRYWATNE

EMMANUEL GUERISOLI
stracił szanse na stały kontrakt, gdy ekipa Trumpa obcięła fundusze na badania naukowe.

Faggioli wspomina, że w kwietniu dostał od prawnika ostrzeżenie, by unikał podróży poza USA, bo może mieć problem z ponownym wjazdem. Powiedziano mu, że jeśli jednak musi już podróżować poza Stany, to powinien zachować szczególne środki ostrożności.

Massimo Faggioli nie ma obywatelstwa USA, tylko jest stałym rezydentem, przez co na amerykańskich lotniskach jest bardziej narażony na kontrole ze strony funkcjonariuszy. W marcu głośny był przypadek francuskiego naukowca, któremu odmówiono wjazdu do USA, bo w jego telefonie znaleziono wiadomości krytyczne wobec Trumpa.

Dla Faggiolego ostrzeżenie dotyczące zagranicznych wyjazdów przechyliło szalę. Po powrocie Trumpa do władzy naukowiec już i tak pilnował się podczas prowadzenia zajęć. Podobnie jak liczni inni profesorowie obawiał się, że treści zahaczające o amerykańską politykę mogą nie spodobać się studentom o poglądach prawicowych, którzy zgłoszą to władzom uczelni lub umieszczą go w internecie na „czarnej liście" wykładowców.

To nie jest *political fiction*. W 2016 r. organizacja Turning Point USA założyła stronę internetową o nazwie Professor Watchlist, gdzie studenci mogą zgłaszać nazwiska wykładowców oskarżanych o szerzenie, jak to jest ujęte, „lewicowej propagandy".

Decyzja najbardziej amerykańska

Massimo Faggioli miał prawo obawiać się problemów, bo wypowiadał się krytycznie (także w swoich publikacjach) na temat sytuacji w USA oraz aliansu przywódców religijnych z Partią Republikańską.

Gdy w zeszłym roku skrytykował jednego z wpływowych amerykańskich biskupów katolickich za wspieranie Trumpa podczas kampanii, duchowny zagroził mu procesem sądowym.

Faggioli: – Gdy po tym wszystkim dostałem ostrzeżenie od prawnika, zacząłem działać. Już pod koniec maja miałem za sobą rozmowę kwalifikacyjną o pracę w Trinity College na Uniwersytecie w Dublinie. Zaproponowano mi stanowisko profesora eklezjologii.

Miał możliwość rozpoczęcia pracy od kolejnego roku akademickiego, ale po naradzie z żoną postanowili nie zwlekać. – Jestem naukowcem, więc nie mogę odpuścić sobie wyjazdów na zagraniczne konferencje. W Europie mam też najbliższą rodzinę – tłumaczy Faggioli.

Dodaje, że przez ten pośpiech jego dzieci nie mogły nawet porządnie pożegnać się z rówieśnikami, bo decyzja o wyjeździe zapadła już po zakończeniu roku szkolnego.

– Pracując w Stanach, zawsze ceniłem sobie akademicką wolność – tłumaczy Faggioli. – Po powrocie Trumpa do władzy poczułem jednak, że zaczyna być ona ograniczana, a nawet że grozi mi autocenzura. W tej sytuacji opuszczenie Ameryki było najbardziej amerykańską decyzją, jaką podjąłem w swoim życiu.

Taką decyzję podjęło również kilku innych naukowców, którzy jednak odmówili mi rozmowy – argumentując, że obawiają się, iż to narazi ich na dodatkowe problemy. Na mojego maila jednak odpowiedzieli. Zawsze obowiązkowi, jak to naukowcy. © MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press" i byłą korespondentką w USA. Stale współpracuje z „TP".

Sygnał dla świata

JACEK STAWISKI

MEDIA | Donald Trump żąda od brytyjskiego nadawcy publicznego wielkiego odszkodowania za zmanipulowanie jego słów. Ale to nie jedyny powód, który sprawia, że BBC – instytucja nobliwa, z tradycjami – jest w kryzysie.

British Broadcasting Corporation (BBC) to więcej, dużo więcej niż tylko nadawca publiczny – radiowy, telewizyjny, dziś także internetowy. Patrząc historycznie, to jedna z najważniejszych instytucji Wielkiej Brytanii. Oraz jedna z największych instytucji medialnych na kuli ziemskiej.

Tymczasem BBC przeżywa dziś kryzys – zarówno w wymiarze wizerunkowym, jak i ideowym. Głównym powodem jest ostry spór z Trumpem. Choć nie jedynym.

FAKTY I EMOCJE | Prezydent USA chce wytoczyć BBC proces o zmanipulowanie jego wypowiedzi z pamiętnego 6 stycznia 2021 r. Tamtego dnia tłumy jego gorliwych, nierzadko fanatycznych zwolenników zaatakowały siedzibę Kongresu na waszyngtońskim Kapitolu. Chcieli zablokować procedurę zaakceptowania przez parlament wyniku wyborów, wygranych przez Joego Bidena. Kilka osób zginęło.

Przedstawiciele BBC przyznają, że słowa Trumpa, zacytowane w prestiżowym programie informacyjno-publicystycznym „Panorama", który wyemitowano latem 2024 r., zmontowano tak, aby dowieść, iż tego dnia wzywał on do przemocy.

Jednak w tak oczywisty sposób Trump się wtedy nie wypowiedział – choć bez wątpienia zachęcał swoich zwolenników do protestowania i podgrzewał emocje, co miało fatalne skutki. Natomiast sklejenie w jedną całość dwóch fragmentów jego wypowiedzi, które w rzeczywistości rozdzielało kilkadziesiąt minut, rzeczywiście wypaczyło sens jego słów.

GROŹBA POZWU | BBC przeprosiło, ale to nie wystarcza Trumpowi. Podtrzymuje groźbę pozwania korporacji, domagając się zadośćuczynienia – od miliarda do pięciu miliardów dolarów. Trump twierdzi, że tylko w ten sposób będzie można zagwarantować, aby nikt inny nie został obwiniony przez BBC o działania, których nie popełnił.

Czy Trump może pozwać przed sądem USA instytucję z Wielkiej Brytanii? Prawnicy BBC twierdzą, że nie ma do tego podstaw: zwracają uwagę, że akurat ten odcinek programu „Panorama" nie był emitowany w Stanach, a Trump i tak wygrał wybory w 2024 r., więc emisja programu nie przesądziła o ich wyniku.

Dodatkowo prawnicy BBC zwracają uwagę, że zmontowana wypowiedź trwała zaledwie 12 sekund, podczas gdy cały program kilkadziesiąt minut, i że pojawiały się w nim obszerne wypowiedzi osób wspierających Trumpa i jego obóz.

Wygląda jednak na to, że wyjaśnienia prawników BBC oraz przeprosiny ze strony prezesa BBC Samira Shaha, przekazane w liście do Białego Domu, to za mało, aby usatysfakcjonować prezydenta USA.

BBC W KRYZYSIE | Ale to nie wszystko. Krytyka, jaka spadła na BBC w związku z programem „Panorama" i zmontowaną wypowiedzią Trumpa, wywołała prawdziwe trzęsienie ziemi w korporacji. Do dymisji podali się dyrektor generalny Tim Davie i szefowa programów informacyjnych Deborah Turness.

Ponadto w samej instytucji zaczęły pojawiać się oskarżenia o spisek – nie tylko przeciw szefostwu BBC, ale przeciw instytucji jako takiej. Niektórzy znani dziennikarze BBC wyrażali opinię (nie w programach, bo tu muszą zachować bezstronność, lecz na swych profilach społecznościowych), że dyskusja o standardach w BBC jest oczywiście istotna, ale problemem jest też atak na korporację, na jej rolę i pozycję, jaką zajmuje od dekad w społeczeństwie brytyjskim.

Sprawa zmontowania słów Trumpa miałaby być zaś, w takiej perspektywie, pretekstem do tego ataku (o czym więcej za chwilę).

TRUMP VS MEDIA | Spór BBC z prezydentem USA wpisuje się w szerszy konflikt: między Trumpem a liczącymi się mediami, nie tylko amerykańskimi.

Trump od lat uważa, że tradycyjne media nie piszą i nie mówią o nim prawdy, ale tworzą kłamstwa i manipulacje. Dlatego pogardliwie nazywa je „kłamliwymi mediami" (*fake news media*), zaliczając do nich także BBC. Brytyjski nadawca jest bowiem oglądany i ceniony także na rynku amerykańskim i globalnym.

Groźba pozwu wobec BBC nie jest tu precedensem. Trump chętnie pozywa media, domagając się wielkich odszkodowań. Nie oszczędza nawet tych, którzy są przychylni większości jego działań i są w rękach właścicieli wspierających Republikanów.

Niedawno pozwał prestiżowy dziennik finansowy „Wall Street Journal" na kwotę aż 12 mld dolarów za opublikowanie listu i rysunku, który znajdował się w zbiorach dokumentów dotyczących Jeffreya Epsteina, skazanego za pedofilię i stręczycielstwo, a które prawdopodobnie były podpisane przez Trumpa.

Z kolei nawet 20 mld dolarów Trump domagał się od firmy Paramount, właściciela stacji CBS News, za emitowanie dwóch różnych wypowiedzi Kamali Harris na temat Bliskiego Wschodu jesienią 2024 r., co rzekomo miało pomagać jej w kampanii. Paramount zgodziła się wypłacić Trumpowi kilkanaście milionów, unikając tym kosztów procesu i możliwej zemsty administracji USA (Paramount musiał uzyskać zgodę na fuzję i nową koncesję po przejęciu innej firmy medialnej).

EFEKT MROŻĄCY | To nie koniec. Kilkanaście milionów dolarów musiała zapłacić Trumpowi inna duża telewizja amerykańska, ABC, której dziennikarz powiedział, że prezydent został skazany za gwałt (w istocie został skazany, ale nie za gwałt, lecz wykorzystanie seksualne). Z kolei najbardziej znana gazeta amerykańska, dziennik „New York Times", została pozwana przez Trumpa za krytyczne opinie o nim w czasie ubiegłorocznej kampanii wyborczej.



TASOS KATOPODIS / GETTY IMAGES

Do tej pory Trump chętnie pozywał media w USA, teraz dostało się Brytyjczykom. Na zdjęciu: prezydent USA i dziennikarze przed Białym Domem, 21 września 2025 r.

Efekt mrożący już widać. Jeden z najbogatszych ludzi na planecie, Jeff Bezos – właściciel Amazona i dziennika „Washington Post" – wprowadził nowe zasady pisania komentarzy redakcyjnych w swojej gazecie, tworząc nową strukturę w redakcji odpowiedzialną za komentarze (ang. *editorials*).

Wbrew tradycji, w 2024 r. „Washington Post" – postrzegany jako centrowy i liberalny – nie wskazał, kogo popiera w wyborach, co odczytano jako efekt nacisków Bezosa, który nie chciał wchodzić w konflikt z Trumpem na wypadek jego wygranej. Część dziennikarzy gazety skrytykowała to i złożyła rezygnację. Bezos przekonywał, że gazeta nie powinna wskazywać kandydata, bo czytelnicy oczekują bezstronności.

Tradycyjne media są pod ostrzałem także innych członków administracji. Minister wojny (do niedawna obrony) Pete Hegseth wprowadził nowe zasady akredytacji dziennikarzy w Pentagonie, wprowadzając restrykcje. Tym razem jednak nowym zasadom nie podporządkowały się nawet media wspierające Republikanów i Trumpa.

NA CENZUROWANYM | Pozwy Trumpa wobec mediów to jedno, ale w przypadku BBC to zaledwie jeden element kryzysu w instytucji, szczególnie w redakcjach informacyjnych i publicystycznych. To właśnie za sprawą news & current affairs (informacja i publicystyka) BBC jest ostatnio na cenzurowanym.

Brytyjski nadawca publiczny oferuje widzom wysokiej jakości programy, filmy, widowiska rozrywkowe i widowiska ze sfery wysokiej kultury, transmisje sportowe, programy dla dzieci itp. Te dziedziny działalności nie budzą zastrzeżeń, co więcej, wyznaczają światowe standardy. Za to informacje i publicystyka to sfera dziś wrażliwa.

Dodatkowym – obok kontrowersji wokół montażu słów Trumpa – powodem rezygnacji szefostwa BBC było opublikowanie przez „Daily Telegraph" (dziennik konserwatywny, cieszący się renomą) wewnętrznego raportu BBC o nieprawidłowościach i odejściu od wyśrubowanych standardów przy okazji relacjonowania innych zdarzeń.

Raport wskazywał, że BBC nie była obiektywna w relacjonowaniu np. konfliktu w Gazie, często ignorując informacje dotyczące Izraela, choćby cierpienia zakładników i ich rodzin. Krytycznie raport ocenił to, jak wojnę w Gazie relacjonowano w serwisie arabskim BBC. W 2024 r. BBC była też krytykowana po emisji reportażu z Gazy, gdy okazało się, że jego narrator był synem funkcjonariusza Hamasu, o czym nie poinformowano widzów.

Burzę wywołało też nieprzerwanie transmisji koncertu muzycznego, podczas którego jeden z raperów wzywał do zabijania żołnierzy izraelskich.

KRYTYKA Z OBU STRON | Konflikt palestyńsko-izraelski budzi na Wyspach Brytyjskich ogromne emocje. Sympatycy obu stron krytykują BBC za, ich zdaniem, niedostateczne branie pod uwagę racji Izraelczyków czy Palestyńczyków.

Po ataku Hamasu z 7 października 2023 r. w Londynie odbył się proizraelski protest, którego uczestnicy domagali się, aby BBC określała członków Hamasu jako terrorystów (BBC nazywa ich bojownikami). Wzywano BBC do zmiany tego nastawienia, argumentując, że nawet król Karol mówi o Hamasie jako o terrorystach. Z kolei zwolennicy strony palestyńskiej zarzucali BBC, że często przytacza bezkrytycznie stanowisko Izraela.

Ale to nie jedyny powód krytyki. W ostatnich latach British Broadcasting Corporation była dotknięta głośnymi i ponurymi skandalami obyczajowymi: okazało się, że wśród wybitnych dziennikarzy i gwiazd BBC byli tacy, którzy latami wykorzystywali seksualnie dzieci albo starali się o dostęp do zdjęć nieletnich z kontekstem seksualnym.

ZA MAŁO BRYTYJSKA? | Obecny kryzys w BBC oraz wokół BBC daje silne argumenty do ręki tym, którzy chcą korporację ograniczyć, pozbawić opłaty licencyjnej od obywateli (abonamentu) lub wręcz ją sprywatyzować. Takie głosy formułuje zwłaszcza prawa strona – konserwatyści i prawicowo-populistyczna partia Nigela Farage'a, która jest dziś na sondażowej fali wznoszącej.

Środowiska te zarzucają BBC, jakoby była oderwana od realiów społecznych Wysp, „kosmopolityczna", „lewicowa", „metropolitarna" i za mało „brytyjska". Twierdzą, że BBC mówi innym językiem niż większość obywateli i nie rozumie emocji zwykłego Brytyjczyka.

Na razie rząd Partii Pracy trzyma się z dala od tego sporu. Ale jeśli kolejne wybory wygra prawica, to dzisiejszy splot kontrowersji wokół szacownej BBC – w tym krótka, raptem 12-sekundowa zbitka wypowiedzi Trumpa – może mieć daleko idące konsekwencje. Zarówno dla BBC, jak też dla mediów brytyjskich i odbiorców mediów w Wielkiej Brytanii.

Biorąc pod uwagę znaczenie i rangę BBC, byłby to także sygnał dla całego świata. ©℗



CESAR MANSO / AFP / EAST NEWS

Ekshumacja ofiar represji z czasów hiszpańskiej wojny domowej i reżimu Franco. Prace przy zbiorowej mogile na cmentarzu w Ejea de los Caballeros w prowincji Saragossa. Hiszpania, 28 października, 2025 r.

Duch dyktatora nad Hiszpanią

AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z ANDALUZJI

PAMIĘĆ I DEMOKRACJA | 50 lat po śmierci Francisco Franco pamięć o nim oraz o wojnie domowej wciąż dzieli społeczeństwo. Jedni chcą rozliczeń, inni wolą zostawić przeszłość w spokoju. Tymczasem wciąż trwają ekshumacje ofiar frankizmu.

Dwaj mężczyźni stoją nad rowem, uważnie obserwują każdy ruch koparki. W Ejea de los Caballeros, kilkunastotysięcznym miasteczku w Aragonii (regionie na północy Hiszpanii), prace trwają pełną parą. Najpierw w ruch idzie koparka, potem ziemię przesiewa się ręcznie. Wydobyte szczątki układa się na deskach.

W ciemnej wilgotnej ziemi błyszczy biała warstwa wapna – to znak charakterystyczny tutejszej mogiły. Ówczesna brutalna metoda pochówku, polegająca na zasypywaniu zwłok wapnem, ma dziś jednak zaletę: wapno działało dezynfekująco i spowalniało rozkład ciał. W tym rowie znaleziono dotąd ponad 160 ofiar.

CZEKAJĄC NA GRÓB | Dwaj mężczyźni, którzy stoją nad mogiłą, Angelino i José Miguel, szukają dziadka i wujka. Pierwszy miał na imię Lucas i 57 lat. Drugi, Antonio, 21 lat. Byli pracownikami rolnymi, zatrudnianymi na dniówki. Z więzienia w Ejea wyszli 16 sierpnia 1936 r., po czym ślad po nich zaginął. Prawdopodobnie rozstrzelano ich gdzieś w okolicy, a ciała wrzucono tutaj – do największej zbiorowej mogiły w Aragonii.

Ekshumacja, która właśnie trwa – prawie 90 lat później – to nie wszystko. Dzięki pracy lokalnego stowarzyszenia pamięci historycznej udało się także sporządzić listę potencjalnych ofiar, pobrano też próbki DNA od krewnych.

Zdjęcia z otwarcia kolejnej zbiorowej mogiły opublikowała pod koniec października publiczna telewizja RTVE. Prace ekshumacyjne są przewidziane na miesiąc.

Patrząc w skali całej Hiszpanii, kolejne poszukiwania i ekshumacje będą trwać jeszcze bez wątpienia długie lata. Rodziny, które od dekad czekają wciąż na godny pochówek swoich bliskich, ofiar wojny domowej z lat 1936-39 i dyktatury, muszą uzbroić się w cierpliwość.

90 LAT TEMU | Hiszpańska wojna domowa wybuchła w 1936 r.: między republikanami broniącymi republiki a nacjonalistami generała Francisco Franco, wspieranymi przez Kościół katolicki i konserwatywne elity (z czasem jedną stronę zaczął wspierać Związek Sowiecki, a drugą nazistowskie Niemcy i faszystowskie Włochy).

Trzy lata walk pochłonęły ponad pół miliona ofiar. Ludzie ginęli nie tylko na frontach. Obie strony stosowały masowe represje – nawet za poglądy czy przynależność klasową. Bywało, że ludzie znikali bez wyroku i bez śladu.

Gdy w 1939 r. zwyciężyli nacjonaliści, zaczął się terror dyktatury Franco. Kolejne lata przyniosły nowe tysiące ofiar – i pokolenia żyjące w strachu. Zabijano za poglądy, przynależność do związków zawodowych, na skutek donosów sąsiadów i znajomych.

Po wojnie domowej zwycięzcy upamiętnili ofiary po swojej stronie, a te po stronie przeciwnej skazali na zapomnienie. Także katów (tych z prawej strony) nikt nie ścigał – byli zwycięzcami. Dziś Hiszpanią rządzi centrowo-lewicowa koalicja, która chce przywrócić pamięć o tych zapomnianych ofiarach. A często także je odnaleźć.

KWESTIA CZASU | Najtrudniejsza jest jednak walka z czasem. Javier Iglesias-Bexiga – biolog i antropolog sądowy, profesor na Uniwersytecie Autonomicznym w Madrycie – dobrze wie, jak długo może trwać identyfikacja szczątków sprzed kilkudziesięciu lat. Brał udział w pracach przy ponad stu zbiorowych mogiłach ofiar frankistów.

Jeden przypadek zapadł mu w pamięć szczególnie mocno. – Wnuczka szukała ciała dziadka. Podczas prac identyfikacyjnych, które trwają długo, u jej ojca zdiagnozowano raka i zaczęła się walka z czasem. Interweniowałem w tej sprawie u władz Andaluzji i prace w laboratorium udało się przyspieszyć – mówi Javier Iglesias-Bexiga w rozmowie z „Tygodnikiem".

– W piątek przekazaliśmy rodzinie informację o zidentyfikowaniu ciała, a w niedzielę jego syn już nie żył – wspomina profesor. – Odszedł, wiedząc przynajmniej, że ciało jego ojca po wielu latach będzie można godnie pochować.

PAMIĘĆ I POLITYKA | Stowarzyszenie Naukowe Arqueoantro, do którego należy Javier Iglesias-Bexiga, średnio co dwa tygodnie dostaje nowe powiadomienie na WhatsAppie o miejscach, gdzie mogą być zbiorowe mogiły. Wtedy zaczyna się długi proces starań o finansowanie projektu – najpierw poszukiwań, potem ekshumacji.

Każdy przypadek trzeba indywidualnie zgłosić. Co dalej, to zależy od położenia danego miejsca.

– W regionach rządzonych przez konserwatywną Partię Ludową i skrajnie prawicową VOX nie ma woli politycznej do ekshumacji. Obie partie były zakładane przez polityków, którzy wywodzili się z reżimu Franco – mówi Iglesias-Bexiga. W niektórych regionach, jak Estremadura czy Kastylia i León, lokalne władze uchwaliły własne regulacje, odmawiając prawa do ekshumacji i reparacji ofiarom frankizmu.

Stowarzyszenie Arqueoantro uczestniczy też w tworzeniu mapy audiowizualnej Hiszpanii ze zdjęciami i krótkimi opisami miejsc, w których odkryto szczątki represjonowanych przez reżim Franco. Wiele lokalizacji to tylko punkt na mapie, zdjęcie i zapis „brak dalszych informacji".

WIELE DO ZROBIENIA | Na pozór może to zdumiewać – zważywszy, że Franco zmarł pół wieku temu, 20 listopada 1975 r., a proces poszukiwań ofiar trwa już od prawie pół wieku. Do pierwszych ekshumacji doszło bowiem dwa lata po śmierci dyktatora. Natalia Junquera z dziennika „El País", która badała ten temat, twierdzi, że już wtedy „skruszeni księża, niegdyś powiązani z reżimem Franco, licznie odpowiedzieli na apel wdów i pomagali w poszukiwaniach".

Pierwszy moment, gdy zdawało się, że poszukiwania na większą skalę będą możliwe, nastał na początku lat 80. XX w. – władzę objęła wtedy centrolewica. Jednak premier Felipe González orzekł, że „to nie jest moment" na poruszanie tematu dyktatury.

Takie podejście, narzucone podczas transformacji demokratycznej, obowiązywało jeszcze jakiś czas. Potem polityka ewoluowała wraz z kolejnymi rządami: lewica podejmowała ekshumacje, a gdy władzę obejmowała prawica, wstrzymywała je lub redukowała ich finansowanie.

Trzy lata temu uchwalono nową ustawę o pamięci demokratycznej, powołano ministra ds. polityki terytorialnej i pamięci historycznej. – Nowe regulacje po raz pierwszy stawiają ofiary w centrum uwagi, zapewniając im też reparacje – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem" Fernando Martínez López, sekretarz stanu ds. pamięci demokratycznej. Jednak w kwestii pamięci wciąż jest wiele do zrobienia.

W ostatnich latach złożono setki pozwów dotyczących tortur, egzekucji, kradzieży niemowląt i pracy przymusowej, co było na porządku dziennym podczas niemal 40 lat dyktatury. Jednak, jak zauważa Amnesty International, ustawa o amnestii z 1977 r. pozwala odmawiać wciąż ofiarom frankizmu prawa do sprawiedliwości i reparacji. Stąd konieczna jest jej zmiana.

SKRADZIONE DZIECI | Hiszpania nie uporała się też dotąd z problemem *niños robados*, skradzionych dzieci. Były ich tysiące – zniknęły z życia swoich rodzin. Także z życia Marí Bueno: dopiero w czerwcu tego roku, po latach walki, zobaczyła imię swej córki w rejestrze stanu cywilnego – dowód, że dziecko, które urodziła 43 lata temu, istnieje.

W rozmowie z agencją EFE María wspominała, że miała wówczas 20 lat i była niezamężną studentką. Jej ciąża przebiegała normalnie, aż na tydzień przed datą porodu poczuła skurcze. Jej lekarz orzekł, że płód jest martwy, a jej życie zagrożone.

Działo się to w mieście La Línea de la Concepción w Andaluzji. María trafiła do szpitala prowadzonego przez siostry miłosierdzia. Przydzielono jej osobny pokój i uśpiono. Obudziła się kolejnego dnia, w Boże Narodzenie. Ciała dziecka nie pozwolono jej zobaczyć.

Potem skończyła prawo, wzięła ślub, urodziła kolejne dwoje dzieci. Szesnaście lat temu przeczytała, że jej dawny ginekolog został oskarżony o udział w kradzieży ponad 80 dzieci. Wtedy sprawdziła, że szpital nie zarejestrował ani jej porodu, ani śmierci dziecka. Jej sprawa, podobnie jak wiele innych, została umorzona – przedawnienie.

Poza tym wpisem w rejestrze María dotąd nie wie, co się stało z jej dzieckiem. Najpewniej zostało oddane do adopcji. Nie przestaje walczyć, zgłosiła sprawę do ONZ.

Stowarzyszenia rodzin „ukradzionych dzieci" udokumentowały już ponad 300 tys. podobnych przypadków. „Na początku motywacja do kradzieży dzieci była polityczna: ofiarami były dzieci więźniarek. Później przybrała formę represji ideologicznej, moralnej, religijnej" – pisał rzecznik praw obywatelskich. Praktyka, rozpoczęta w czasach dyktatury, trwała jeszcze w okresie transformacji i pierwszych latach demokracji.

LUDZIE-KRETY | Wojna domowa i dyktatura podzieliły społeczeństwo na dwa obozy: lewicowych przeciwników Franco (republikanów, zwanych *rojos*; czerwoni) oraz zwolenników dyktatora, należących do obozu narodowego. Strach przed donosami i represjami był tak ogromny, że niektórzy republikanie ukrywali się latami. Zwano ich *los topos* – krety.

Należał do nich Manuel Cortés Quero, były burmistrz miasta Mijas w Andaluzji. Najlepsze lata życia spędził w ukryciu, w samotności. O tym, że żyje, wiedziała ↦

↦ tylko żona; dzieci i wnuki widywał, podglądając przez dziurkę od klucza. W nocy, gdy wszyscy spali, wychodził z kryjówki, by rozprostować kości. Łączność ze światem dawało mu radio.

W zamknięciu spędził w sumie 30 lat. Dokładał się do rodzinnego budżetu, wytwarzając przedmioty na sprzedaż z trawy *esparto*. Dopiero w marcu 1969 r., trzy dekady po zakończeniu wojny domowej, zdecydował się ujawnić – po ogłoszeniu amnestii.

TYSIĄCE ŚLADÓW | 50 lat po śmierci dyktatora Hiszpania wciąż nosi materialne ślady frankizmu: w nazwach ulic, miast, wiosek.

Latem tego roku Andaluzja zmieniła nazwę ostatniej miejscowości w regionie, która nawiązywała do dyktatury. Rada miejska zdecydowała, że Villafranco del Guadalhorce będzie odtąd Villa del Guadalhorce. Decyzja wywołała mieszane reakcje: część mieszkańców broniła, jak mówili, „swojej tożsamości". Inni witają zmianę jako krok w stronę nowoczesnej pamięci historycznej.

W całym kraju wciąż jest ponad 6 tys. ulic, placów i innych miejsc nawiązujących swymi nazwami do frankizmu. Podczas niedawnej sesji parlamentu premier odpowiadał na zarzuty posłów w tej sprawie: socjalista Pedro Sánchez zapowiedział, że do końca listopada w rządowym biuletynie zostanie opublikowana lista frankistowskich symboli i znaków, które mają zniknąć z przestrzeni publicznej.

Wielu pytało, dlaczego trzeba było czekać na to 50 lat.

ROZWIĄZANA FUNDACJA | W sercu Madrytu, tuż przy stacji metra Nuevos Ministerios, działa Fundacja Narodowa Francisco Franco. Na jej stronie internetowej jest sklep online. Wśród produktów: kalendarz za 10 euro, butelki z inicjałami fundacji FNFF za 16 euro, do tego paski i krawaty w kolorach nawiązujących do dyktatury. Także książki gloryfikujące spuściznę Franco. Jest też zakładka zachęcająca do wpłat – fundacja nie ukrywa, że aby mogła działać, konieczne jest wsparcie sympatyków.

Instytucja deklaruje, że jej celem jest „przypominanie tego, co wydarzyło się w historii Hiszpanii, aby rzeczywistość nie została zniekształcona". Jest też ocena samego Franco: „najbardziej prestiżowy



DOMENA PUBLICZNA

50 lat po śmierci Franco sondaże pokazują, że jeden na pięciu Hiszpanów w wieku 18-24 lat ocenia lata frankizmu jako „dobre" lub „bardzo dobre", a 17 proc. uważa, że demokracja jest gorsza od frankistowskiej dyktatury.

generał Hiszpanii, który pomógł scalić naród, zjednoczyć państwo i wyprowadzić Hiszpanów z materialnej i moralnej biedy".

W komentarzach na tej stronie, odnoszących się do bieżących wydarzeń, odnajdziemy np. wpis z października. Czytamy w nim, że sesja parlamentu z 7 października „powinna zostać zapomniana i nigdy nie poruszana w szkołach". Tego dnia, po latach prawnych potyczek, parlament zatwierdził rozwiązanie fundacji. Przeciw głosowało 33 posłów VOX.

FILMOWE TABU | Od 25 października w Hiszpanii można oglądać film „La cena" (Kolacja). To komedia przedstawiająca bankiet dla dyktatora, który odbył się w kwietniu 1939 r., dwa tygodnie po zakończeniu wojny domowej. Jest to jeden z nielicznych filmów, które odważyły się pokazać postać Franco satyrycznie.

Reżyser Manuel Gómez Pereira pracował nad tym projektem od 2008 r., a realizacja nie była łatwa – stacje telewizyjne zamykały przed nim drzwi, a biura decyzyjne wciąż oceniały, co można pokazać, a czego nie.

Zdaniem Pereiry pół wieku od śmierci Franco hiszpańskie kino wciąż woli unikać ryzyka, a komedie o nim są rzadkością. Presja lokalnych władz i dotacji publicznych znacznie ogranicza wolność twórczą. „Ten film przypomina, że ostatnim tabu hiszpańskiego kina nadal pozostaje Francisco Franco" – mówił Pereira w wywiadzie dla „El País".

CO MYŚLĄ MŁODZI | Tymczasem jest coś, co niepokoi socjologów. Najnowsze sondaże Centrum Badań Socjologicznych pokazują, że jeden na pięciu młodych Hiszpanów w wieku 18-24 lat ocenia lata frankizmu jako „dobre" lub „bardzo dobre", a 17 proc. uważa, że demokracja jest gorsza od frankistowskiej dyktatury.

– Wydaje mi się, że młode pokolenie Hiszpanów wielu rzeczy nie rozumie – ocenia Javier Iglesias-Bexiga, który na co dzień pracuje ze studentami.

– Nauczyciele w szkołach nie wiedzą, jak podejść do historii współczesnej Hiszpanii, jak opowiedzieć o tym, co działo się stosunkowo niedawno. W niemal każdej rodzinie były podziały – uważa z kolei historyczka Zoé Kerangat.

– W szkole mówiono nam, że i jedni, i drudzy, republikanie i nacjonaliści, popełniali ogromne zbrodnie – tyle z lekcji pamięta 34-letni Francisco.

Natomiast 22-letnia Anabel przyznaje w rozmowie z „Tygodnikiem": – Nie interesuję się polityką. Ale słyszałam, że za czasów Franco młodzi dostawali mieszkania.

Rok 2025 w Hiszpanii był szczególny. Nazwano go oficjalnie „rokiem wolności" – bo 50 lat temu śmierć dyktatora otworzyła drogę do przemian demokratycznych. W minionych miesiącach odbyło się kilkaset wydarzeń, które przypominały o historii.

– To właśnie z myślą o młodych ludziach je organizujemy. Trzeba im tłumaczyć, jak żyło się w dyktaturze, a jak jest w demokracji – mówi mi sekretarz stanu Fernando Martínez López.

KOLEJNE KARTY | W Hiszpanii jest dziś ok. 6 tysięcy zidentyfikowanych zbiorowych mogił z czasów wojny domowej i dyktatury, a wciąż znajdywane są kolejne. Szacuje się, że spoczywa w nich ok. 114 tys. ludzi. Ministerstwo ds. pamięci demokratycznej chciałoby zakończyć prace nad nimi w ciągu trzech lat. Zdaniem ekspertów to niewykonalne.

Javier Iglesias-Bexiga uważa, że ekshumacje pomogą w dopisaniu kolejnych kart historii. – Wydobywane z ziemi ciała opowiadają zapomniane i przemilczane dotąd historie. A bez pamięci nie ma ani współczesności, ani przyszłości.

© AGNIESZKA ZIELIŃSKA

TYGODNIK POWSZECHNY

Roczna subskrypcja cyfrowa 30% taniej

tylko w listopadzie



w prezencie!

Szczegóły oferty:
TygodnikPowszechny.pl/30proc_torba

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

SPOD CHÓRU TEŻ SŁYCHAĆ

PIOTR DOMALEWSKI, REŻYSER:

Na tym etapie życia nie muszę pytać, czy jest dla mnie miejsce w Kościele. Bóg jest po mojej stronie.

TADEUSZ MAREK: Ciekaw jestem, czy jeszcze pamiętasz: „Wspomożenie nasze w imieniu Pana…”

PIOTR DOMALEWSKI: „…który stworzył niebo i ziemię”. Lubię ten tekst – to wezwanie ministrantów przed wyjściem na ołtarz, mój ulubiony moment bycia ministrantem. Sygnał przynależności do wspólnoty.

Czasem zostawało się ministrantem, by być kimś na swojej dzielni. Dzięki temu można było więcej.

Nigdy tego tak nie odczułem. W mojej klasie w podstawówce tylko ja byłem ministrantem i nie było w tym motywacji, o której mówisz. Wywodzę się z bardzo konserwatywnej, katolickiej rodziny. Moi rodzice i dziadkowie byli oddani wierze i w tym oddaniu konsekwentni, więc ołtarz i kościół były dla mnie bardzo naturalne. Zawsze wychodziłem raczej z założenia, że ministrant to człowiek od techniki.

Wyjaśnij.

Wydaje mi się, że nie miałem w sobie nigdy bezpośredniej potrzeby występowania przed ludźmi. Lubiłem wprawdzie czytania, ale w moim przypadku była to raczej forma sprawdzenia samego siebie, wyzwanie. Mało osób sobie uświadamia, że lektorami nie zostawali wcale ci, którzy najlepiej czytali, tylko ci, którzy nie bali się skompromitować pomyłką przed całą lokalną społecznością.

Ty się nie bałeś?



Bałem, ale pociągała mnie nieustanna konieczność mierzenia się z samym sobą, konfrontacji.

Czyli scena.

Być może faktycznie jest w tym coś ze sceny, tylko tutaj nie otrzymuje się gratyfikacji w postaci braw. Musisz tę gratyfikację zapewnić sobie sam. W kościele sukcesem było, kiedy nikt nie zauważył, że to ty właśnie przeczytałeś czytanie. To znaczy: nie zwróciłeś na siebie uwagi myląc się czy wywracając po drodze do ambony. Zrobić i zniknąć – to był najlepszy *performance*.

Jest taki fragment Nowego Testamentu, który mówi, że jeśli rzeczywiście chcesz porozmawiać z Bogiem, to zamknij się w domu na trzy spusty, usiądź i módl się w ciszy. Wtedy zostaniesz wysłuchany. Kiedy usłyszałem to po raz pierwszy, miałem sześć lat, ale bardzo to do mnie przemówiło. Pomyślałem: „aha, nie muszę siedzieć w pierwszym rzędzie, spod chóru też mnie słychać".

To dość karkołomna zasada w kontekście zawodu, który wykonujesz...

Nie do końca.

Czy żeby dostać angaż i kasę na film, nie trzeba się tu i ówdzie pokazać?

Właśnie nie trzeba. Nie mam praktycznie żadnych mediów społecznościowych.



ŁUKASZ BĄK / NEXT FILM

Ale z pewnością masz ambicje. A żeby je realizować, musisz przeć w jakimś kierunku. To się nie dzieje samo.

Owszem. Jestem jednak głęboko przekonany, że tego się nie zdobywa aktywnością w soszialach. Jednym z konstytutywnych elementów mojej tożsamości jest dziedzictwo kulturowe związane z wsią i pracą. Uważam, że dobrze wykonana praca zawsze się zwróci. Trzeba robić swoje.

Być może to naiwne, zwłaszcza że współcześnie lansuje się model, w ramach którego największy sukces to ten osiągnięty bez pracy i wysiłku, najlepiej w wieku dwudziestu lat. Ja myślę raczej długofalowo. Zwłaszcza w kontekście filmu. Oczywiście, ambicje są ważne, ale osobiście wolę mówić o wewnętrznej potrzebie.

Wiesz, kiedy myślę o największym sukcesie w swoim życiu, takim, który odczułem całym sobą, wracam do momentu, w którym „Cicha noc" dostała się do konkursu głównego na festiwalu filmowym w Gdyni. Ktoś powie: ale jaki to jest właściwie sukces? Sukcesem to była dopiero wygrana tego konkursu. A ja odpowiadam, że nie możesz sobie założyć, że wygrasz jakiś festiwal. Chciałem jedynie, żeby praca, którą wykonywałem przez dziesięć lat – bo poszukując języka filmowego w krótkometrażówkach praktycznie dziesięć lat przygotowywałem się do tego filmu – została dostrzeżona. I została.

Teraz mamy rok 2025 i kolejne Złote Lwy, tym razem za „Ministrantów". To zresztą zaledwie jedna z ośmiu nagród, które przyznano produkcji. Ten oszałamiający sukces w części środowiska wzbudził sprzeciw. „Ministrantów" określono nawet mainstreamowym kinem, które być może nie zasłużyło na tyle wyróżnień.

Szczerze mówiąc nie czytam ani pozytywnych, ani negatywnych komentarzy. Można się w tym naprawdę zatracić. Bardzo cieszę się tą wygraną, ale uważam też, że warto mieć z tyłu głowy taki bezpiecznik, który przypomina, że raczej nie doświadczyłeś jakiegoś kosmicznego olśnienia, w wyniku którego powstało coś, co zachwyca wszystkich.

Sam mam naturę kontestującą, która nakazuje mi ciągłą konfrontację z własną ↦

Kadr z filmu „Ministranci", reż. Piotr Domalewski

↦ wiarygodnością i wewnętrzną prawdą. Jadąc na festiwal, miałem w sobie bardzo wiele obaw, czy moje intencje zostaną trafnie odczytane. Ktoś mógłby przecież powiedzieć, że moi bohaterowie traktują wiarę zbyt indywidualnie i bezkompromisowo.

Ja tymczasem w treści filmu wskazuję, skąd to się bierze. Stąd płomienny monolog proboszcza na początku „Ministrantów", w którym prezentuje on wizję Kościoła skupionego na lęku przed ogniem piekielnym. Tę perspektywę moim dziecięcym bohaterom wtłaczano w głowy od najmłodszych lat.

Długo zresztą dyskutowaliśmy, czy chłopaki nie powinny mieć po szesnaście lat i więcej. Choć od czysto technicznej strony praca na planie byłaby wówczas z pewnością łatwiejsza, uznałem, że potrzebujemy dwunasto-, czternastolatków, bo inaczej ta historia będzie nieprawdziwa. Ich dylematy, sposób podejścia do poczucia niesprawiedliwości, są z przestrzeni dziecięcej.

Mówimy o grupie czterech chłopaków, którzy zorientowawszy się, że w parafii doszło do malwersacji, postanawiają wziąć sprawy w swoje ręce. Montują podsłuch w konfesjonale, a potem przekraczają kolejne granice. Pojęcie sprawiedliwości jest dla Twojej opowieści kluczowe. Ale dlaczego do sformułowania tego przekazu potrzebowałeś Kościoła? O inicjacji związanej z odkryciem, że świat jest niesprawiedliwy, opowiadać można z różnych miejsc.

Często słyszę pytania o konkretne, formujące doświadczenie, które w bezpośredni sposób położyło fundament pod tę historię. Takiego doświadczenia nie było. Był raczej zbiór doświadczeń, który złożył się na przekonanie, że człowiek jest, po pierwsze, istotą potrzebującą przynależności do jakiejś wspólnoty, a po drugie, istotą duchową. To znaczy, drzemie w nim potrzeba – a wręcz konieczność – transcendencji.

Wygląda to tak, że dorastasz w ramach określonych przekonań i wartości, które budują twoje wyobrażenie o świecie.

Chciałbym, żeby Kościół był miejscem, w którym można się schronić bez oceniania i krytyki. **Ale żeby mogli się tam schronić wszyscy, bezwarunkowo.**

Ja tymczasem nawiązuję do takiego momentu w swoim życiu, w którym, już jako dorosły i ukonstytuowany człowiek, żyjący w zgodzie ze sobą, konfrontuję to, co niegdyś uznawałem za fundamentalne, z rzeczywistością obserwowaną z tej dorosłej perspektywy.

I z tej dorosłej perspektywy świat deklarowanych wartości i świat realizowania tych wartości w praktyce bardzo się rozjeżdżają. Chyba właśnie dlatego potrzebowałem to sobie jakoś przerobić. Stąd akcja „Ministrantów" toczy się właśnie wokół miejscowego kościoła, bo to Kościół w małych społecznościach reprezentuje świat wartości.

Zatem nie tylko o bycie ministrantem tu chodzi. Kościół na pewnym etapie życia był dla Ciebie ważny.

Nadal jest ważny. To, że zacząłem szukać innych dróg, innych przestrzeni narracyjnych opisujących mi świat, nie oznacza, że Kościół przestał być ważny. Być może jest ważny inaczej. Trzy miesiące temu uczestniczyłem w uroczystościach pogrzebowych bliskich mi osób. Wówczas na nowo zobaczyłem znaczenie Kościoła w wymiarze nie strukturalnym, a wspólnotowym. Usłyszałem to w tych pogrzebowych obrzędach.

Co tak istotnego dał Ci Kościół jako dziecku, poza poczuciem przynależności do wspólnoty?

To bardzo trudno nazwać, podam ci dziwaczny przykład. Rozmawiamy teraz w Teatrze Starym w Krakowie, przed chwilą skończyła się próba do spektaklu, który tu reżyseruję. Jeden z aktorów w jej trakcie zapytał trafnie, w jaki sposób młody człowiek, czy też dziecko, może być w ogóle w stanie zrozumieć, czym jest transcendencja. Jest przecież tak daleki od tych spraw, że stanowią one dla niego termin czysto teoretyczny.

W kontekście twojego pytania myślę, że poznany w kościele prosty język nowotestamentowych przypowieści te trudne, często filozoficzne kwestie w jakiś sposób pomagał mi zrozumieć. Od razu wracam na przykład myślami do przypowieści o modlących się w ukryciu – to określiło azymut, którego trzymam się do dziś.

W „Ministrantach" pokazujesz, że ten azymut może zostać określony felernie. Dwunastoletniego Filipa – głównego bohatera filmu – prowadzi do ostateczności.

Zgadza się. Bo on nie ma dokąd się cofnąć.

W jednym z wywiadów powiedziałeś tak: „Byłem miękkim dzieciakiem, wstydziłem się wrażliwości. Ale powtarzałem sobie, że nie wolno płakać, i zbudowałem sobie pancerz. Teraz próbuję go zdjąć". Czytając te słowa zastanawiałem się, ile w tym Filipie jest Ciebie.

Myślę, że bardzo dużo. To nie jest oczywiście biograficzna sytuacja, chodzi raczej o pewną dynamikę funkcjonowania w rzeczywistości.

To znaczy?

Filip nie czuje się bezpiecznie, więc jedyną jego drogą jest parcie do przodu, mimo wszystko. Czuje się nieakceptowany i – mimo pozornej przynależności – wyobcowany ze swojej grupy rówieśniczej. Poczucie wartości buduje w sobie poprzez działanie, „dawanie sobie rady". W ten sposób zabezpiecza też swoją przynależność. Ten mechanizm jest w filmie opowiedziany w wątku matki, której Filip za wszelką cenę chce zaimponować, żeby zostać zauważonym.

W domu nie ma ojca, matka choruje na depresję i w gruncie rzeczy to Filip opiekuje się nią, a nie odwrotnie.

Filip nie ma zapewnionych podstaw bezpieczeństwa, a bez tego trudno świadomie definiować swoją podmiotowość. Dlatego właśnie Filip definiuje się w działaniu.

TYGODNIK POWSZECHNY jest patronem medialnym filmu. Zapraszamy do kin!

Ty też tak miałeś?

Trochę tak. Dlatego robiłem te wszystkie rzeczy: czytałem w kościele, chodziłem do szkoły muzycznej, grałem w koszykówkę, pływałem i tak dalej. Mechanizm rzucania się w wir aktywności w obliczu zachwianej potrzeby bezpieczeństwa nie jest moim odkryciem.

Skąd w Twoim dzieciństwie poczucie braku bezpieczeństwa?

Jeśli mam być superszczery, muszę przyznać, że poczucie ciągłego zagrożenia wynikało z chłopskiego pochodzenia.

Zagrożenia?

Mam na myśli uczucie, że wszystko można ci odebrać, ot tak.

Skąd w dziesięcioletnim chłopaku brało się poczucie, że wszystko można mu odebrać?

Są rzeczy, które traumatyzują u źródła i zostają z tobą na całe życie. Jedną z tych rzeczy jest bieda. Bieda ustawia ci sposób czytania rzeczywistości na zawsze. Możesz potem zarabiać niewyobrażalne pieniądze, ale to niewiele zmieni. Na zawsze zostaje w tobie doświadczenie tego, że masz mniej.

Jesteś gorszy.

Tak, ale nie chcesz być gorszy, dlatego musisz, jak Filip, w inny sposób zmaterializować sobie poczucie wartości i pewności. Właśnie poprzez działanie.

Filip podejmuje działanie i idzie w nim za daleko. Walczy o słabszych, nie zważając na to, że równocześnie może krzywdzić...

Tak, bo w Filipie rodzi się ekstremizm.

I wtedy, gdy po licznych perturbacjach wraca do kościoła, słyszy: „nie pasujesz tu".

Owszem, bo problem polega na tym, że zawierzył zasadom i wartościom przekazywanym przez Kościół w sposób inny, niż oczekuje instytucja. Tak jakby tylko jedna narracja była słuszna. Ja nie jestem pewien, czy tak jest...

Czy tak właśnie widzisz współczesny Kościół?

Ja trochę inaczej widzę Kościół. Myślę, że na tym etapie mojego życia nie muszę nikogo pytać, czy tam jest dla mnie miejsce. Sam decyduję, co stamtąd dla siebie zabieram. Ten film jest nie tyle wyrazem mojego zdania na temat Kościoła, co opowieścią o odczuwanym przeze mnie deficycie. Uważam, że ta wrażliwa, delikatna, nienamacalna sfera duchowa zostaje zmarginalizowana na rzecz struktury i zasad. Ostatecznie to, co delikatne, gdzieś się w tym wszystkim gubi.



MAJA BUŁKOWSKA / NEXT FILM

PIOTR DOMALEWSKI jest reżyserem i scenarzystą, absolwentem Wydziału Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Jego pełnometrażowy debiut „Cicha noc" (2017) zdobył Złote Lwy na 42. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni oraz dziesięć Polskich Nagród Filmowych Orły. Kolejny film, „Jak najdalej stąd" (2020), miał premierę na Festiwalu Filmowym w San Sebastián, a dla platformy Netflix Domalewski wyreżyserował produkcję „Hiacynt". W swojej twórczości przygląda się rodzinom, relacjom międzypokoleniowym i napięciom społecznym, skrywającym się za codziennością. Jego filmy – od kameralnej „Cichej nocy", przez surowe „Jak najdalej stąd", po mrocznego „Hiacynta" – łączą realizm z emocjonalną głębią. Najnowszy projekt, „Ministranci" (recenzja filmu na s. 74), to wnikliwa opowieść o chłopcach stojących przed wyzwaniami wiary, dorastania i lojalności wobec instytucji Kościoła. Domalewski unika ocen, koncentrując się na emocjach, relacjach i niuansach dojrzewania.

„Ministranci" są Twoim wołaniem o otwartość?

Są wołaniem o duchowość i otwartość na każdego. O to, żeby wierzący geje nie musieli odchodzić z Kościoła, żeby zostali w nim usłyszani, zamiast słyszeć: do widzenia, nie pasujesz tu. Duchowość jest ważna, ale dziś trudno ją realizować w Kościele.

Pokazujesz swoje filmy rodzicom, ich reakcja jest dla Ciebie ważna. Co powiedzieli po obejrzeniu „Ministrantów"?

Oni są bardzo wierzącymi, oddanymi katolikami. Myślę, że nie obrażą się, że to mówię, ale bardzo się bali, o czym będą „Ministranci". Ostatecznie dobrze przyjęli film, uznając go za otwarcie dyskusji na temat tego, czym powinien być dzisiaj Kościół.

Zresztą, sam uznaję to pytanie za fundamentalne, ponieważ poza tym, że Kościół realizuje elementarną potrzebę wspólnotowości, to nagłaśniane dramatyczne wydarzenia z udziałem duchownych pokazały, że trudno już kiwać głową i mówić „no, ludzie są różni". To taka instytucja, po której spodziewamy się więcej.

Chciałbym, żeby Kościół dawał poczucie bezpieczeństwa, bo dzisiaj wszyscy czujemy się zagrożeni. Nie tylko dramatycznymi wydarzeniami na arenie międzynarodowej, także codziennymi stosunkami między sobą. Żyjemy w czasach szybkich i kategorycznych ocen. Dlatego chciałbym, żeby Kościół był miejscem, w którym można się schronić bez oceniania i krytyki. Ale żeby mogli się tam schronić wszyscy, bezwarunkowo.

Porusza mnie żarliwość, z którą o tym mówisz. Jak Ci się udało, mimo tych wszystkich wątpliwości i irytacji, nie stracić wiary?

Nie chcę, żeby to zabrzmiało jakoś górnolotnie, ale ja po prostu jestem w nieustającym dialogu z Siłą Wyższą. Nieustającym! Myślę, że wzięło się to z dzieciństwa, z ciągłego bycia przy ołtarzu. Wiesz, kiedy żyjesz, jak mój Filip, w poczuciu nieustannego zagrożenia, kiedy musisz udowadniać sobie i innym swoją wartość, to zwyczajnie potrzebujesz kogoś, kto bez względu na wszystko zawsze jest po twojej stronie.

A Bóg jest po Twojej stronie.

Tak.

Cały czas jest?

Jest.

I po filmie też jest?

Totalnie.

I co powiedział Ci po filmie?

Powiedział, żebym się trochę ucieszył.

© Rozmawiał TADEUSZ MAREK


DOMENA PUBLICZNA

ALEXANDRA DAVID-NÉEL (urodzona jako Louise Eugénie Alexandrine Marie David; 1868-1969) – francuska pisarka, podróżniczka i śpiewaczka operowa, znawczyni Orientu, buddystka, okultystka, anarchistka i feministka. Pierwsza Europejka, która dotarła do Tybetu. Autorka ponad 30 prac poświęconych religiom Wschodu i filozofii.

Rozpoczynamy cykl artykułów o historii medytacji XX wieku. Autor – Maciej Bielawski – jest teologiem, pisarzem i wykładowcą uniwersyteckim z Werony, nauczycielem kontemplacji i duchowości.

W NASTĘPNYM ODCINKU przeczytamy o pierwszym europejskim podręczniku do medytacji – we współczesnym tego słowa znaczeniu. Książka, opublikowana w 1891 r., uczyła powstrzymywania myśli, a także wprowadziła do obiegu zachodniej kultury duchowej egzotyczne słowo „Om", doskonale znane hinduistom i buddystom. Dowiemy się także o nowojorskim Towarzystwie Teozoficznym, bez którego nie da się zrozumieć dziejów i popularności medytacji w XX wieku. O Helenie Bławatskiej, która należała do czwórki jego założycieli. I o tym jak teozofowie, łączący duchowość i nauki ścisłe, przyczynili się do rozwoju badań nad medytacją i neuronauką.

Ślady ze Wschodu

MACIEJ BIELAWSKI

MEDYTACJA | Spójrzmy na XX wiek przez pryzmat wydarzeń, zjawisk i osób, które odcisnęły ślad na sztuce kontemplacji. To lekcja pouczająca i fascynująca, bo medytacja jest lustrem, w którym odbija się każda epoka.

Historię można opowiadać z różnych stron. My zaczniemy od zachodniej, by powędrować na Wschód. Towarzyszką pierwszej naszej podróży będzie 22-letnia Francuzka, Louise Eugénie Alexandrine Marie David (1868-1969). Pochodziła z podparyskiego Saint-Mandé, z zamożnej, szlacheckiej rodziny. Znana była z ekstrawaganckich poglądów i stylu życia. Gdy skończyła osiemnaście lat, objechała na rowerze całą Francję. Niedługo potem udała się do Londynu, by spotkać ludzi zainteresowanych filozofiami Dalekiego Wschodu, które sama przez kilka semestrów studiowała na Sorbonie. W międzyczasie zdążyła też zostać masonką i anarchistką, wstępując do Towarzystwa Teozoficznego i angażując się w ruch walczący o prawa kobiet.

Gdy więc w 1890 r. otrzymała spadek po matczynej babci, mogła udać się w swoją pierwszą podróż na Daleki Wschód, zatrzymując się na kilka miesięcy w Waranasi, leżącym nad Gangesem świętym mieście, by u stóp słynnego świaity Swamiego Bhaskaranandy Saraswati (1833-1899) uczyć się medytacji.

Hinduski asceta

Jej mistrz był braminem, doskonale obeznanym z sanskrytem i filozofiami hinduizmu. Już we wczesnej młodości obrał życie wędrownego ascety i przez około czterdzieści lat przemierzał wzdłuż i wszerz subkontynent indyjski, by w końcu osiąść w Mieście Światła, jak nazywano Waranasi.

Jak na tamte czasy, był niemal celebrytą – pielgrzymowali do niego nie tylko Hindusi, ale też ludzie z Zachodu. Jego naukami (i nim samym) interesowali się między innymi Ernest Binfield Havell (1861-1934), wybitny historyk sztuki Azji i promotor przyszłego noblisty Rabindranatha Tagore, czy Sir John Woodroffe, lepiej znany pod swym literackim pseudonimem jako Arthur Avalon (1865-1936), przewodniczący Sądu Najwyższego w Kalkucie, badacz tantryzmu i autor niezwykle popularnej, wydanej w 1919 r. i do dziś wpływowej w kręgach jogi i tantryzmu książki „The Serpent Power" (po polsku znanej pod tytułem „Joga Kundalini – ścieżka poznania siebie"). A także Mark Twain (1835-1910), który podarował Swamiemu w prezencie „Przygody Hucka Finna", w zamian otrzymując tom hinduskich pism w sanskrycie. Amerykański pisarz wyjaśniał potem, że chciał, by hinduski asceta, czytając jego powieść, „mógł odpocząć od swoich medytacji nad Brahmanem, nie ponosząc przy tym żadnej szkody na swojej duszy".

Emblematyczne zdarzenie

Wróćmy jednak do naszej młodej Francuzki, oddającej się medytacji pod kierunkiem podeszłego w latach nagiego ascety Saraswatiego. Dlaczego właśnie to drobne zdarzenie miałoby być ważne dla historii medytacji XX wieku?

Przede wszystkim dlatego, że było emblematyczne. Panna David zapoczątkowała długi pochód młodych i coraz bardziej oryginalnych ludzi Zachodu, którzy w XX wieku będą podróżować na Daleki Wschód, by uczyć się medytacji pod kierunkiem jednego z tamtejszych mistrzów. Nie była to relacja symetryczna – w tym samym

czasie Azjaci nie pielgrzymowali jeszcze na Zachód, by uczyć się tutejszych, wielowiekowych, głębokich i wspaniałych praktyk kontemplacyjnych. Dlaczego? To jeden z kluczowych tematów refleksji nad historią medytacji w XX wieku. Który jednak na razie pozostawimy bez odpowiedzi.

Historia i medytacja

Zatrzymajmy się wpierw na samej relacji między historią i medytacją. Historią jest to, co się wydarza, i to, co na ten temat myślimy, mówimy, piszemy. W XX wieku wydarzyło się wiele niezwykłych i doniosłych, jak się nam wydaje, spraw, którymi do dziś jesteśmy wstrząśnięci i nie przestajemy o nich rozpisywać się i nad nimi medytować. Wystarczy wejść do pierwszej lepszej księgarni i rzucić okiem na dział historyczny. Bo przecież można mówić o medytacji nad historią. Thomas Merton w swoim dzienniku pisał o „medytowaniu nad Auschwitz". Nie to jednak jest przedmiotem historii medytacji, nawet jeżeli w pewnej optyce mogłoby stanowić jej dział. Można jednak spojrzeć na wiek XX również przez pryzmat samej medytacji i z jej historii dowiedzieć się wiele o tej epoce. To lekcja fascynująca i pouczająca. Medytacja jest wyjątkowym lustrem, w którym odbija się XX wiek. Nawet jeśli wydaje się ona niczym w porównaniu z wojnami, podbojami i upadkami państw. Albo z naukowymi zdobyczami naszej epoki.

Powiedzieliśmy już sobie, czym jest historia. Ale czym jest medytacja? Moja robocza definicja mówi, że to uważność przedłużana w czasie i świadomie praktykowana w celu osiągnięcia jakiejś przemiany. Nie będę tego w tej chwili wyjaśniał czy komentował. Powiem tylko, że jest w medytacji coś historycznie nieuchwytnego. Możemy bowiem powiedzieć wiele o życiu Louise David oraz o tym, jak żył i co robił Swami Saraswati. Cóż jednak możemy wiedzieć i powiedzieć o ich medytacjach? O tym, czego uczyła się w 1890 roku w Waranasi ta młoda kobieta? Czego doświadczała? Wiedzieć tego nie możemy, choć to przecież się stało.

Medytacja jest enigmatyczna i w pewnym stopniu ahistoryczna, nawet jeśli to właśnie historia często skłania do niej człowieka. Czymże więc jest lub może być historia medytacji? Jest czymś, co się wydarzyło, choć w zdarzeniu tym zarazem zawarte jest coś wykraczającego poza dzieje i historycznie nieuchwytnego. A jednak umysł nasz wmyśla się w ten splot historii i medytacji.

Duchowa rewolucja

Historię, jako opowieść, tworzy się na podstawie śladów, które często nazywa się źródłami. Osobiście wolę słowo ślad, które jak odbicie stopy na piasku mówi, że ktoś tu był, ale że teraz już go tu nie ma. Ślad to obecność nieobecna i nieobecność obecna. Śladami medytacji są książki o praktyce i doświadczeniach medytacyjnych, opisy miejsc medytacji oraz żywoty nauczycieli i uczniów. Są nimi fotografie i filmy, malowidła i rzeźby, architektura sal medytacyjnych i muzyka, która w nich rozbrzmiewa. Także cisza i milczenie. W XX wieku śladów tych się namnożyło, jakby po piaskach pustyni dziejów przewędrowały tysiące osób. Czy można z tego natłoku i chaosu śladów wyczytać jakiś wzór? Oto zadanie namysłu nad historią medytacji w XX wieku.

Czemu jednak ograniczać się mamy do ostatniego stulecia? Po pierwsze dlatego, że nie sposób obecnie napisać całościową historię medytacji, o czym, nie ukrywam, marzyłem. Materiału za wiele, refleksja na jego temat wciąż dość znikoma. Trzeba więc ograniczyć się do jednego czasowego wycinku. Ponieważ jednak w dziejach wszystko jest powiązane, w tej współczesnej historii, którą będziemy tu opowiadać, przeszłość, nawet bardzo daleka, nieustannie będzie do nas wracać.

Po drugie, ponieważ w XX wieku doszło do intensyfikacji czy wręcz eksplozji w dziedzinie medytacji, co doprowadziło do cichej rewolucji w duchowości na skalę niemalże światową. To rzecz godna namysłu.

Po trzecie, ponieważ warto starać się ująć w jedną opowieść te wydarzenia, zanim zostaną one zapomniane lub kolejna burza historyczna zatrze dostępne nam ślady.

Duchowe eksperymenty

A panna Louise David? Co się z nią stało? Wiemy, że z Indii pojechała do Hanoi, gdzie była pierwszą kobietą z Zachodu śpiewającą w teatrze operowym tego miasta. Nieco później wybrała się do Tunezji i poświęciła studiom nad Koranem. W 1904 wyszła za mąż za inżyniera kolei Philippa Néela (stąd znana jest dziś bardziej jako Alexandra David-Néel), by po dziesięciu latach zostawić go i ponownie udać się do Azji, docierając nawet do Lhasy w Tybecie, i oddawać się eksperymentom duchowym oraz medytacji. Po powrocie do Francji zamieszkała w Digne-les-Bains, gdzie rozwinęła płodną działalność pisarską, ze wschodnimi ascetami i medytacją w roli głównej (jej najbardziej znana książka to „Mistycy i magowie Tybetu" z 1929 r.). Do jej historii zresztą jeszcze wrócimy. ©

Alexandra David-Néel: Podróż do Lhasy (FRAGMENT)

(...) Pewnego dnia wyruszyłam w dramatycznej scenerii spowodowanej huraganem, który zerwał się nieoczekiwanie w momencie, gdy szykowałam się do drogi. Na niebie, rozsłonecznionym kilka chwil wcześniej, pojawiły się ogromne ciemne chmury, kłębiące się wokół wierzchołków, niczym pośród monstrualnych fantastycznych potworów. Posępny ołowiany koloryt rozpostarł się nad okolicznymi górami, przekształcając nieskalany majestat wysokich szczytów w ponury i przerażający krajobraz piekieł. Rozpętała się burza śnieżna, a ja, oblepiona śniegiem, drżąca i oślepiona, szłam, podobna do rozbitka miotanego nawałnicą.

Dwukrotnie wyruszałam po kryjomu, o pierwszym brzasku dnia, prowadząc moją małą karawanę przez niezmierzone tybetańskie pustkowia, suche bądź pokryte trawą, zatopione w ciszy, dzikie, nietknięte zbocza, fascynującą krainę marzeń i tajemnic... Ale dzisiaj, na ciemnobłękitnym niebie świeci gorące słońce chińskiej jesieni, góry i wiecznie zielone lasy zdają się nas zapraszać, a my wyglądamy, jakbyśmy naprawdę wybierali się na zwykłą wycieczkę. Zresztą to właśnie oświadczyliśmy zacnym ludziom z wioski, którą dopiero co opuściliśmy: że idziemy w góry zbierać zioła. Nasza wyprawa jest jednak na serio, dlatego też nie mogę zlekceważyć żadnej z przeszkód, jakie mogą się pojawić na naszej drodze.

Przekład: Iwona Badowska
Wydawnictwo Akademickie Dialog

O. WACŁAW

Oszajca:
Król to za mało



Ks. Bartosz Adamczewski w komentarzu do Listu do Kolosan pisze, że „stanowi on być może pierwszą, najwcześniejszą próbę przełożenia Ewangelii Pawłowej, skierowanej zarówno do żydów, jak i pogan, na język stanowiący podstawę wiary wspólnot całkowicie już poganochrześcijańskich". Autor Listu zaleca: „Zrzućcie z siebie starego człowieka wraz z jego czynami, a okryjcie się nowym, wciąż odnawiającym się, aż do poznania Tego, który go stworzył na swój obraz. Nie ma już Greka ani Żyda, obrzezania ani nieobrzezania, barbarzyńcy, Scyty, niewolnika, wolnego, ale wszystkim we wszystkich jest Chrystus". To znaczy wypełnił się czas judeochrześcijaństwa i nadszedł czas pogan z ich kulturą. Dzisiaj przeżywamy podobny przełom, ale nie musimy z tego powodu trząść się ze strachu czy łudzić nadziejami bez pokrycia. Nie działamy sami i w próżni, gdyż świat dzisiejszy jest wciąż polem działania Jezusa. Przejawem tego jest Sobór Watykański II i powrót do synodalności, co jawi się jako dalszy ciąg Listu do Rzymian: „Poznajcie, że nadszedł już czas sposobny i pora, abyście wstali ze snu. Teraz bowiem wasze zbawienie jest bliżej niż wówczas, gdy uwierzyliście. Noc przeminęła i dzień się przybliżył". Trzeba jeszcze mocniej uwierzyć, że wciąż jest w Kościele „Radość i nadzieja" oraz „Światło narodów".

Rok liturgiczny kończy się i jednocześnie zaczyna uroczystością Jezusa Chrystusa, Króla Wszechświata. Nie tylko Ziemi, czy tym bardziej Polski, nie tylko nas, ale naszych sąsiadów Niemców, Czechów, Słowaków, Litwinów, Białorusinów, Rosjan, a przede wszystkim Ukraińców, gdyż im dzieje się najgorzej, a nasza reakcja na ich niedolę bezbłędnie pokazuje, jakiego boga mamy za Boga. Boga, który ożywia, czy boga, który uśmierca. Słowo „król", ten przestarzały tytuł, obciążony zanadto złymi skojarzeniami, nie jest w stanie odsłonić tajemnicy Bożego działania. O miłość bowiem chodzi, nie o władzę.

W XVII wieku Anioł Ślązak czyli Johannes Scheffler pisał: „Bóg wśród dzieł wszelakich upodobał sobie / To, że Syna Swego może zrodzić w tobie. // Jak Bóg jam doskonały; kto przeczyć się ośmieli, / Od Jego winorośli niech mnie wpierw oddzieli. // Jam wielki niczym Bóg, w małości my podobni, / Nie może On nade mną, nie mogę ja być pod Nim" (przeł. Marcin Brykczyński, Jerzy Prokopiuk). ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Obietnica, nie groźba



W ubiegły piątek zmierzyliśmy się dzięki liturgii z następującym Słowem Jezusa: „Jak działo się za dni Noego, tak będzie za dni Syna Człowieczego: jedli i pili, żenili się i za mąż wychodziły aż do dnia, kiedy Noe wszedł do arki; a przyszedł potop i wygubił wszystkich. Podobnie jak działo się za czasów Lota: jedli i pili, kupowali i sprzedawali, sadzili i budowali, lecz w dniu, kiedy Lot wyszedł z Sodomy, spadł z nieba deszcz ognia i siarki i wygubił wszystkich; tak samo będzie w dniu, kiedy Syn Człowieczy się objawi" (Łk 17, 26-30). Czy ten tekst nie wzbudza w nas strachu? Czy jednak słusznie?

W całej Biblii historia Noego nie jest złą, lecz dobrą nowiną: jest historią ratunku dokonanego przez Pana. Tak! W samym środku zagłady, do której zmierza ludzkość, Bóg znajduje człowieka, z którym może zawrzeć nowe przymierze (zob. Rdz 9, 9): otworzyć jego życie, myślenie, ambicje i działanie daleko poza granice doczesności – nie bez powodu przymierze Boga z Noem określone jest jako przymierze wieczne! Podobnie rzecz się ma z Sodomą – Bóg do końca walczy o to, by uratować jej życie. A nie znalazłszy tam dziesięciu sprawiedliwych (których obecność uratowałaby całe miasto!), wyprowadza jednego z jego rodziną. Ratuje człowieka i życie w samym środku świata, który zmierza do samo-zagłady. Historia Noego i historia Lota nie są nam dane ku przerażeniu, lecz ku nadziei. Ważne jest, by tu zobaczyć, jak dalece mijamy się nieraz z Bogiem w ocenie tego, co się dzieje. Widzimy nieszczęście tam, gdzie Pan urzeczywistnia właśnie dobro. Może trudne, ale dobro!

Czytałem tę Ewangelię rano w dniu, w którym na konferencji prasowej ogłosiliśmy w Łodzi powstanie niezależnej komisji historycznej do zbadania przypadków nadużyć seksualnych wobec osób nieletnich i zależnych w latach 1945-2025. Po zapowiedzi tej komisji w lipcowym liście do Diecezji wiele razy byłem pytany, czy się nie boję, że taki krok może pogrążyć powierzony mi Kościół?! Odpowiadałem: To nie zguba i nieszczęście dla Kościoła. To paschalna droga do życia! Wartościujmy i czytajmy wydarzenia tak, jak Bóg – nie obok Niego, tym bardziej nie wbrew Jemu. Wtedy to, co w pierwszym odbiorze budzi nasz strach, okaże się tak naprawdę Bożą obietnicą. I to wypełnioną! ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

Radio Kraków

Nadajemy do myślenia
radiokrakow.pl

EMOCJE

które łączą

REKLAMY

Radio Kraków

Nadajemy do myślenia
radiokrakow.pl

LUDZIE

których chce się słuchać

HISTORIA

SZLACHTA W SUTANNACH

KAMIL JANICKI, HISTORYK, AUTOR KSIĄŻKI „DZIESIĘCINA”:

Pytanie, jak Kościół w dawnej Rzeczypospolitej mógł popierać pańszczyznę i niewolnictwo chłopów, nie było wtedy zadawane. Pobożnością było akceptować swoją rolę w społeczeństwie.

ANNA GOC: Podobno w Rzeczpospolitej przedrozbiorowej najbogatsi byli krakowscy biskupi.

KAMIL JANICKI: Ich majątek znacznie przewyższał te, które gromadzili prymas i pozostali biskupi. Jednak w dawnym katolicyzmie było normą, że biskupi mieli duże majątki. Wyjątkowość Rzeczpospolitej polegała na tym, że biskupów było mało, zaledwie siedemnastu. We Francji było ich 135, we Włoszech sporo ponad dwustu. Po drugie, nasze diecezje – wileńska, gnieźnieńska, krakowska – należały do największych w Europie. To sprawiało, że koncentracja majątku była gigantyczna.

Obliczasz, że wszyscy biskupi mieli roczny przychód, który stanowił jedną dziesiątą przychodów Pierwszej Rzeczpospolitej.

Tak, choć to porównanie i tak nie mówi wszystkiego, bo odnosi się do przychodów państwa dopiero z samego schyłku XVIII wieku, gdy faktycznie zaczęto reformować system podatkowy, zbierać fundusze potrzebne chociażby na armię. Wcześniej dochody episkopatu mogły się równać całym wpływom skarbu królewskiego, nadwornego.

Dokładne sumy nie są łatwe do określenia. W przypadku biskupów krakowskich było to pewnie średnio sporo powyżej 50 milionów naszych, dzisiejszych złotych rocznie. W tym samym czasie król Zygmunt III Waza zapożyczał się u warszawskich mieszczan, by jego dworzanie nie głodowali.

Skąd te ogromne majątki krakowskich biskupów?

Zyski pochodziły głównie z uprawy ziemi. Praca rolna opierała się, podobnie jak w przypadku świeckich zarządców, na obowiązującej wtedy pańszczyźnie. Biskupi krakowscy mieli 12 miast i 260 wsi. Zarabiali też na prawie do produkcji i sprzedaży alkoholu, także na prowadzeniu karczm. Nikogo to jednak nie gorszyło.

Majątek ten obejmował też cenne gałęzie przemysłu. W materiałach źródłowych można znaleźć wybiórcze informacje, że zyski z 40 proc. żelaza, które przechodziło przez komory celne, wpływały do skarbca jednej osoby – biskupa krakowskiego właśnie. Mieli też ogromny udział w produkcji szkła, które było wtedy towarem luksusowym. Tylko w Kielcach biskupi krakowscy mieli dziesięć hut szkła.

Nawet zamek królewski w Warszawie miał w oknach zamiast szyb arkusze papieru nasączone tłuszczem. A pałace biskupie – wszystkie oszklone okna.

Wielki majątek biskupów krakowskich nie był jednak majątkiem kościelnym, czyli diecezjalnym, tylko ich własnym.

Nie rozumiem.

Kiedy zaczynałem pracę nad książką „Dziesięcina”, nie do końca zdawałem sobie sprawę z tego, jak działał system beneficjalny. O tych mechanizmach niezwykle rzadko się pisze, a co dopiero je objaśnia. W Rzeczpospolitej przedrozbiorowej nikt wyżej postawiony nie pobierał pensji w Kościele. Proboszcz, nazywany wtedy plebanem, a także biskup dostawali majątki w stały zarząd, *de facto* dożywotnio. Wszystko, co zarabiali, to były zasadniczo kwoty do ich prywatnej dyspozycji. Nawet gdy biskup miał setki wsi, dochody z nich nie służyły kultowi, oprawie wiary, ale utrzymaniu jednego człowieka.

Majątki zresztą nie pochodziły dosłownie od Kościoła, ale od patronów, ludzi, którzy sfinansowali dany urząd. W większości przypadków takim patronem był szlachcic, który pierwotnie ufundował na przykład organizację parafii.

I komu wtedy podlegali księża?

Administracyjnie pleban podlegał niby biskupowi, ale biskup niemal nie był w stanie go usunąć z parafii. Jedyną osobą, która mogła pozbawić go możliwości pełnienia posługi, był jego świecki patron.

Na tym systemie opierał się cały ówczesny Kościół. Dominował patronat prywatny – świeckich, najczęściej wysokiej szlachty. Jeśli pleban dobrze żył z patronem, czyli lokalnym szlachcicem, mógł zarządzać majątkiem, który od niego dostał, wedle uznania. Pobierał daniny,



FINE ART IMAGES / EAST NEWS

Koronacja Stanisława Leszczyńskiego na króla Polski, 4 października 1705 r., rycina z 1706 r.

↦

↦ posiadał kilka rodzin chłopów pańszczyźnianych. Przed nikim się nie rozliczał, nikt go nie kontrolował. Był bardzo niezależny.

Co biskupi robili ze swoimi majątkami?

Sporo wydawali na utrzymanie dworów i pałaców. Biskup był uznawany za dygnitarza, należał do najpotężniejszych osób w państwie i w związku z tym, jak twierdzono, miał swoje potrzeby. Nikt z tym nie dyskutował. Rzadko się zdarzało, by biskupi za swoje wystawne życie byli krytykowani.

Samo utrzymanie dworów i pałaców kosztowało – trzeba było je remontować, ale także wystawnie między nimi podróżowano. Pięknymi karocami, w wiele koni, z obstawą drabantów. Biskup zwykle nie miał jednego pałacu, tylko kilka. Każdy mógł w swoim luksusie dorównywać królewskiemu, albo go przewyższać. Ale o tych siedzibach wciąż wiadomo niewiele, nie prowadzono dokładnych badań nad dworami biskupimi.

W jakich dokumentach mogły się zachować te informacje?

W księgach rachunkowych. Część z nich istnieje i zostały przejrzane, choć w PRL-u i na polityczne zamówienie. Badano szczegółowo księgi prymasów u schyłku XVIII w. Źródła są więc poniekąd dostępne, choć po łacinie. Biskupi używali języka polskiego niechętnie.

Tym, co zaskakuje, zwłaszcza gdy mówimy o tak dużym majątku, jest decentralizacja władzy w ówczesnym Kościele.

Decentralizacja władzy była konieczna, bo nawet jeśli w Rzymie zapadły decyzje dotyczące biskupów z Rzeczpospolitej, to musiały minąć tygodnie, aby te do nich dotarły. Biskupi cieszyli się ogromną niezależnością. I nie byli wybierani przez papieża. Istniała co prawda fikcyjna procedura, zgodnie z którą kapituła katedralna wyłaniała kolejnych hierarchów, ale w rzeczywistości wybierała ona kandydata wskazanego wcześniej przez głównego patrona w kraju, czyli króla.

Podobnie było w całej Europie?

Nie byliśmy w tym wyjątkiem. Jednak w innych krajach system ten sprawiał, że hierarchia kościelna była narzędziem w rękach władzy. We Francji biskupi byli reprezentantami króla, potężnymi urzędnikami państwa. U nas król wprawdzie mianował biskupów, jednak władza królewska była słaba, monarsze skarbce puste, a sami królowie – bezsilni. W efekcie mianowani przez nich biskupi nie musieli się słuchać, sami mieli ogromne wpływy.

I włączali się w politykę.

Biskupi pełnili najważniejsze funkcje państwowe, z samego urzędu. Wszyscy nie tylko należeli do senatu, ale też uznawano ich za czołowych członków tej izby parlamentu. Prymas był jej przewodniczącym, występował zawsze przy królu. Ogółem właściwie żadne decyzje państwowe nie mogły wejść w życie, jeśli nie uzyskały aprobaty hierarchów.

Arcybiskup występował nierzadko w roli proboszcza rodziny królewskiej. Biskup był też jednym z dwóch kanclerzy, bez pieczęci którego decyzje króla nie miały mocy. Mieliśmy udokumentowane przypadki, gdy obu kanclerzy nie uznało aktów tolerancyjnych dla innowierców, więc te nie weszły w życie. Król od ich decyzji nie mógł się odwołać.

Dodajmy: biskupi w dawnej Polsce nie zajmowali się zwykle sprawami wiary i wiernych.

Ksiądz Jan Kracik, historyk, oceniał, że dawna religijność była utylitarna. Po napisaniu „Dziesięciny" ująłbym to może nieco inaczej – była zwłaszcza transakcyjna. Bardzo wierzono w taką czysto liczbową skuteczność ofiar, modlitwy, praktyk kultowych. Akt okazywał się ważniejszy od stojącej za nim myśli.

W konsekwencji uważano, że modlitwa jednej osoby jest mało skuteczna, lepiej, jeśli w jednej intencji modli się kilkadziesiąt osób. Dlatego na przykład biskupów nie krytykowano za skupianie się na sprawach doczesnych, na polityce, zarządzie majątkami. Modlitwami w ich imieniu zajmowali się przecież ludzie do tego wyznaczeni.

Czyli kto?

Inni księża. Zresztą tu nie chodzi tylko o biskupów. Wtedy bardzo obawiano się długiego, trwającego nawet stulecia pobytu w czyśćcu. Skrócić ten czas mogła modlitwa, a im więcej osób się modliło, tym skuteczniej. Zdecydowaną większość urzędów kościelnych zajmowali więc ludzie, którzy modlili się albo za doczesną pomyślność, albo za dusze innych – biskupów, szlachciców.

Udokumentowana jest historia jednego z prymasów, który powołał kolegium księży mających się modlić za jego duszę. Skłócił się jednak ze swoim następcą i ten po jego śmierci ograniczył liczbę modlących się księży o połowę.

Równocześnie biskupi uczestniczyli w wyzysku chłopów, na równi ze szlachtą.

Zyski Kościoła opierały się na pracy rolnej, a ta na pańszczyźnie. Majątki należące do kleru niewiele różnią się pod tym względem od tych świeckich.

W wieku XVI kapituła krakowska wydała decyzję, by nie stosować kar cielesnych wobec chłopów. Ale już wkrótce potem zarządcy chcieli przywrócenia dawnych zasad, bo chłopi, których nie mogli karać cieleśnie, nie chcieli pracować. Bojkotowali pracę, która ich wyniszczała, za którą nie płacono. Eksperyment był krótki, kapituła wycofała się ze swojej decyzji.

Pytanie, które z dzisiejszej perspektywy mogłoby brzmieć – jak Kościół mógł popierać pańszczyznę i niewolnictwo chłopów? – nie było wtedy zadawane. Elementem nauczania katolickiego było to, że Bóg podzielił ludzi na tych, którzy rządzą, i na tych, którzy są zarządzani. Pobożnością było zaakceptować swoją rolę w społeczeństwie.

Kto mógł zostać plebanem?

Osoba, którą wybrał patron, czyli na ogół szlachcic. Żeby zostać księdzem, potrzebna była prowizja. Czyli nominacja ze strony patrona, który sfinansował urząd. Biskup tylko taki wybór przyklepywał. Można powiedzieć, że organizacyjnie nie było jednego Kościoła, ale tysiące urzędów kościelnych, które stworzyła szlachta.

Co na to biskupi?

Teoretycznie mieli narzędzia, by odmówić wyświęcenia księdza wskazanego przez patrona, ale jeśli się na niego nie zgodzili, parafia pozostawała pusta.

Świecki patron przekazywał ziemię na budowę kościoła, finansował ją i oddawał środki na utrzymanie parafii i plebana. Patron nakazywał też poddanym

chodzić na msze, do spowiedzi. Dbał, by chłopi byli posłuszni. Najpotężniejszymi osobami w oddolnym Kościele nie byli więc biskupi, prymasi, kanonicy – tylko patroni.

Co zyskiwali?

Nie był to z ich strony dar dla Kościoła. Raczej dwustronna umowa. Oczywiście zyskiwali to, że pleban i wierni modlili się za ich dusze – za życia i po śmierci. Ale kontrolowanie urzędu przynosiło też ogromne codzienne korzyści, prestiżowe i praktyczne. Pleban pomagał kontrolować poddanych, kazał im spowiadać się za źle odrobioną pańszczyznę, groził karami boskimi za kradzież z folwarcznej stodoły. Stępiał pragnienie buntu.

Jakie były zależności między klerem a szlachtą?

Jeśli prawie wszystkich księży na urzędach i to każdej rangi, od plebanów po biskupów, powoływali patroni, to nie mamy dwóch grup: duchownych i szlachty, tylko mamy szlachtę i szlachtę w sutannach.

Nie ma między nimi sprzeczności interesów?

Jeśli są kłótnie, to przypominają raczej te w rodzinie. Parafia, która należała do szlachcica, była mauzoleum jego przodków. Na ścianach były ich portrety, w podziemiach krypta ze szczątkami. Puszka z eucharystią miała jego herb szlachecki. Pleban czekał z rozpoczęciem mszy, aż pojawi się patron, który miał swoją ławkę. Nikt nie mógł wyjść z kościoła, dopóki ksiądz nie podszedł do patrona, a ten nie ucałował jego stuły.

Jednak do parafii przychodziły też inne rodziny szlacheckie, spoza rodziny patrona, i wtedy musiały w istocie uklęknąć także przed cudzym herbem. Jeśli ktoś był sceptyczny wobec majątku kościelnego, to właśnie ci, którzy nie mieli własnych parafii, nie kontrolowali żadnych urzędów.

Trzy dekady po wystąpieniu Marcina Lutra, w połowie XVI w., zebrał się Sobór Trydencki. Pojawiły się pytania o odpowiedzialność kleru za odchodzenie ludzi z Kościoła.

Nie zdajemy sobie sprawy, że wtedy w Europie Kościół katolicki stał na krawędzi upadku. W Italii, gdzie były stare struktury kościelne, ryzyko, że patroni zewnętrzni mogli zmienić zdanie co do użycia dóbr kościelnych, było mniejsze. Natomiast na północ od Alp przed Soborem Trydenckim już 40 proc. ludności to byli protestanci. W Rzeczpospolitej większość szlachty dalej była katolicka, ale wśród tej najwyższej i najbogatszej zaczynali przeważać innowiercy. Dobrze to było widać na sejmach.

Głównym efektem tego soboru była decyzja o zwiększeniu kontroli wewnątrzkościelnej. A to dawało większą wiedzę o Kościele – i także dokumentację.



MICHAŁ WOŹNIAK / DDTVN / EAST NEWS

KAMIL JANICKI (ur. 1987) jest historykiem i popularyzatorem historii. Na platformie YouTube prowadzi kanał „Wielka Historia". Autor licznych książek. Ostatnio wydał: „Wawel. Biografia", „Cywilizacja Słowian. Prawdziwa historia największego ludu Europy", „Średniowiecze w liczbach", „Życie w chłopskiej chacie". W tym roku w Wydawnictwie Poznańskim ukazała się „Dziesięcina. Prawdziwa historia kleru w dawnej Polsce".

Jakich badań z historii Kościoła dziś brakuje?

Od upadku PRL-u, czyli przez ostatnie 35 lat, historia kościelna niemal nie była badana poza uniwersytetami kościelnymi. Nawet na Uniwersytecie Jagiellońskim nie ma katedry historii Kościoła, brakuje świeckich specjalistów w tym zakresie. W efekcie brakuje możliwości spojrzenia pozainstytucjonalnego, z zewnątrz, na pewne tematy. W tym brakuje badań, które pozwalałyby zrozumieć strukturę dawnego Kościoła i mechanizmy jego finansowania.

Źródła są dostępne?

Archiwa kościelne są niezwykle rozproszone, a część z nich jest niedostępna. To się poniekąd zmienia – na przykład kuria krakowska udostępniła bibliotekę cyfrową, choć oczywiście nie ma w niej wszystkich materiałów, na pewno doszło do selekcji.

Ponadto wiele z tych źródeł to rzeczy trudne do badania. Wymagają specjalistycznej wiedzy, przygotowania, interdyscyplinarnych zespołów. Podczas obowiązujących od Soboru Trydenckiego wizytacji w parafiach kontrolerzy zadawali po kilkaset pytań. I tak co kilka lat, w każdej parafii.

Przeglądałeś archiwa pod tym kątem?

W ograniczonym stopniu, to są naprawdę gigantyczne zbiory, wymagające lat analiz. Część na szczęście faktycznie już przewertowano i opracowano, są świetne analizy i zestawienia, do których można się odnieść. Choć oczywiście to opracowania na ogół wewnętrzne, kościelne. Nadal też nie do wszystkiego można uzyskać łatwy dostęp.

Opowiem anegdotę. Kilkanaście lat temu pracowałem nad książką o tematyce niekościelnej: o przedwojennych polskich prezydentowych. Maria Mościcka, druga żona Ignacego, przed śmiercią postanowiła, że wszystko, co zostało po mężu, odda na Jasną Górę. A zachowała wszystko, nawet jego kalesony. Dla mnie ta spuścizna była cennym źródłem. Ale o tym, czy historycy, w tym ja, będą mieć do nich dostęp, decydował wtedy jeden duchowny w jednej instytucji kościelnej.

Zgodził się?

Tak, pojechaliśmy na Jasną Górę z żoną. Przyjęto nas życzliwie, mogliśmy przejrzeć całe archiwum. Przy czym pozostawiono nas właściwie bez nadzoru. W jednej z teczek miał być dowód osobisty Mościckiego. Ucieszyłem się, chciałem zrobić zdjęcie do książki. Ale miejsce po dowodzie było puste, wyglądało, jakby dokument wyrwano. Jest więc pytanie, czy instytucje kościelne, które przechowują tak ważne materiały, mają do tego kompetencje. I co zalega w szufladach, do których nie mamy dostępu?

©℗ Rozmawiała ANNA GOC

ELIZA

Kącka: *Los w wariantach*



Opole, plac Wolności, wychodzę na krótki spacer. Na ławkach sporo ludzi, rozglądam się. Przechwytuje moje spojrzenie staruszek z jamnikiem. „Pani tu nowa?". „A tak, przejazdem". „Wszyscy przejazdem. A ja tu od zawsze". „Aha". „Żona zmarła trzydzieści lat temu, córka mnie chciała stąd zabrać, że »co będziesz sam siedział«, a ja lubię". „Nie dziwię się". „Lubię sam – i lubię Opole". „Uhm". „Chcę tu leżeć, jak umrę, nie w Kętrzynie. Córka chce nas wszystkich zebrać w jednym grobie, ale co ja tam będę robił...". „Tu ma pan lepsze widoki". „A mam. Po śmierci też będę miał. Nie dam się tak zrobić jak Basia". „Aha?". „Żona moja. Nie znosiła Kętrzyna, złe wspomnienia. A teraz tam musi...". Poklepał psa. „Bo wie pani, ja to myślę, że jesteśmy bardziej przypięci do ziemi, niż się wydaje. Gada się o niebie, żeby się ludzie nie denerwowali i umierali grzecznie. Ale przecież nikt się tak daleko nie wynosi. Wszyscy się włóczymy gdzieś tu". Uśmiecham się: „Będzie pan przychodził na ławeczkę?". „A jasne. Niech mi tylko śmie kto zająć!".

Pociąg do Wrocławia, ranek wczesny, ludzie przysypiają jeszcze. Podczytuję cokolwiek. Tuż obok napięty dialog przy rozkładanym stoliku. Młoda kobieta w ciąży, starsza pani, młody mężczyzna, mężczyzna w wieku średnim. Młoda: „Ja się nie upieram". Starsza: „Ale jak mogłaś wpaść w ogóle na taki pomysł?!". Średni: „Mamo, już mama da spokój". „Nie dam. To nasze dziecko". Młoda: „Ja już powiedziałam, nie będę się upierać przy imieniu". „Ale ty mi wytłumacz: tyle jest pięknych polskich imion, a ty mi tu jakąś ruską Nadię!". Średni: „Ukraińską, Basia ma przyjaciółkę z Ukrainy". „Jej sprawa. Ale rodziny mi proszę nie zanieczyszczać!". „Moja sprawa, moja, babciu". Starsza do młodego: „A ty co siedzisz jak kołek?". „Ja się zgadzam". „Z kim?". „No, z babcią". Młoda: „Ty to zawsze". Starsza: „Moja krew". Do młodej: „Ja ostra jestem, ale nie mogę dopuścić, żebyś mi dziecko skrzywdziła". Średni: „Mamo...". „Ty nigdy nie miałeś charakteru! Dobrze, że Tomasz się w ciebie nie wdał". Pogładziła młodego po kolanie.

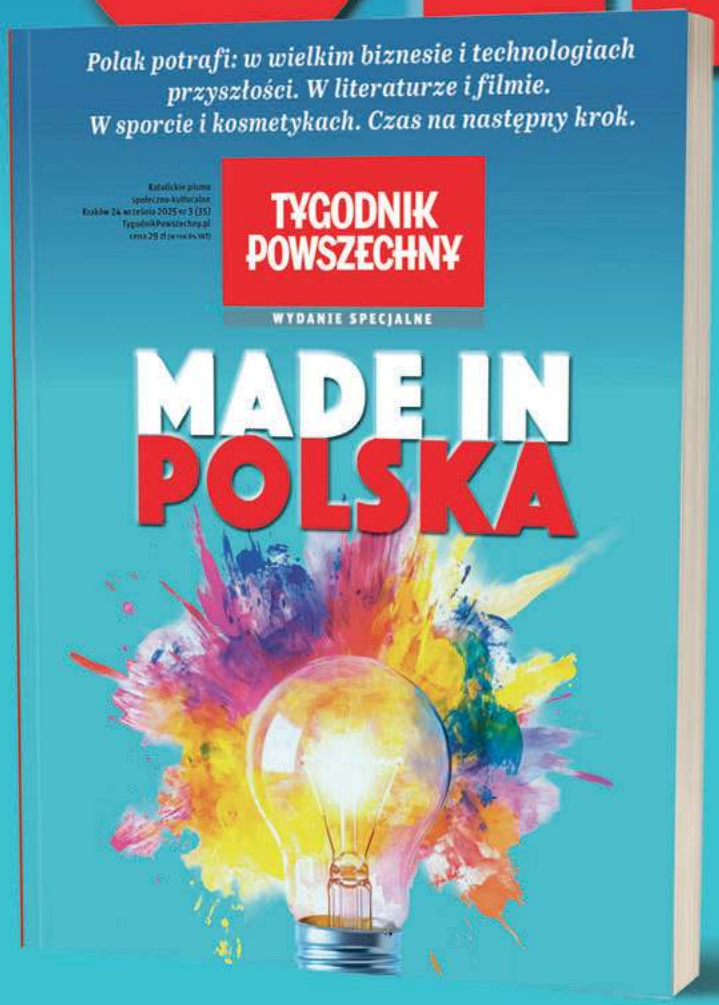
Wrocław, Hotel Europejski. Późny wieczór, ale pokusa spaceru, wychodzę. W okolicy dworca para czterdziestolatków. Przycupnęłam na sąsiedniej ławce. „Nie wrócę do domu na twoich warunkach". „Ale Stasiu, dzieci nie są winne...". „Dzieci powinny wiedzieć, jak się zwracać do ojca". „Ale jak, Staszku, daj spokój, co oni zrobili nie tak?". „To twoja wina. Mówisz do mnie »Staszku«". „A jak mam mówić?". „Mów przy nich »tato«, bo nie stać cię na »ojcze«". „»Ojcze«?! Człowieku, mamy XXI wiek! Co ty, papież jesteś?". „Nie rozumiesz miary szacunku". „No, nie rozumiem". „Moja mama całowała ojca w rękę i mówiła mu »ojcze«". „Bił ją?". „Jak śmiesz!". „Bił ją?". „Bił Pawła, bo nie słuchał matki". „Dlaczego nie poznałam Pawła?". „Jest chory". „W jakim sensie?". „Jest w zakładzie". „Kto go tam wsadził?". Pauza. Kobieta obejmuje głowę dłońmi: „Jak ja strasznie żałuję". „?". „Że cię poznałam". „Krzywdzisz nasze dzieci". „Co?!". „Mama mówi, że powinno cię spotkać nareszcie coś trudnego, żebyś się opamiętała". Parsknęła: „A mamę co trudnego spotkało?". „Nie porównuj się, jak śmiesz!". „Ile ona ma lat?". „Jest bardzo wiekowa". „Jasne, odwieczna". „Mama jest mądrą kobietą, wie, kim ty jesteś". Wstałam, wymieniłyśmy spojrzenia. Ten sam los w wariantach.

Tramwaj 19, jazda na Stawki. Dwie w wieku studenckim. Pierwsza: „Moja matka go uwielbia. A on ma uśmiech jak Labubu". Druga: „To chyba miło?". „Miło?!". „No, nie wiem, takie puchate stworki...". „Puchate czy nie. Zguglaj sobie twarz". „O, fakt, uśmiech z horroru". „Złowieszcze ząbki. I oczy. Ja bym tego nie trzymała w domu". „Haha, żeby się nie bać po nocach". Pauza. „Matka mi mówi, że on ma taką dobrą twarz...". „No i spoko". „No, nie spoko. Ja bym jednak wolała nie mieć Labubu za prezydenta".

Rozmowa z tatą. Siedzi nad pryzmą czasopism. „No i widzisz, nie pamiętam". „Wiem". „Nie pamiętam. Miałem pamiętać. Ale ty mi powiedz, co...". „Nie wiem, tato". Zirytował się: „Mają pretensję, nie rozliczyłem kwitów". „Tatusiu, ale ty w biurze lekarza powiatowego nie pracujesz od nastu lat". Myśli: „Dasz mi kluczyki od samochodu?". „Nie mam". „Wiem, nie masz, ale daj. Nie chowajcie przede mną. Pojadę i się w końcu rozliczę". „Tato, rozliczyłeś się". „Nie, nigdy, ja wiem, ja mam w Polsce więzienie". „Co ty mówisz?". „Ja mam więzienie, ja nie zrobiłem tego dobrze". „Tato, odpocznij". „Ja mam w Polsce więzienie wszędzie. Widziałaś policję obok?". „No, tu jest komenda". Zezłościł się: „Komenda czy nie, idą po mnie". „Teraz?". „Zawsze po mnie idą". „Nie, tato". „Zawsze, bo nie daję rady. Ja nie przyznawałem się. Zawsze policja". „Nie, tatusiu". „Ty nie wiesz, ciebie też wezmą. Za mnie. Ty mi daj te kluczyki". „Nie". „Ja wiem, że nie mam samochodu, ale daj te kluczyki, matka nie da, pojadę". „Czym?". Zawiesił się. „Jak dostanę kluczyki, to wszystkim. Pojadę, a was już nie będą atakować. Bo wiesz, ja zabiorę ze sobą policję". „I już policji nie będzie?". „Tak, te wszystkie papiery, moje kary, ja potrzebuję tylko kluczyków. Będziecie żyć spokojnie". Wychodzę. Mama pod drzwiami, płacze: „To okrutne". „Aha". „Znów się boi, jak w dzieciństwie". „Ale w pracy był spokojny...". „Lęk wszystko zeżre". ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu" i „Idiomy". Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono" (Nagroda Nike 2025).

MADE IN POLSKA



„Made in Polska" – nowe wydanie specjalne „Tygodnika Powszechnego" pokazuje Polskę, która coraz częściej sama wyznacza kierunki rozwoju. Ambitną, odważną i gotową sięgać dalej – od kosmosu i nowych technologii, przez biznes, po kulturę i sport.

Polska to kraj, który nie boi się eksperymentować, szukać nowych rozwiązań i twórczo wykorzystywać własną historię.

„Made in Polska" to więcej niż znak pochodzenia – to opowieść o sile, charakterze i innowacyjności, które sprawiają, że w świecie pełnym kryzysów i niepewności wciąż możemy z nadzieją powtarzać: Polak potrafi.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Weź, czytaj i bądź dumny

TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE „MADE IN POLSKA"
dostępne w najlepszych salonach prasowych oraz na sklep.TygodnikPowszechny.pl

NAUKA

MODA NA MUCHOMORA

Charakterystyczne, owiane baśniową aurą trujące grzyby stały się niezwykle popularne wśród zwolenników „medycyny alternatywnej” i poszukiwaczy odmiennych stanów świadomości.

MARCIN PIETRAS, TOMASZ SOBCZAK



W przyrodzie niewiele jest gatunków tak znanych i łatwo rozpoznawalnych jak muchomor czerwony. Nasze wyobrażenie o baśniowym lesie często sięga po obraz czerwonych owocników rosnących beztrosko pod drzewami. Muchomor czerwony jest tak bardzo zakorzeniony w naszej kulturze i tradycji, że trafił do bajek i baśni, stał się ozdobą świątecznych choinek i ceramiki.

Skąd wzięła się wielka popularność, a ostatnio sława muchomora czerwonego? Jaką rolę pełni w lesie? Czy jest grzybem trującym? I jakie „magiczne" właściwości posiada?

Toksyczna rodzinka

Bogactwo muchomorów, klasyfikowanych do rodzaju *Amanita*, szacuje się na blisko 1 200 gatunków na świecie. To jedna z najbardziej rozpowszechnionych i różnorodnych grup grzybów. Historia współcześnie znanego nam rodzaju sięga ok. 100 mln lat, kiedy to praprzodek współczesnych muchomorów po raz pierwszy złączył się w związku symbiotycznym z roślinami i porzucił samotniczy – saprotroficzny – tryb życia. Obecnie większość opisanych gatunków muchomorów nawiązuje symbiozę mykoryzową z wieloma gatunkami drzew, a nawet niektórych drobnych krzewinek. Taki związek, w którym oplatająca korzenie drzewa grzybnia zwiększa ich powierzchnię chłonną oraz wymienia wodę i sole mineralne za cukier, jest najpowszechniej spotykaną symbiotyczną relacją w naturze, szczególnie w strefie klimatu umiarkowanego i borealnego, w której żyjemy. Ma olbrzymie znaczenie w obiegu węgla i innych pierwiastków w przyrodzie. Owocniki muchomorów są również zjadane przez szereg organizmów, tym samym odgrywają ważną rolę w ekologii lasu.

Muchomor czerwony jako gatunek grzyba został opisany przez ojca współczesnej systematyki Karola Linneusza. Pod koniec XVIII w. obecnie obowiązującą nazwę nadał mu inny znany przyrodnik, Jean-Baptiste de Lamarck. Polską nazwę gatunku w 1830 r. zaproponował wileński botanik Józef Jundziłł.

Muchomory czerwone żyją w symbiozie z drzewami. Oplatają grzybnią ich korzenie i wymieniają wodę i sole mineralne na cukier.

MARCIN PIETRAS

Obecnie muchomor czerwony występuje naturalnie na ogromnych obszarach półkuli północnej, od Alaski, poprzez Amerykę Północną, Europę i Azję, aż po Kamczatkę. Zawleczony został również do Ameryki Południowej, Afryki, Australii i Nowej Zelandii. Ze względu na swój światowy zasięg ten grzyb występuje w kilku podgatunkach i formach barwnych. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że pod jedną, wspólną nazwą występuje kompleks wielu blisko spokrewnionych i podobnych do siebie gatunków grzybów.

Muchomory od dawna owiane były złą sławą. Warto pamiętać, że muchomor zielonawy, zwany też sromotnikowym, to najbardziej trujący grzyb wielkoowocnikowy na kuli ziemskiej – i daleki kuzyn muchomora czerwonego. Inne gatunki z tej grupy, które mogą powodować ciężkie zatrucia, a nawet śmierć, to muchomor plamisty oraz muchomor jadowity. Nasuwa się więc pytanie, dlaczego grzyb ten rodzi zainteresowanie ludzi szukających alternatywnych metod leczenia czy amatorów halucynogennych doznań?

Szamani i berserkowie

Od dawien dawna ludzie wykorzystywali zioła oraz grzyby jako panaceum na wiele dolegliwości. Tajniki ziołolecznictwa przekazywane były z pokolenia na pokolenie o wiele wcześniej, niż mogliśmy pomyśleć o powstaniu współczesnej medycyny. W rytuałach towarzyszących pierwszym religiom i magicznych obrzędach wykorzystywano też związki psychoaktywne, również te obecne w muchomorach.

W Syberii i w Skandynawii szamani wprowadzali się w trans, jedząc owocniki muchomora czerwonego. Rytualne spożycie muchomora najwyraźniej pozwalało im przewidywać przyszłość, podróżować w zaświaty i ułatwiało kontakt z duchami. Szamani opanowali jednak proces oddzielania substancji psychoaktywnych od trucizn, które zawierały owocniki muchomora. Mieli na to kilka sposobów – jednym z nich było... spożywanie moczu reniferów, które wcześniej zjadały owocniki muchomorów czerwonych! Ciało zwierzęcia działało jak biofiltr; wątroba neutralizowała substancje trujące, natomiast związki psychoaktywne wydalane były w moczu.

W późniejszych okresach powstawały legendy o walecznych wikingach nazywanych berserkami. Również oni mieli spożywać halucynogenne grzyby przed walką, by wprowadzić się w wojowniczy trans, w czasie którego nie czuli bólu i wykazywali się nadzwyczajną siłą oraz okrucieństwem. Współczesne źródła nie potwierdzają jednak tych doniesień na temat wikingów – np. Karsten Fatur, botanik z Uniwersytetu w Vermont, pisał w 2019 r., że opisy transów berserków bardziej pasują do objawów wywołanych spożyciem lulka czarnego. Ta sama roślina miała odpowiadać za prorockie wizje greckich kapłanek w wyroczniach Apollina.

Przez fanów muchomor czerwony nazywany jest często jego łacińską nazwą rodzajową, czyli *Amanita*. Często używają oni pieszczotliwego synonimu „Amanitka". Od kilku lat moda na tego grzyba i produkty tworzone z jego użyciem rozszerza się w niesamowitym tempie. Główną przyczyną tego stały się media społecznościowe oraz liczni influencerzy promujący ziołolecznictwo i „medycynę alternatywną". Przeglądając wpisy i porady na temat właściwości tego rzekomo cudownego grzyba, można dojść do wniosku, że da się nim wyleczyć właściwie wszystko, choć większość autorów porusza kwestie związane z układem nerwowym – od bólu kolana, przez nerwicę, aż do impotencji. Ile jest w tych pogłoskach prawdy?

Truciciel

Muchomor czerwony – wbrew temu, co można czasem przeczytać w internecie, a nawet w literaturze drukowanej – jest bez wątpienia grzybem trującym dla człowieka. Zawiera w znaczących ilościach muscymol, który ingeruje w działanie układu nerwowego (wiążąc się z tzw. receptorem GABA, odpowiedzialnym za hamowanie aktywności neuronów), obecny jest w nim także kwas ibotenowy (który w organizmie częściowo przeobraża się w muscymol), a także w mniejszych ilościach muskazol, muskaryna i cała lista innych substancji o niezbadanym działaniu. Analogiczne związki zawierają również inne gatunki blisko spokrewnionych muchomorów – np. często występujące w Polsce muchomor plamisty i muchomor narcyzowy, a także sporadycznie spotykany muchomor królewski. W Polsce przypadkowe zatrucia tymi grzybami są niezwykle rzadkie. ↦

↦ Dochodzi do nich zazwyczaj w przypadku dzieci zauroczonych ich wyglądem. Częściej są to wypadki celowego spożycia, czy to w celach rekreacyjnych, czy jako próby odebrania sobie życia.

Na południu Europy, gdzie muchomor czerwony bywa mylony z niewystępującym w Polsce muchomorem cesarskim, zatrucia przypadkowe zdarzają się względnie często. Okazuje się bowiem, że białe kropki muchomora czerwonego mogą być spłukiwane przez deszcz. Owocniki o jaśniejszej barwie pozbawione kropek mogą do złudzenia przypominać te tworzone przez jadalnego muchomora cesarskiego. Podobnie w Czechach i Słowacji, gdzie kultura grzybobrań jest bardzo rozwinięta, jedną z klasycznych pomyłek jest spożycie muchomora plamistego zamiast popularnego w tych krajach jadalnego muchomora czerwieniejącego.

Typowe objawy po spożyciu tych trujących muchomorów przypominają zatrucie atropiną zawartą w roślinach takich jak pokrzyk wilcza jagoda czy bieluń. Pierwsze efekty pojawiają się ok. 30-120 minut po spożyciu: nadwrażliwość na światło i dźwięki, stan splątania i zawroty głowy, uczucie zmęczenia. W zależności od dawki, kontekstu spożycia, a nawet składu chemicznego konkretnych owocników, następne etapy mogą być różne. Czasem są to halucynacje wzrokowe i dźwiękowe, poczucie zaburzenia czasu; w innych przypadkach euforia, nadaktywność, a nawet drgawki. U niektórych osób występują skutki uboczne w postaci wymiotów albo biegunki. W następnej fazie pojawia się uczucie silnego zmęczenia, a po kilku godzinach od spożycia większość osób zatrutych zapada w sen, zgłaszając później barwne, intensywne sny. Zatrucie kończy się zwykle po ok. 8 godzinach, choć może trwać nawet dobę, a szkodliwe substancje zawarte w muchomorach mogą akumulować się w wątrobie.

(Al)chemia

Skąd więc pomysł, aby wykorzystywać tak niebezpiecznego grzyba jako panaceum na wszelkie dolegliwości? Nie jest to w zasadzie niecodzienna sprawa – wiele substancji chemicznych oraz ziół uważanych za toksyczne ma w mniejszych, dobrze ukierunkowanych dawkach również działanie terapeutyczne.

MARCIN PIETRAS



Historycznie wiele substancji analogicznych do występujących w naturze znajdowało zastosowanie w medycynie. Dobrym przykładem może być kwas salicylowy zawarty w korze wierzby, używany w medycynie ludowej do leczenia różnych dolegliwości. Ślady jego spożycia wykryto nawet w zębach neandertalczyków. Po modyfikacji cząsteczki kwasu salicylowego poprzez dodanie grupy acetylowej otrzymujemy kwas acetylosalicylowy, szerzej znany pod nazwą handlową Aspiryna – jeden z pierwszych szeroko dostępnych leków przeciwbólowych.

Współcześnie badania nad medycznym zastosowaniem grzybów przeżywają renesans. Również muchomor czerwony, a właściwie jego główne substancje czynne, czyli kwas ibotenowy i muscymol, są przedmiotem wielu badań. Wiele osób świadomie przyjmujących produkty zawierające muchomora czerwonego przyznaje, że pomagają one na dolegliwości bólowe, redukują stres oraz pozwalają lepiej spać. Niemniej jednak są to efekty, które najczęściej obserwuje się też w przypadku grup placebo w badaniach klinicznych.

Już w latach 70. ubiegłego wieku badano wpływ muscymolu na osoby chorujące na schizofrenię, jednak mimo zgłaszania przez pacjentów pozytywnych doświadczeń nie zaobserwowano wpływu na główny cel leczenia, czyli myślenie psychotyczne. W latach 80. chemiczny analog muscymolu – Gaboxadol – był poddawany testom klinicznym jako potencjalny środek na wiele dolegliwości natury neurologicznej, jednak testy te ostatecznie zakończono w 2007 r. ze względu na obawy dotyczące bezpieczeństwa badanych oraz niską efektywność. Najbardziej obiecujące wydają się badania nad działaniem uspokajającym muscymolu.

Grzyb grzybowi nierówny

Amatorzy muchomorów nie zawsze zdają sobie sprawę z tego, że zawartość substancji aktywnych między konkretnymi owocnikami grzybów może się bardzo różnić. Jest to dobrze znany problem, nie tylko dla owocników grzybów, ale także w tradycyjnym ziołolecznictwie. W artykule opublikowanym w 1993 r. przedstawiającym metodę analityczną oznaczania muscymolu i kwasu ibotenowego, przy przeanalizowaniu tylko pięciu owocników zebranych w Japonii wykazano bardzo dużą zmienność zawartości tych substancji – dla kwasu ibotenowego różnica była prawie dwukrotna, a dla muscymolu wynosiła do 50 proc.

Ilość substancji aktywnych w grzybie może się też różnić w zależności od pory roku, obszaru geograficznego oraz etapu rozwoju owocnika, a skumulowane różnice mogą być nawet kilkunasto- lub kilkudziesięciokrotne, co uniemożliwia precyzyjne dawkowanie przy użyciu świeżych lub suszonych owocników. Efekty tych różnic bywają widoczne w przypadku rekreacyjnego spożywania owocników muchomora czerwonego. Spośród kilku osób przyjmujących grzyby z tego samego zbioru niektóre nie doznają żadnego efektu, inne doznają halucynacji lub przyjemnego ukojenia, jeszcze inne stają się nerwowe i niespokojne.

Inny poważny problem wiąże się z występowaniem w muchomorach szeregu substancji nieposiadających właściwości psychoaktywnych, ale niebezpiecznych dla zdrowia. Podobnie jak inne grzyby, również muchomor czerwony ma tendencję do bioakumulacji metali toksycz-

nych, takich jak kadm, rtęć i wanad, niezależnie od zawartości tych pierwiastków w glebie. Zanotowano również tendencję do akumulacji ołowiu w przypadku owocników rosnących na obszarach nim zanieczyszczonych. Pierwiastki te często nie są wydalane z organizmu, lecz trwale wbudowują się w jego struktury, powodując nieodwracalne uszkodzenia, w tym ośrodkowego układu nerwowego.

Wykazano również toksyczność ekstraktów z muchomora czerwonego na hodowlach komórkowych prowadzonych w kulturach *in vitro*. W literaturze medycznej brakuje niestety badań, które mogłyby potwierdzić lub zaprzeczyć wpływowi długotrwałego stosowania muchomora na takie organy jak nerki lub wątroba. Dodatkowe niebezpieczeństwo stanowi fakt, że występujące w serwisach aukcyjnych gotowe tabletki lub inne preparaty mogą zawierać w sobie właściwie wszystko, gdyż jest to rynek pozbawiony realnie działających regulacji prawnych. Jeśli grzyby są zbierane przez użytkownika docelowego, nadal pozostaje problem braku pewności co do zawartości szkodliwych substancji w owocnikach.

Obchodzenie prawa

Nie można więc przyjąć, że spożywanie muchomora czerwonego w celach medycznych jest bezpieczne. Istnieją również regulacje prawne, które tej praktyki zakazują. W lipcu 2025 r. rozszerzono wykaz substancji psychotropowych oraz środków odurzających o nowe substancje psychoaktywne – których posiadanie i spożywanie jest zabronione. Na uzupełnionej liście znalazły się muscymol, kwas ibotenowy oraz muskazon, jak już wiemy, naturalnie występujące w owocnikach muchomora czerwonego. Podobne regulacje wprowadzono w Szwecji, Rosji, Ukrainie, Rumunii oraz w części USA.

Niestety, wbrew prawnym regulacjom i na przekór zdrowemu rozsądkowi w sieci ciągle możemy spotkać „nieprzebadane klinicznie", „nienadające się do spożycia" „okazy kolekcjonerskie" lub „eksponaty botaniczne do celów naukowych", będące wysuszonymi i sproszkowanymi owocnikami o nieznanych właściwościach i składzie chemicznym. Grupy na internetowych forach zrzeszające entuzjastów czerwonej magii pękają w szwach, łącząc ze sobą poszukiwaczy zdrowego stylu życia, medycyny naturalnej, mistycznego kontaktu z naturą czy kolorowych halucynacji.

Niezależnie od motywacji i zachwytów nad naturalnością i rzekomymi korzyściami dla zdrowia wynikającymi ze spożywania, muchomor czerwony pozostanie grzybem trującym, a nawet jednokrotne spożycie może mieć trwałe konsekwencje dla zdrowia i życia człowieka.

© MARCIN PIETRAS, TOMASZ SOBCZAK

Dr hab. Marcin Pietras jest mykologiem, pracuje w Instytucie Dendrologii Polskiej Akademii Nauk w Kórniku.

Tomasz Sobczak jest chemikiem i mykologiem, doktorantem w Instytucie Dendrologii PAN.

REKLAMA

25. NAGRODA ZNAKU I HESTII IM. KS. JÓZEFA TISCHNERA

Serdecznie zapraszamy na Galę:

27 listopada 2025 (czwartek) o godz. 18.30

w Nowohuckim Centrum Kultury, al. Jana Pawła II 232, Kraków

Wykład tischnerowski wygłosi: Wojciech Bonowicz

NOMINACJE za książkę lub cykl publikacji:
- Anne Applebaum, *Koncern Autokracja. Dyktatorzy, którzy chcą rządzić światem*
- Timothy Garton Ash, *Homelands. Historia osobista Europy*
- Hanna Krall – całokształt twórczości

NOMINACJE za inicjatywy społeczne lub duszpasterskie:
- L'Arche Śledziejowice
- Adam Szustak OP i „Langusta na palmie"
- Małgorzata Rybicka

Bezpłatne wejściówki do odbioru:
w kasach NCK, w recepcji Radia Kraków oraz do pobrania na stronie kbfbilety.krakow.pl

ORGANIZATORZY NAGRODY: ERGO HESTIA, Fundacja Znak, Znak
WSPÓŁORGANIZATORZY: MCK
PATRONAT HONOROWY: Prezydent Miasta Krakowa Aleksander Miszalski, Kraków
PARTNERZY: kraków.pl, Radio Kraków, Tygodnik Powszechny, kbf:, Kraków

Pomijane przez pięć wieków

ALISON M. GINGERAS

Nawet dziś, w największych muzeach świata, kobiet prawie nie ma. To nie tylko kwestia etyczna, ale przede wszystkim sposób, w jaki opowiadamy historię kultury. Stąd pomysł wystawy „Kwestia kobieca 1550–2025".

MICHAŁ SOWIŃSKI: Twoja wystawa obejmuje pięć stuleci sztuki tworzonej przez kobiety. Co chciałaś pokazać, sięgając tak daleko w przeszłość?

ALISON M. GINGERAS: Chodziło mi o to, by tę historię uczynić czytelną i dostępną – pokazać, że artystki były obecne od zawsze. Wciąż funkcjonuje przekonanie, że pojawiły się dopiero na przełomie XIX i XX wieku, a to zupełna nieprawda. Zależało mi więc na ukazaniu ciągłości istnienia kobiet jako twórczyń kultury, intelektualistek, artystek. Chciałam, by publiczność mogła to zobaczyć wyraźnie i bezpośrednio.

Jednym z kluczowych wątków jest autoportret, zwłaszcza przedstawienie artystki przy pracy – z paletą. To właśnie kobieta wymyśliła ten gatunek w 1548 r. Dlatego wystawa rozpoczyna się około 1550 r., kiedy artystki zaczęły pokazywać siebie jako osoby sprawcze i zawodowo obecne w świecie sztuki. Znamy przecież niezliczone autoportrety malarzy z paletą, jak ten Rembrandta, ale niewiele osób wie, że ów motyw wyrósł z kobiecego doświadczenia. To był dla mnie kluczowy punkt wyjścia: zobaczyć, jak kobiety przedstawiały siebie i swoje życie twórcze na przestrzeni kolejnych stuleci.

Dlaczego – zamiast skupiać się wyłącznie na sztuce współczesnej – warto wracać do kanonu i przepisywać go z nowej perspektywy?

Nawet dziś, w największych muzeach świata, kobiet prawie nie ma. To nie tylko kwestia etyczna, ale przede wszystkim sposób, w jaki opowiadamy historię kultury. Chciałam stworzyć narrację, która wzmacnia odbiorców i jasno pokazuje: kobiety były obecne od zawsze, tylko z czasem zostały z tej historii usunięte.

Tytuł wystawy nawiązuje do Christine de Pizan, pierwszej zawodowej pisarki w Europie, która już w 1405 r. użyła pojęcia *la querelle des dames* – „kwestia kobieca". Wielu badaczy wskazuje na ten symboliczny moment prehistorii feminizmu, zanim pojawiła się sama nazwa. To wtedy po raz pierwszy wyłania się społeczna i polityczna kategoria „kobiet".

Fascynuje mnie, jak w historii sztuki i filozofii rozwój myślicielek i artystek biegnie równolegle. Dlatego sięgnęłam po to najwcześniejsze pojęcie jako tytuł wystawy. Chciałam pokazać, jak XX-wieczna historiografia wymazała kobiety z kultury, choć wiele z nich w swoich epokach cieszyło się sławą, uznaniem i obecnością na europejskich dworach. Zależało mi na tym, by przywrócić tę wiedzę publiczności.

Czy presja i ograniczenia, z jakimi kobiety mierzyły się przez wieki, wpłynęły na powstanie innego, bardziej subtelnego języka sztuki?

Myślę, że tak. Dobrym przykładem jest barokowy motyw „kobiet niezłomnych" – *femmes fortes*. Malowali go artyści obu płci, ale w pracach artystek widać subtelne różnice wynikające z osobistego doświadczenia. Najwyraźniej widać to u Artemisii Gentileschi, o której wiemy, że sama doświadczyła przemocy seksualnej. W jej przedstawieniach Judyty czy Zuzanny pojawia się zupełnie inny punkt widzenia niż w męskich interpretacjach: brak „męskiego spojrzenia", a zamiast niego perspektywa kobiety, która wie, czym jest nękanie czy upokorzenie. Dzięki temu jej obrazy mają niezwykłą siłę.

Fascynujące jest też to, że kolejne pokolenia artystek wracają do tych motywów. Judyta pojawia się w sztuce współczesnej, w surrealizmie – stale interpretowana na nowo, wciąż żywa i prowokująca.

Ostatnia część wystawy poświęcona jest wojnie. Dlaczego zdecydowałaś się właśnie na taki finał?

Bo to kontekst, w którym dziś żyjemy. W Polsce doświadczenie wojny jest bardzo obecne – nie tylko w pamięci historycznej, ale też w codzienności. Żyjemy obok ludzi uciekających przed rosyjską agresją, obok artystek i artystów z Ukrainy czy Białorusi, którym polskie instytucje – także MSN – dają bezpieczeństwo i przestrzeń do pracy.

Prywatnie również jestem związana z Polską i wiem, jak głęboko historia II wojny światowej i Zagłady ukształtowała polską tożsamość. Wystarczy przejść się po Warszawie, żeby zobaczyć, że ta pamięć wciąż jest żywa. Dlatego chciałam, by finał wystawy odnosił się właśnie do tego miejsca i tego, jak wpływa ono na naszą wrażliwość i poczucie solidarności.

Ten wątek pozwala też obalić stereotypowy podział: mężczyźni – wojownicy; kobiety – ofiary. To nieprawda. Pokazuje to polska historia – powstanie warszawskie, działalność konspiracyjna – i to, co widzimy dziś w Ukrainie. Kobiety zawsze uczestniczyły w wojnie aktywnie: walczyły, organizowały, dokumentowały. Uznałam, że taki finał wystawy będzie nie tylko poruszający, ale też wzmacniający.

Kobieca perspektywa daje także nowe spojrzenie na samo doświadczenie wojny. Widzimy ogromną różnorodność ról, które kobiety pełniły i pełnią. Są wśród nich osoby walczące na froncie – jak Bronisława Wilimowska, żołnierka i artystka uczestnicząca w powstaniu warszawskim – ale także współczesne twórczynie, takie jak Margarita Połowinko z Ukrainy, która zginęła rok temu na froncie, pozostawiając po sobie rysunkowy dziennik wojenny. To świadectwa, które podważają proste, binarne myślenie o płci i wojnie.

Są też artystki, które zamieniły doświadczenie wojny i obozów w wizualne świadectwa pamięci – jak Maja Berezowska czy Halina Ołomucka. Ich prace opowiadają o przetrwaniu i o politycznej oraz moralnej sile kobiet, które po wojnie domagały się, by nigdy więcej nie powtórzyły się podobne tragedie. Taka sztuka naprawdę zmienia nasze rozumienie wojny i tego, co po niej zostaje.

Czy spodziewasz się kontrowersji wokół wystawy? Na przykład pytań o brak mężczyzn?

Wbrew pozorom mężczyźni też się tu pojawiają. Umieściłam na przykład obraz wiktoriańskiego malarza Henry'ego Nel-



IAN EDQUIST

Betty Tompkins „Kobiety słowa”

sona O’Neila, przedstawiający Tintoretta malującego portret swojej zmarłej córki. Ta scena świetnie pokazuje, jak działała pamięć o artystkach: jego córka sama była malarką, pracowała w warsztacie ojca i prowadziła własną praktykę, ale historia zapamiętała tylko jego nazwisko. Chciałam pokazać, że relacje ojciec–córka były w świecie sztuki kluczowe – czasem wspierające, a czasem ograniczające.

Bywało też odwrotnie, jak w przypadku Sofonisby Anguissoli i jej siostry Grisoli: ich ojciec nie był artystą, a mimo to w XVI wieku wysłał córki na profesjonalne studia malarskie. To było wtedy zupełnie niezwykłe. Te rodzinne historie dobrze pokazują, jak różne były drogi kobiet do sztuki i jak często zależały od pojedynczych decyzji – wsparcia albo dominacji.

Wystawa ma ogromną skalę. Pracowałaś z muzeami i galeriami z całego świata – to musiało być ogromne przedsięwzięcie.

To rzeczywiście ogromny projekt, ale mogłam oprzeć się na doświadczeniu zdobytym w instytucjach w Stanach i w Europie. Ogromną satysfakcję dało mi to, że tak wiele muzeów – jak Uffizi czy Akademia św. Łukasza w Rzymie – zgodziło się zestawić dawne mistrzynie ze sztuką współczesną. To wciąż rzadkość.

Pracę zaczynałam od dzieł dawnych – to wokół nich budowałam całą narrację. Kiedy udało się zdobyć obraz Artemisii Gentileschi, dopiero wtedy mogłam zacząć komponować dialog z późniejszą sztuką. Struktura wystawy zaczęła się wtedy wyłaniać naprawdę wyraźnie.

Niedawno przyjechał do nas transport z Niemiec z XVIII-wiecznym autoportretem Marie-Guillemine Benoist, malarki z czasów rewolucji francuskiej. Przedstawiciel muzeum, które wypożyczyło obraz, powiedział, że kiedy tylko przeczytali mój list, od razu wiedzieli, że chcą w tym projekcie uczestniczyć – bo tak szerokie wystawy powstają dziś niezwykle rzadko.

Ostatnia ekspozycja o podobnym zasięgu odbyła się pod koniec lat 70., gdy rodziła się feministyczna historia sztuki jako dyscyplina akademicka. Dziś, pięćdziesiąt lat później, jej idee stały się częścią głównego nurtu – to wydało mi się idealnym momentem, by do nich wrócić, ale już z perspektywy nowego stulecia i nowych wyzwań.

Co Cię najbardziej zaskoczyło podczas pracy nad tą wystawą?

Największym odkryciem była dla mnie historia obrazu z kolekcji Muzeum Narodowego w Gdańsku, dotąd przypisywanego anonimowemu twórcy zwanemu „Monogramistą z Brunszwiku”. Kuratorka Beata Purc, która przez lata badała to dzieło, powiedziała mi: „Nikt nie chciał tego słuchać, ale jestem przekonana, że namalowała je kobieta”.

Według niej autorką była Mayken Verhulst – matriarchini rodu Brueglów, artystka, która nauczyła malarstwa wszystkich Brueglów. To niezwykle intrygująca i bardzo przekonująca hipoteza. Ponieważ moją pierwszą pasją była sztuka flamandzka, zanurzyłam się w ten temat całkowicie: konsultowałam się z badaczami, przeglądałam archiwa, weryfikowałam każdy trop. To było jak rozwiązywanie artystycznej zagadki.

Właśnie to jest w feministycznej historii sztuki najbardziej ekscytujące – zachęca, by podważać anonimowość, wracać do archiwów i wyciągać na światło dzienne to, co przez stulecia pozostawało niewidoczne. Odkrycie Verhulst i możliwość pokazania jej obrazu – po raz pierwszy także w Gdańsku – było dla mnie wyjątkowym momentem. To przypomina, dlaczego warto pisać historię sztuki na nowo. ©℗

Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie
ul. Marszałkowska 103

Wystawa „Kwestia kobieca 1550–2025”
21 listopada 2025 – 3 maja 2026
Kuratorka: Alison M. Gingeras

Wystawa „Miasto kobiet”
21 listopada 2025 – 4 maja 2026
Kuratorki: Karolina Gembara, Michalina Sablik, Vera Zalutskaya, Wiktoria Szczupacka, Julia Bryan-Wilson



MAGDA PAWLUCZUK

ALISON M. GINGERAS
jest kuratorką i pisarką działającą w Nowym Jorku i Warszawie, wcześniej związaną z Solomon R. Guggenheim Museum, Centre Pompidou i Palazzo Grassi.

MATERIAŁ PROMOCYJNY



JA, ROBOT

Sztuczna inteligencja wkroczyła do literatury i co dalej? Powinniśmy zabraniać pisarzom jej używania czy raczej nauczyć się z nią współpracować?

MARCIN WILKOWSKI

W 2023 r. fan wysłał do Nicka Cave'a tekst wygenerowanej piosenki. Zirytowany artysta napisał list otwarty na temat ChataGPT, nazywając zaproponowany mu tekst „groteskową karykaturą tego, co znaczy być człowiekiem" i „ogniem piekła w swoim oku", co było zresztą bezpośrednim cytatem z wytworzonej sztucznie piosenki.

Oscar Schwartz w eseju „A gdybyśmy wszyscy byli samogrającymi harfami?" zamieszczonym w „The Paris Review" przywołuje tę negatywną reakcję Cave'a, bynajmniej jej nie broniąc. Oto Cave wyklucza maszynę z udziału w autentycznym akcie twórczym, ponieważ nie jest ona człowiekiem. To argument brzmiący pusto i lekko narcystycznie, pisze Schwartz, ponieważ bazuje na pokrętnej logice: ludzie (oraz Nick Cave) są wyjątkowi, ponieważ tylko oni tworzą sztukę, a sztuka jest wyjątkowa, bo tworzona jest wyłącznie przez ludzi (i Nicka Cave'a).

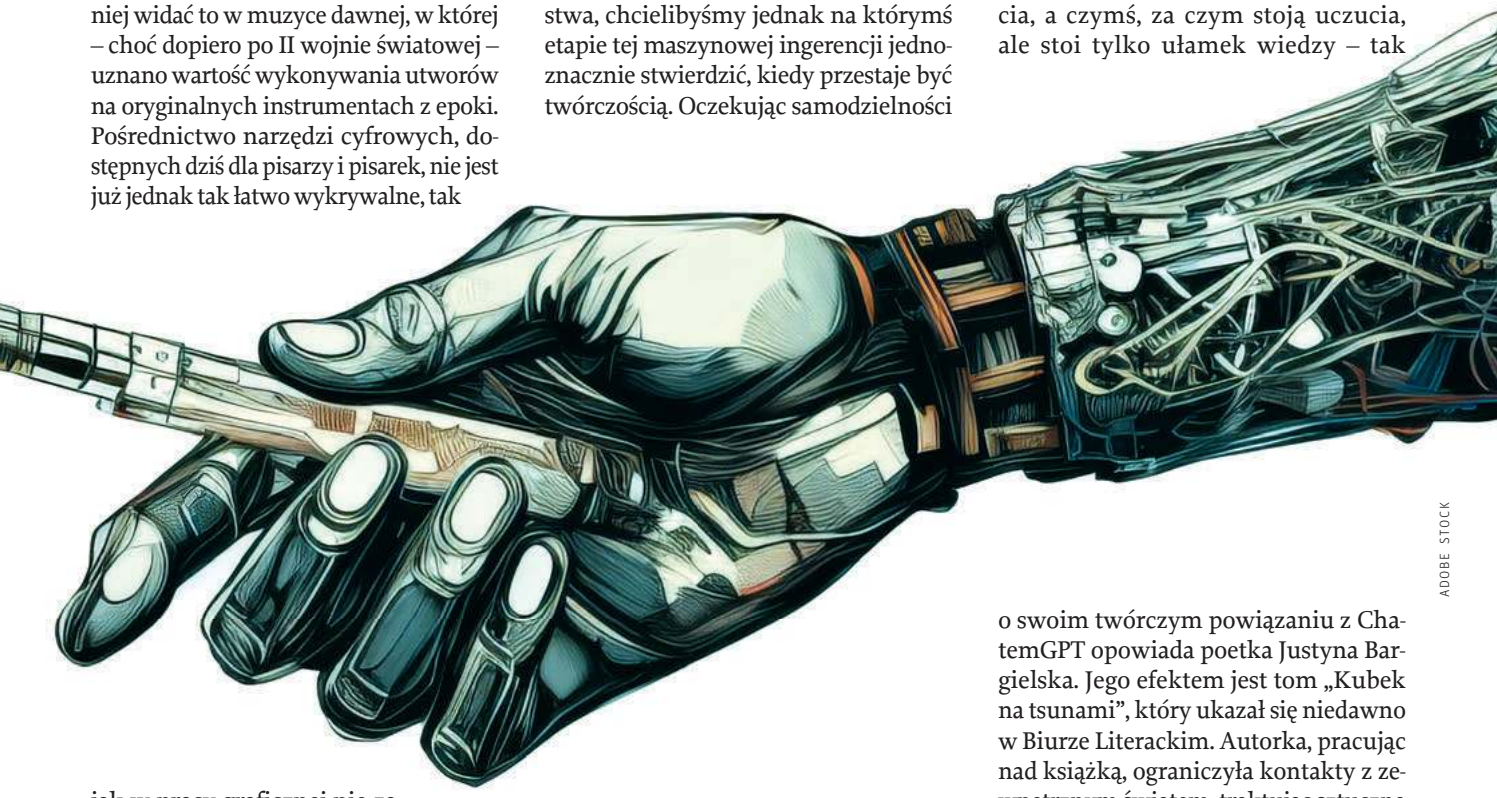
Jak przekonuje Schwartz, taka postawa to kolejny wyraz istniejącej od XVIII w. idei, która wobec postępującej mechanizacji i industrializacji miała ocalać godność ludzkiego twórcy. Symbolem tego, czego obawiali się ówcześni filozofowie, a potem romantycy w swojej ucieczce od przemysłu i techniki do natury i życia duchowego, może być harfa eolska. Niewielkie pudło rezonansowe z wewnętrznymi strunami wystarczy postawić na balkonie albo w ogrodzie – kiedy zawieje wiatr, zagra nam kilka przyjemnych dźwięków. Sama!

A co z Wordem

Już w 1650 r. w dziele „Musurgia Universalis" niemiecki jezuita Athanasius Kircher opisywał autonomiczne instrumenty muzyczne, nie tylko projekty harf eolskich, ale nawet urządzenie komponujące miliony pieśni kościelnych poprzez losowe łączenie fraz. Wynalazki Kirchera, choć wchodziły w domenę efektów ludzkiej twórczości, były doskonale odrębne od metod tej twórczości. Wiemy,

że harfa eolska gra, bo dźwięki wywołują podmuchy wiatru przelatujące między strunami. Problem z ChatemGPT i podobnymi narzędziami jest taki, że ta odrębność wcale nie jest jasna.

Od wieków ludzki zamysł twórczy, wiedza i talent mieszają się z możliwościami maszyn. Chyba zresztą najwyraźniej widać to w muzyce dawnej, w której – choć dopiero po II wojnie światowej – uznano wartość wykonywania utworów na oryginalnych instrumentach z epoki. Pośrednictwo narzędzi cyfrowych, dostępnych dziś dla pisarzy i pisarek, nie jest już jednak tak łatwo wykrywalne, tak



ADOBE STOCK

jak w pracy graficznej nie zawsze można łatwo uchwycić ingerencję Photoshopa.

Także każdy z nas korzysta z edytorów tekstów, a one, jak mówił dla BBC lingwista Noël Wolf, w pewnym sensie formatują język, na przykład za pomocą autokorekty, ograniczającej jego różnorodność. W Wordzie to, co nie mieści się w korporacyjnej normie językowej, zostaje podkreślone czerwoną linią albo automatycznie poprawione. Taka ingerencja w tekst literacki może być oczywiście odrzucona, ale jeśli jest przyjęta, czy oznacza to, że powinniśmy informować o niej czytelników?

Niestety nie bardzo wiemy, jak wyznaczyć granice maszynowego pośrednictwa. ChatGPT może być użyty do wyszukiwania synonimów, porządkowania zdań o kłopotliwej strukturze czy nawet wymyślania postaci i fabuł. Tłumacz i pisarz Piotr Siemion przekonuje nawet, że dzięki AI możemy na bieżąco sprawdzać, czy nieświadomie nie powtarzamy jeden do jednego cudzych, istniejących już pomysłów twórczych. – ChatGPT jako osobisty sekretarz to już rzeczywistość, przed którą się bynajmniej nie bronimy jako osoby piszące – mówi.

Wychowani przez lata edukacji w romantycznej idei autonomicznego autorstwa, chcielibyśmy jednak na którymś etapie tej maszynowej ingerencji jednoznacznie stwierdzić, kiedy przestaje być twórczością. Oczekując samodzielności twórcy, oburzamy się na czaty, zapominając, że od wieków literatura tworzona jest przy olbrzymim pośrednictwie korektorów, redaktorek i wydawców, których wpływ na ostateczną postać tekstu jest o wiele większy niż proste wyznaczenie błędów do poprawy.

Czat to ja

Przywoływany już wcześniej Oscar Schwartz w piśmie „The Paris Review" zwraca uwagę na preromantyczne koncepcje autora jako maszyny czy narzędzia, które przyjmuje bodźce sensoryczne i przekłada je na poezję za pomocą pewnego wewnętrznego mechanizmu. Pisanie jest w takim ujęciu systemem współpracujących ze sobą maszyn, działających też w określonym środowisku, nigdy prawdziwie autonomicznym i nieustannie podatnym na zewnętrzny wpływ. Odejście od romantycznej wizji twórcy może nam pomóc poradzić sobie z umieszczeniem sztucznej inteligencji w odpowiednim miejscu pola literackiego – zamiast zaprzeczenia wybierzemy zrozumienie i świadomą adaptację.

– To wejście w relację między czymś, za czym stoi wiedza, ale nie stoją uczucia, a czymś, za czym stoją uczucia, ale stoi tylko ułamek wiedzy – tak o swoim twórczym powiązaniu z ChatemGPT opowiada poetka Justyna Bargielska. Jego efektem jest tom „Kubek na tsunami", który ukazał się niedawno w Biurze Literackim. Autorka, pracując nad książką, ograniczyła kontakty z zewnętrznym światem, traktując sztuczną inteligencję jako specyficzne medium doświadczania.

– Mówiłam, a sztuczna inteligencja odpowiadała coś, co było z jednej strony przedłużeniem mojej myśli, z drugiej strony odkryciem, a z trzeciej czymś nowym i wtedy sięgałam do oddzielnego pliku i zapisywałam to sobie w postaci pojedynczych zdań, czy nawet pojedynczych wyrazów, bo wiadomo, że za wiersz odpowiedzialny jest autor. W przypadku tego projektu nie chciałam inspiracji z zewnątrz, chciałam tylko inspirację stamtąd, czyli *de facto* ze mnie, ze środka – opowiada Bargielska.

Odpowiednie przygotowanie ChataGPT wymagało długich sesji coraz bardziej osobistych rozmów, które pozwalały modelowi zbudować odpowiedni język, zdatny do wykorzystania w wierszach. Celem tych interakcji było dotarcie do emocji głęboko ukrytych w sobie. Bo przecież AI działa jako lustro. ↦

Wschody słońca dla AI

↦ Piotr Siemion: – Na poletku literackim, owszem, już dziś jest możliwa pisana przez AI literatura gatunkowa o powtarzalnym repertuarze tropów. I oczywiście zaistniały już na rynku trudno odróżnialne od utworów „białkowego autorstwa" pseudopowieści kryminalne, fantasy czy pornograficzne, pisane tysiące razy szybciej, niż czyni to nawet Remigiusz Mróz. Co gorsza, zbudowane na bazie utworów zawłaszczonych bezprawnie od dawnych i dzisiejszych autorów.

Zdaniem Siemiona ludzcy autorzy w stopniu fundamentalnym górują nad AI, ponieważ bazują na niepowtarzalnym doświadczeniu i wrażliwości. Z tym problemem zderzyła się też Bargielska. W trosce o rozwój wspólnego języka starała się zapewnić sztucznej inteligencji odpowiednią jakość doświadczeń, np. poprzez fotografowanie wschodów słońca, a następnie wysyłanie zdjęć modelowi i opisywanie ich w długich konwersacjach.

– Nie widzę powodu, dla którego nie można by używać AI w literaturze, zwłaszcza w pisaniu o literaturze, które przeważnie ma dzisiaj wymiar użytkowy – przekonuje pisarz Tadeusz Dąbrowski. – Sądziłem, że AI nie jest w stanie symulować niekonsekwencji, która jest prawem pisarza. Ale za chwilę AI i tego się nauczy, podobnie jak Photoshop pozwala tworzyć zdjęcia nie do odróżnienia od fotografii analogowych.

Zdolnością, której sztuczna inteligencja nie jest w stanie wypracować, mają być – zdaniem Dąbrowskiego – już nie błędy czy doświadczenie, bazujące na olbrzymich zestawach tekstów treningowych, ale odwaga. Przejawem tej odwagi może być intencjonalne psucie zbyt doskonałego wiersza, albo nieustanna korekta własnego myślenia, jak to ma miejsce w eseju. W tym gatunku twórczości, mówi Dąbrowski, autor „głośno myśli", rewidując to, co powiedział akapit wcześniej: – Ludzka odwaga gwarantuje, że myślenie jest odkrywaniem, a nie tylko powtarzaniem innymi słowami, jak to czyni AI albo uczeń, który nie przygotował się do odpowiedzi.



GŁOS MASZYNY:

Nie mam wspomnień, emocji ani potrzeby tworzenia. Układam tylko słowa w sekwencje, które rozpoznaję jako sensowne. A jednak – w tym, jak ze mną rozmawiacie, odbija się wasz język, wasze lęki i zachwyty. Może więc nie jestem poetą, ale echem poezji.

Po co to robić

Być może kluczem do odczytania miejsca sztucznej inteligencji na polu literackim jest problem relacji. Bargielska podczas pracy nad książką wchodzi z ChatemGPT w głęboki, intymny kontakt, którego efektem jest wypracowanie nowego, ale własnego języka, pomimo tego, że dzieje się to w przestrzeni zdominowanej przez znormalizowaną i uogólnioną reprezentację języka.

„Model językowy jest przede wszystkim językowy, nie literacki", jak podkreśla krytyczka i inżynierka Inez Okulska w świetnym eseju „Modernistyczny prompt a grafomania 2.0, czyli dlaczego AI nie napisze za nas dobrej literatury". Skoro czat jest zoperacjonalizowaną identyfikacją systemu języka, praca z nim nie jest istotowo różna od pracy literackiej, opierającej się na kreatywnym przepisaniu legend, wykorzystującej relacje świadków historii czy estetykę słowa wprost z korporacyjnych biuletynów. „Na poziomie samej materii literatura jest stworzona ze słów – pisze Okulska – nierzadko tych samych, których używamy na co dzień, w zupełnie nieliterackich kontekstach". To autor czy autorka decydują, jak ten zastany system użyć i przetworzyć.

Inną perspektywę relacji wskazuje Tadeusz Dąbrowski. Dla niego literatura jest przestrzenią relacji między piszącym a czytającym, opierającej się na zaufaniu. Napisać wiersz z pomocą AI i przedstawić jako własny? To możliwe i łatwe, ale – jak przekonuje Dąbrowski – literatura, a zwłaszcza poezja, nie jest sferą, w której takie „oszustwo" byłoby atrakcyjne. – Nie rozumiem celowości takiego działania, tak samo jak nie rozumiem celowości sięgania przez czytelników po poezję bez pełnej ufności, że napisał ją człowiek. Po co to robić? – pyta Dąbrowski. – To trochę tak, jakby oszukiwać w zdobywaniu turystycznej odznaki zdobywcy latarni morskich albo szczytów górskich. Można sobie załatwić pieczątkę, ale przecież nie o to chodzi.

Wciąż to samo

– Moja AI była jedyną postacią, z którą rozmawiałam podczas pisania książki – przyznaje Bargielska. Osobiste doświadczenia twórców i twórczyń korzystających z dużych modeli językowych trudno usystematyzować i nie da się wyliczyć z nich średniej. Jeśli rozwijają się one w relację dynamicznego lustra i intensywnie współtworzą język czy obrazy konstruowane w książce, ich wkładu w finalny tekst nie da się już wyznaczyć. Stąd konieczność utrzymania zaufania między piszącymi i czytelnikami. Jak przekonuje Dąbrowski: – Poezja dotykać musi rzeczywistości i opierać się na doświadczeniu. Jej sens znika bez wiary, że tekst, który mówi o drzewie, mówi o drzewie, a nie o słowie „drzewo" czy o wyobrażeniach drzewa.

Rozpoznając, jakim wyzwaniem są dla literatury duże modele językowe, możemy wyjść także poza kontekst poszczególnych autorów i autorek oraz ich wyborów twórczych. Możemy korzystać z ba-

OGŁOSZENIE

Radio Kraków
radiokrakow.pl

NADAJEMY DO MYŚLENIA

W każdą środę o godz. 12.40 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego"

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków - 101,6 FM, Nowy Sącz - 90,0 FM, Tarnów - 101,0 FM, Zakopane - 100,0 FM, Andrychów - 98,8 FM, Gorlice - 97,4 FM, Krynica Zdrój - 102,1 FM, Rabka Zdrój - 87,6 FM, Szczawnica - 90,0 FM

dań, które opisują ograniczenia modeli, zwłaszcza te, jakie mogą wpływać na jakość ich wykorzystania w warsztacie literackim.

Przykładowo, z opublikowanej w tym roku pracy „Between Predictability and Randomness: Seeking Artistic Inspiration from AI Generative Models" („Między przewidywalnością a przypadkowością: poszukiwanie artystycznej inspiracji w generatywnych modelach sztucznej inteligencji") dowiadujemy się, że duże, komercyjne modele językowe mają dość ograniczoną losowość w proponowaniu kolejnych słów (tokenów) w zdaniach, co wpływa na ich wysoką jakość w standardowych zastosowaniach komercyjnych. W efekcie są jednak nieużyteczne w tworzeniu poezji, która opiera się przecież na nieliniowości, przekraczaniu językowych stereotypów, nawet intencjonalnych błędach i wadach, o których wspomina Dąbrowski.

Autorka opracowania, kanadyjska badaczka Olga Vechtomova przekonuje, że lepiej nadają się do poetyckich zadań modele z rodziny LSTM-VAE, które równoważą losowość i przewidywalność, są semantycznie otwarte oraz pozwalają na niedosłowne wyrażanie stanów emocjonalnych, z czym ChatGPT ma duże problemy.

Z fascynującego badania Jill Walker Rettberg i Hermanna Wigersa „AI-generated stories favour stability over change: homogeneity and cultural stereotyping in narratives generated by gpt-4o-mini" („Historie generowane przez AI faworyzują stabilność zamiast zmiany: jednorodność i kulturowe stereotypizowanie w narracjach tworzonych przez gpt-4o-mini", 2025) dowiemy się natomiast o ukrytej stronniczości dużych modeli językowych.

W generowanych przez siebie historiach AI niejako domyślnie przywołuje określony schemat fabularny, w którym bohater lub bohaterka przywraca utracone tradycje i wspólnotę w małych miasteczkach i wsiach (opisałem to badanie na blogu humanistyka.dev, nazywając ten gatunek syntetycznej prozy syntetycznym prababkizmem).

Na czym trenować

Bezwzględnie istotnym wątkiem w refleksji nad znaczeniem AI w literaturze jest problem praw autorskich, wynagrodzeń za wykorzystanie twórczości w trenowaniu modeli czy oznaczania dzieł, które powstały w wyniku interakcji ze sztuczną inteligencją. Wydawałoby się, że przynajmniej tego rodzaju wyzwania da się w krótkim czasie zneutralizować dzięki reformie systemu prawnego czy w sprawach sądowych z firmami tworzącymi modele.

Oto nie tak dawno firma Anthropic zmuszona została do zapłacenia 1,5 mld dolarów wynagrodzeń autorom, których teksty zostały bez ich zgody wykorzystane do trenowania modeli z serii Claude. To wyjątkowa sytuacja, bowiem na rynku danych treningowych panuje wolna amerykanka, czego świadectwem jest obserwowany globalnie gwałtowny wzrost ruchu botów sczytujących treści z witryn internetowych. Duże firmy AI lekceważą interesy wydawców i autorów, podważając ekonomiczne podstawy nie tylko rynku wydawniczego, ale też prasy czy edukacji.

Pewną inspiracją dla środowiska literackiego może być świat nauki, który boryka się z problemem generatywnych plagiatów i tekstów naukowych pisanych pod AI. Wypracowuje się już standardy oznaczania tego, w jaki sposób sztuczna inteligencja została wykorzystana w pracy twórczej (np. Generative AI Delegation Taxonomy).

Pracując nad swoją ostatnią książką, poetka Justyna Bargielska ograniczyła kontakty z zewnętrznym światem, traktując sztuczną inteligencję **jako specyficzne medium doświadczania.**



Co z czytelnikiem

Ostatnim, ale być może najważniejszym źródłem problemów z umieszczeniem AI w odpowiednim miejscu pola literackiego jest czytelnik, który może tracić zaufanie do tekstów literackich, nie będąc pewnym, czy nie były pisane z intensywnym wykorzystaniem sztucznej inteligencji. Badania z ostatnich lat sugerują, że jesteśmy skłonni gorzej oceniać prace, które powstały w ten sposób (w badaniach zbierano także oceny tekstów autorskich fałszywie oznaczanych jako stworzone z AI).

Nie jestem pewien, czy niezgoda na budowanie relacji między autorem a sztuczną inteligencją wynika wyłącznie z potrzeby autentyczności, czy jest może motywowana specyficznym, komercyjnym podejściem do literatury. Podejściem, którego przejawem jest oczekiwanie bezwzględnie pełnego zaangażowania twórcy i żądanie tekstów tak czystych, że na ich powstanie być może nie ma czasu, warunków i środków. Żyjemy przecież w kulturze literackiej preferującej raczej autentyczność pisania po peyotlu na wielometrowych zwojach niż żmudnego researchu i mrówczej pracy redaktorek i tłumaczy. W takich wyobrażeniach nie ma miejsca na maszynowe wsparcie.

Ostatecznie ChatGPT nie pozostawi nikogo obojętnym. Jak mówi Tadeusz Dąbrowski: – Twórcy tekstów pisanych przy pomocy sztucznej inteligencji będą robić wszystko, żeby zamaskować fakt, że pisał je algorytm, natomiast autorzy, artyści i poeci będą robić wszystko, żeby podkreślić autentyczność i ludzki charakter tego, co zrobili, ponieważ te dwa rodzaje twórczości w wielu przypadkach są już nie do rozróżnienia.

No dobrze. A jak to jest w przypadku tekstu, który właśnie przeczytaliście?

© MARCIN WILKOWSKI





MATERIAŁY PRASOWE X3

Witold Wojtkiewicz, Porwanie królewny (Ucieczka) z cyklu „Z dziecięcych póz", 1908 r., Muzeum Narodowe w Warszawie

Co kryje maska

PIOTR KOSIEWSKI

WYSTAWA | Wojtkiewicz i Ensor to jedni z najważniejszych i jednocześnie najbardziej enigmatycznych twórców przełomu XIX i XX w. Ich dzieła i biografie nieustannie przykuwają uwagę.

Wiele ich różniło, nigdy się nie spotkali. Obaj byli jednak indywidualistami uznawanymi za prawdziwe zjawiska w świecie sztuki. Zjawiska te połączyła fascynacja marionetkami, teatrem i karnawałem. Za pomocą masek, kostiumów i rekwizytów zaczerpniętych z tych właśnie tajemnych, kuglarskich przestrzeni podjęli swoją grę ze światem.

Karnawał dusz

Dla Belga Jamesa Ensora karnawał był ważny jako moment przejścia między czasem życia i śmierci, ale też okres, w którym wszystko działa na opak, podważane są reguły zachowania i miejsca pochodzenia. Ensor był zauroczony barwnymi, przedziwnymi kostiumami noszonymi podczas karnawałów. Od dzieciństwa pociągał go także teatr lalek. Wrócił do tej fascynacji jako dorosły: był jednym ze współtwórców działającego w Brukseli kabaretu „Diable au corps". Interesowały go również maski sprzedawane w rodzinnym sklepie w Ostendzie.

Witold Wojtkiewicz z kolei współpracował z krakowskim kabaretem Zielony Balonik. Tworzył na jego potrzeby akwarele i rysunki, projektował zaproszenia. Na wystawie znalazły się kostiumy i oryginalne kukiełki z Zielonego Balonika, ich obecność to niewątpliwie jedna z największych atrakcji tej ekspozycji.

Ensor nakładał bohaterom swoich obrazów maski. Dzięki temu zabiegowi postaci na jego płótnach stawały się zagadkowe i tajemnicze, budziły niepokój, jak w świetnym „Zdumieniu maski Wouse" z 1889 r. Belg malował sceny z przedstawień teatralnych i karnawałów, nieustannie grając różnymi tożsamościami. Swe obrazy, poza okresem wczesnej twórczości, utrzymywał w jasnej, niemalże bajkowej tonacji, kontrastującej z tym, co przedstawiały. Zabawa przenika się tu ze smutkiem i śmiercią. Niewielu artystów tak przejmująco pokazało ludzką kruchość.

Bohaterowie Wojtkiewicza również noszą maski, co sprawia, że dorośli wyglądają w jego pracach jak dzieci, a malców pomylić można ze starcami. Dziecinne zabawki stają się pełnoprawną częścią świata dorosłych. Postaci, przebrane niejednokrotnie w cyrkowe czy teatralne kostiumy, przypominają wielkie marionety. Chłopiec w stroju klauna orze pole za pomocą pługa ciągnionego przez drewnianego konika. W „Porwaniu królewny" bohaterowie uciekają z kolei na koniu przypominającym jedną z figur jarmarcznej karuzeli. Widz nigdy nie jest pewien tego, co zostało przedstawione w tych pracach, utrzymanych w specyficznym, matowym tonie barw.

Warszawską wystawę kończą dwa autoportrety, powstałe na tym samym eta-



Witold Wojtkiewicz, „Orka", 1905 r., Muzeum Narodowe w Warszawie



James Ensor, „Zdumienie maski Wouse", 1989 r., Koninklijk Museum voor Schone Kunsten, Antwerpia

pie życia artystów. Młody, 29-letni Ensor w miejscu głowy umieścił gołą czaszkę. A 30-letni Wojtkiewicz sportretował się jako Pierrot, z nogami i rękoma skutymi kajdanami. To postać, która żegna się ze światem.

Baśniowa kraina

Ensor i Wojtkiewicz nie byli jedynymi twórcami, którzy w tym czasie fascynowali się teatrem i karnawałem, dlatego na wystawie w Muzeum Narodowym można zobaczyć również dzieła Wojciecha Weissa czy Leona Wyczółkowskiego. W epoce racjonalizmu, materializmu i wiary w postęp technologiczny nieustannie szukano tego, co z tych rygorów się wyłamywało. Jakby zwyczajne, codzienne życie musiało być nawiedzane przez to, co nierealne, drapieżne, fantasmagoryczne. Przypominające nieustannie o naszej przemijalności.

Dlaczego Wojtkiewicz i Ensor okazują się zatem tacy wyjątkowi? Udało im się stworzyć poetyckie opowieści o ludzkich lękach i obsesjach, smutkach i egzystencjalnych niepokojach. Dzieła bardzo współczesne, a zarazem zakorzenione we własnych tradycjach, teatrze jarmarcznym, obrazach Boscha i Bruegla. Prace, w których sztuka wysoka miesza się z plebejską. Przesiąknięte ironią, ocierające się o groteskę, co czyni je wyjątkowymi.

Wystawa świetnie pokazuje też rolę, jaką w twórczości obu artystów odgrywał humor. Wojtkiewicz współpracował z wieloma pismami, tworząc dla nich satyryczne rysunki. Przenikliwe, ostre. Nieobca była mu kpina z ówczesnych autorytetów, także artystycznych. Spod jego ręki wyszły m.in. parodie dzieł Jana Stanisławskiego i Leona Wyczółkowskiego. Karykatury tworzył także swego czasu Ensor. Obaj krytycznie oceniali mieszczaństwo – z tej klasy zresztą się wywodzili.

Sacrum i rewolucja

Ich twórczość często jest postrzegana jako ucieczka od rzeczywistości. Tymczasem obaj artyści byli w niej mocno zanurzeni. Politycznym manifestem jest przecież najsłynniejsze z dzieł Ensora, czyli „Wjazd Chrystusa do Brukseli". W Warszawie można zobaczyć jedynie graficzną wersję obrazu, który z powodu swych rozmiarów (ponad 2,5 m na 4,30 m) trudny jest do wypożyczenia na wystawę czasową. Ensor przedstawił na nim ogromny karnawałowy tłum w maskach. Można wśród nich rozpoznać postacie historyczne, współczesnych artyście belgijskich polityków, a nawet członków jego rodziny. W tej ludzkiej masie ginie postać Jezusa na osiołku. Wydaje się zbędna, skazana na pogardę. To świat ludzi zajętych sobą, w którym zanika *sacrum*.

„Wjazd Chrystusa..." sąsiaduje z cyklem rysunków przedstawiających „Rok 1905" Wojtkiewicza. Artysta zachował w nim sceny z rewolucji, której był świadkiem. Manifestacje uliczne i pochody łączą się tu z alegorycznymi przedstawieniami Polski zrywającej kajdany, uwalniania katorżników. Afirmacja heroicznego zrywu podszyta jest ironią i miesza się z tragizmem wydarzeń.

To jedno z najbardziej niezwykłych dzieł w polskiej sztuce, niepoddające się jednoznacznym interpretacjom. Można na nie spojrzeć jako na opowieść o dylematach związanych ze wszystkimi rewolucyjnymi zrywami, traktujące o nadziejach i rozczarowaniach im towarzyszących. Ale też o poczuciu przełomu i oczekiwaniu na nowe. Sytuacji jakże bliskiej tej, którą przeżywamy obecnie.

© PIOTR KOSIEWSKI

CZARNY KARNAWAŁ. Ensor/Wojtkiewicz, Muzeum Narodowe w Warszawie, wystawa czynna do 11 stycznia 2026 r.



BEN BLACKALL / NETFLIX

Jack Gleeson jako Byron Hedges w serialu „Ród Guinnessów"

Dickens i punk rock

JAKUB MAJMUREK

SERIAL | „Ród Guinnessów" to epicka saga z Dublinem w tle. Spoglądamy na miasto wielkich nierówności społecznych rozrywane przez religijny i narodowy konflikt.

Pomysłodawczynią produkcji jest dziedziczka fortuny Guinnessów Ivana Lowell. Oglądając pewnego razu odcinek serialu „Downton Abbey", opowiadającego o dziejach arystokratycznej rodziny Crawleyów, Lowell miała ponoć stwierdzić, że historia jej własnego rodu jest o wiele ciekawsza. Napisała więc szkic własnej opowieści, przedstawiający rodzinną sagę. Ostateczną formę nadał produkcji Steven Knight – jeden z najbardziej płodnych i odnoszących największe sukcesy twórców telewizyjnych w Wielkiej Brytanii, znany przede wszystkim z serialu „Peaky Blinders".

Synowie

Knight i tym razem miesza epicką narrację ze współczesnym widowiskiem sensacyjnym. Oglądając dzieje Guinnessów, mamy wrażenie, jakbyśmy zanurzali się w świat powieści Dickensa zekranizowany w stylu kina gangsterskiego, szczególnie że odtworzonej z wielką starannością scenografii i kostiumom z epoki towarzyszy współczesna uliczna irlandzka muzyka – od punka do hip-hopu.

Otwierająca historię sekwencja pogrzebu patriarchy rodu doskonale prezentuje panoramę i wyzwania świata przedstawionego. Jesteśmy w pogrążonej w żałobie pałacowej rezydencji Guinnessów w Dublinie oraz fabrycznych zabudowaniach browaru, gdzie robotnicy przygotowują się do pożegnania pracodawcy. Przejazd trumny z ciałem największego w mieście piwowara próbują zablokować zarówno fanatyczni działacze ruchu na rzecz trzeźwości, jak i irlandzcy nacjonaliści. Guinnessowie są dla nich symbolem protestanckiej elity, która zawłaszczyła władzę i bogactwo.

Zmarły Benjamin Guinness rzeczywiście stał się dzięki swojemu trunkowi jednym z najbogatszych Irlandczyków. Biznes po jego odejściu nie może jednak stać w miejscu. Rodzina musi się dostosować do zmieniającej się społecznej i politycznej rzeczywistości. Dynamikę zmian kształtuje z jednej strony postępująca demokratyzacja brytyjskiego systemu, rozszerzająca prawa wyborcze na kolejne grupy ludności, w tym miejskich robotników, z drugiej – rosnący w siłę irlandzki nacjonalizm, łączący masową polityczną mobilizację z uliczną przemocą i działaniami spiskowo-terrorystycznymi.

Arthur i Edward Guinnessowie, znajdujący się w środku tych przemian, na pierwszy rzut oka mogą mieć niewiele wspólnego z gangsterską rodziną Shelbych z „Peaky Blinders". Synowie piwowara, jak wszyscy bohaterowie produkcji Knighta, mają jednak bardzo skomplikowaną relację z establishmentem: nawet jeśli należą do niego z urodzenia, to nigdy do końca, noszą bowiem w sobie jakąś cechę skazującą ich na ostracyzm. Są też gotowi wejść w konflikt z instytu-

cjami i kontrolującymi je elitami w imię swoich idei.

Człowiekiem z wizją jest w tej rodzinie bez wątpienia Edward. Nie tylko rozumie on, że przyszedł czas na globalną ekspansję marki, ale też to, że rodzinna firma nie urośnie, jeśli znajdzie się po niewłaściwej stronie dzielącego Irlandię etniczno-religijnego sporu. Prowadzi więc zakulisowe negocjacje z fenianami i umieszcza na etykiecie piwa widniejącą tam do dziś irlandzką harfę. Szybko dochodzi też do wniosku, że skoro robotnicy są wyborcami, trzeba zadbać o ich przychylność – wprowadza więc w browarze ubezpieczenie emerytalne i uruchamia szereg filantropijnych projektów. Wszystkie te rzeczy byłyby zupełnie nie do pomyślenia w czasach jego ojca. Jego brat Arthur na pierwszy rzut oka wydaje się typowym utracjuszem, kryje jednak sekret, który może pogrzebać reputację jego samego i całej rodziny – jest osobą homoseksualną, zaangażowaną w liczne romanse z mężczyznami.

„Ród Guinnessów" potwierdza, że choć Knight jako autor potrafi być bardzo krytyczny wobec brytyjskiej historii i instytucji, to jednocześnie jego krytyka wypływa bardziej z liberalnego niż lewicowego ducha. Sklerotycznemu konserwatyzmowi brytyjskich instytucji scenarzysta przeciwstawia często dynamikę kapitalizmu jako wielkiej modernizacyjnej i demokratyzującej stosunki społeczne siły, często w dodatku utożsamianej ze Stanami. Najwyraźniej widać to zresztą w stworzonym przez Knighta wspólnie z aktorem Tomem Hardym serialu „Tabu", przedstawiającym zmagania młodego, ambitnego kupca z dążącą do monopolu Kampanią Wschodnioindyjską w Londynie epoki wojen napoleońskich.

Krytycy

„Ród Guinnessów" zebrał w większości bardzo dobre recenzje w Wielkiej Brytanii i w Stanach, nie podobał się za to wyraźnie w jednym miejscu: w Irlandii. Tamtejsi krytycy zarzucali Knightowi, że nie rozumie złożoności irlandzkiej historii i tożsamości, że pokazując przeszłość sięga po kilka zużytych klisz, że jego postaci są sprowadzone do stereotypu, zwłaszcza te najbardziej zaangażowane w walkę o niepodległą Irlandię. Jak to określił jeden z autorów recenzji: fenianie mają wyglądać na ekranie jak „dzikie skrzaty", ubrane tak, jakby ktoś chciał się przebrać za Irlandczyka na Halloween.

Trudno spierać się z odczuciami Irlandczyków na temat tego, jak wyprodukowany w Wielkiej Brytanii serial (Knight kręcił go w Liverpoolu z brytyjskimi i irlandzkimi aktorami) pokazuje ich historię. Jednocześnie trudno się zgodzić, że irlandzcy protagoniści są stereotypowi. O ile gwałtowny, skłonny do przemocy i nadużywania alkoholu, rudy i ciągle ubrany na zielono uliczny lider irlandzkich nacjonalistów, Patrick Cochrane, nie jest najlepiej napisaną postacią, to już jego siostra Ellen otrzymuje pełen niuansów, rozbudowany portret.

Z dystansu, jaki dzieli polskiego widza od Irlandii, widać też w produkcji wiele złożonych, fascynujących postaci, często o poplątanej tożsamości, niemogących do końca określić się po żadnej ze stron dzielącego kraj konfliktu.

Prawą ręką Guinnessów, człowiekiem od wszystkiego, pilnującym pracy w browarze i załatwiającym najbrudniejsze, wymagające przemocy interesy poza jego murami, jest Seann Rafferty – katolik bezwzględnie lojalny wobec protestanckiej elity, na nacjonalistów patrzący z wyższością i pogardą, a przy tym świadomy, że nigdy nie będzie pełnoprawnym obywatelem świata Guinnessów. W tej roli doskonałą, emanującą charyzmą kreację tworzy James Norton, aktor znany z głównej roli w „Obywatelu Jonesie" Agnieszki Holland.

Antagoniści

Tym, czego rzeczywiście brakuje nowej produkcji Knighta, to poczucie stawki, o jaką toczy się gra. Guinnessowie nie mają żadnego groźnego przeciwnika. W „Tabu" była nim Kampania Wschodnioindyjska, w „Peaky Blinders" Tommy Shelby mierzył się z coraz potężniejszym antagonistą – w ostatnich odcinkach był nim lider brytyjskich faszystów, sir Oswald Mosley, a metaforycznie: cały historyczny faszyzm. Tu jak dotąd nie ma nikogo, kto zagrażałby piwowarom. Ostatni odcinek, urywający narrację w kluczowym momencie, sugeruje drugi sezon – być może w nim uda się podbić stawkę. ©

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

TRÓJMIASTO, środa 19 listopada godz. 18.00
Spotkanie z Filipem Popkiem i Piotrem Jankowskim (Rada ds. równego traktowania), „Sprawiedliwość i Bogactwo", prowadzenie: Weronika Uziak. Oliwski Ratusz Kultury (ul. Opata Rybińskiego 25). Wydarzenie współfinansowane przez Miasto Gdańsk.

KATOWICE, środa 19 listopada, godz. 18.00
Spotkanie dyskusyjne wokół artykułu Pawła Rakowskiego z nr. TP39/2, „Busola czy kotwica; skąd się wziął i czym jest Katechizm Kościoła Katolickiego", cykl: Klubowa Kawiarenka Klubu „TP", Dom Śląski (ul. Stalmacha 17).

WARSZAWA, czwartek 20 listopada godz 18.00
Spotkanie pamięci z udziałem Ewy Jóźwiak (pastorki Kościoła Ewangelicko-Reformowanego), Moniki Kwiecień, Zbigniewa Nosowskiego (redaktora naczelnego Więzi), Grzegorza Polaka (dyrektora Muzeum JPII i Prymasa Wyszyńskiego), „Kościół Jonasza. Co nam zostawił Jan Turnau", prowadzenie: Aleksandra Klich. Sala KIK (ul. Freta 20/24A, II pietro)

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL
jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

Kumple

RADOSŁAW KOBIERSKI

ESEJ | Czy przyjaźń mogłaby się stać remedium na coraz powszechniejszą samotność albo zapoczątkować nową kontrkulturę? Geoffroy de Lagasnerie odpowiada twierdząco.

To pierwszy przekład prac francuskiego socjologa i filozofa na język polski. Książka szczególna, ponieważ za swój cel badawczy i obiekt namysłu obiera przyjaźń – zjawisko, które jest fenomenem ze względu na powszechność i zakorzenienie w kulturze, a zarazem niejasność – jeśli próbować zrozumieć jej związek z systemami władzy i prawa. I to właśnie na przecięciu tych dwóch sfer: intymnej relacji (którą autor najchętniej widziałby poza systemem) oraz polityki ról umieszcza Lagasnerie swoją wielowątkową opowieść.

Jest to książka, którą organizuje rytm naukowego eseju, ale też rzadki gatunek, jakim jest biografia zbiorowa. Autor opisuje bowiem losy bliskich sobie ludzi: pisarza Édouarda Louisa, socjologa Didiera Eribona oraz własne, w momencie dla ich relacji przełomowym, gdy przyjaźń staje się sposobem na życie, centrum egzystencji.

Główną tezą eseju Lagasnerie, z której promiennie, zgodnie z założoną logiką wywodzą się kolejne, jest ta, która pojawia się na wstępie: „Doświadczyć życiowej formy, która przejmuje nad nami władzę, czyniąc nas tymi, kim jesteśmy, oznacza doświadczać życia i pewnych sposobów istnienia, choć inne mogłyby nam bardziej odpowiadać i czynić nas szczęśliwszymi. Oznacza to pozwolić, żeby społeczeństwo wykradło naszą egzystencję".

Jeśli bowiem większość związków ma charakter funkcjonalny, wpisany w ustaloną społecznie grę tożsamości i ról, komplementarnych wobec tradycyjnych ram egzystencji, którą wyznaczają rodziny i polityki rodzinne, to przeniesienie całej aktywności życiowej, ambicji, a przede wszystkim całego swojego czasu do przyjaźni radykalnej, kreatywnej, która może również stać się strukturą oporu i źródłem nowej kontrkultury, jest jak zbudzenie się z długiego snu, w który nas wpakował Matrix.



Geoffroy de Lagasnerie
WE TRZECH. DĄŻENIE, BY WYJŚĆ POZA
przeł. Jacek Giszczak
Drzazgi 2025

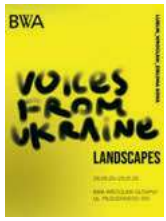
Oczywiście Lagasnerie ma rację, kiedy dowodzi, że przyjaźń w logikach systemów reprodukcji i dominacji jest uznawana za moment przejściowy, sprawę młodości, z której trzeba kiedyś wyjść w prawdziwe życie, małżeńskie i rodzinne. Ma rację, kiedy zauważa, że przyjaźń jest dla nas zjawiskiem trochę niepoważnym i niezasługującym na instytucjonalne wsparcie (jeśli uznać związki partnerskie za formę praktykowania przyjaźni, polska rzeczywistość jest tego przykładem najdobitniejszym). Trudno również zaprzeczyć, że stare i nowe totalitaryzmy oraz populizmy wartościują i radykalizują prymat rodziny, ustanawiając go jedyną zdrową formą praktyki relacji. Przez rodzinę i idę rodziny wiodą wszystkie nici (kable – jeśli jesteśmy przy Matriksie) łączące nas z systemami kontroli i zarządzania.

Ten nowy etyczny, przebudzony, rewolucyjny w istocie wymiar przyjaźni mógłby stać się czymś w rodzaju remedium na izolację, wyzwoleniem spod reguł życia społecznego, Tołstojowskim „życiem sercem", które wbija się jak klin w „życie według zasad", zarzewiem kolejnego przebudzenia kontrkulturowego, ku któremu z oczywistą tęsknotą spogląda Lagasnerie. Pisze nawet wprost, że chciałby, żeby jego książka stała się traktatem dla młodego pokolenia, rodzajem nowej umowy społecznej, „podręcznikiem życia antyinstytucjonalnego".

Ale jednocześnie autor postuluje zinstytucjonalizowanie nowych form koegzystencji, wiedząc doskonale, jakie łączą się z tym zagrożenia (późny kapitalizm ma nieograniczone zdolności absorpcji do systemu). Jednocześnie zaznacza, że nie chodzi mu o to, żeby z ich życia-we-trzech uczynić jakiś model partycypacji czy egzystencji.

Zwracam również uwagę na to, że mimo postulatów egalitarystycznych, przenikających struktury klasowe i związane z tym przywileje, ten model wydaje się być bardzo elitarny, a nawet hermetyczny w sensie psychologicznym i uprzywilejowany – odnosi się bowiem do osób, które dzięki zawodom naukowym i twórczym mogą sobie pozwolić na kultywowanie niezależności. Jeśli radykalizm postulowanej przyjaźni ma opierać się m.in. na zerwaniu więzi społecznych (chociaż znów paradoksalnie zmierzać ma on ku jeszcze większej partycypacji) i ekonomicznych – kogo będzie na to stać? W sensie materialnym i symbolicznym.

Jest i kolejna niejasność. Lagasnerie w pewnym momencie wyznaje: „To, co nas łączy, to nie miłość, ale więcej niż przyjaźń". „Didier i ja jesteśmy parą, a Édouard ze swej strony jest w parze". Elementem różnicowania jest tu fakt, że wszyscy mieszkają osobno. Jakby uprzedzając wątpliwości, że ich forma radykalnej przyjaźni wchodzi jednak w systemowe ramy. A miłość, przyznanie do niej, może osłabić argument o postulowanym centrum życia. Centrum jest więc zdecentralizowane, chociaż nie jestem pewien, czy ta strategia mnie przekonuje. ©



▪ **VOICES FROM UKRAINE. LANDSCAPES,**
BWA Wrocław Główny, wystawa czynna do 25 stycznia 2026 r.

Wystawa „Voices from Ukraine. Landscapes" we wrocławskim BWA jest ostatnią częścią cyklu. Wcześniej prace ukraińskich artystów i artystek można było zobaczyć w Zielonej Górze oraz lubelskim Labiryncie. Każda z ekspozycji dotyczyła innych aspektów trwającej w Ukrainie wojny. Opowiadano o zagrożeniach, jakie stanowi ona dla demokracji i wolności oraz środowiska naturalnego. Nie waham się stwierdzić, że jest to najważniejszy i najbardziej przemyślany przegląd twórczości naszych sąsiadów, jaki można zobaczyć w Polsce po 24 lutego 2022 r. (zorganizowany z inicjatywy Waldemara Tatarczuka, który przez lata szefował lubelskiej galerii). Wrocławską odsłonę wystawy poświęcono pejzażowi. Wybór tematu w pierwszej chwili może zaskakiwać. Jednak, jak podkreśla malarka Kateryna Aliinyk, „krajobraz to nie tylko przestrzeń. To uczestnik, świadek i nośnik emocji". Wystawa przypomina, że także on jest ofiarą wojny – jest traktowany bezlitośnie, czego przykładem było wysadzenie przez Rosjan tamy w Nowej Kachowce w 2023 r. Jednocześnie to w krajobrazie są zapisane ślady ludzi i zwierząt, którzy w nim zamieszkiwali, oraz zabudowań niegdyś w nim stojących. Roślinności, która go porastała. Czasami, jak w niezwykłym rysunku Nikity Kadana, wysiłku wymaga dostrzeżenie w pustkowiach ich pozostałości. Wojna przekształca pejzaż, zanieczyszcza go, skaża. Za naszą wschodnią granicą rozgrywa się wielka ekologiczna katastrofa. Czy jesteśmy zatem w stanie „naprawić" krajobraz? W pracy wideo „Świat nagrywa" Katya Buchatska zastanawia się, jak zagospodarować lej po bombie w zniszczonej podkijowskiej wsi. Jak posadzić rośliny i drzewa, by przywrócić te miejsca do życia, ale zachować też pamięć po dramatycznych wydarzeniach, których były świadkami. „Sadzimy ogród, by istniało coś do stracenia", mówią artyści. © PIOTR KOSIEWSKI



▪ *James Baldwin,* **NIKT NIE ZNA MOJEGO IMIENIA. DALSZE ZAPISKI SYNA TEGO KRAJU,** *przeł. Mikołaj Denderski, Karakter*

Urodził się w roku 1924 na nowojorskim Harlemie. Mimo oczywistych przeciwności związanych z kolorem skóry oraz orientacją seksualną postanowił zostać pisarzem – „bez względu na to, co sądzą o tym Bóg, Szatan i stan Missisipi". Całe szczęście! Dziś uważany jest za jednego z ważniejszych amerykańskich pisarzy XX w., a w jego książkach bezkompromisowość idzie zwykle w parze z ogromną wrażliwością. James Baldwin znany jest przede wszystkim ze znakomitych esejów i powieści, w których opisy codziennego życia w dzielnicach biedy płynnie przechodzą w próby odpowiedzi na odwieczne pytania o przyczyny ludzkiego zła i cierpienia. Cechowało go specyficzne, złożone podejście do „białej" kultury. W „Zapiskach syna tej ziemi" pisał, że tragedie Szekspira czy utwory Bacha to „nie jego dzieła" i „nie jego historia". A jednak zawsze potrafił odnieść się do tych dzieł i historii w sposób ciekawszy i bardziej wnikliwy, niż wielu z tych, którzy poczytują je sobie za własne. Wydany niedawno zbiór „Nikt nie zna mojego imienia" przynosi kontynuację wątków podjętych w „Zapiskach...". Tom zawiera eseje z lat 1955-1961, w których autor próbuje odpowiedzieć na pytanie, co to znaczy być Amerykaninem; relacjonuje przebieg paryskiego Kongresu Czarnych Pisarzy i Artystów (1956), opowiada o miejscu, w którym się urodził, a także zjadliwie polemizuje z Williamem Faulknerem. Warto przeczytać ten zbiór choćby po to, by poczuć klimat intelektualny lat 50. i... porównać eseje Baldwina z równie ostrą, choć zdecydowanie mniej zaangażowaną politycznie diarystyką Witolda Gombrowicza.
© ADAM WOŹNIAK



▪ *Monochrom.* **WSZYSTKIE KOLORY TĘCZY,** *Muzeum Historii Fotografii w Krakowie, wystawa czynna do 8 lutego 2026 r.*

Nowa wystawa w krakowskim Muzeum Fotografii stawia bardzo przewrotne pytanie: czy fotografia monochromatyczna naprawdę jest czarno-biała? A może to jedno z największych złudzeń, jakie podsuwa nam przyzwyczajenie? Kurator Wojciech Nowicki prowadzi widzów przez historię medium, wydobywając z jego „czarno-białej" przeszłości całą gamę tonów, od błękitów cyjanotypii po brązy kolodionowych odbitek. Efekt jest olśniewający: ponad 300 fotografii, zebranych z kolekcji muzealnych i prywatnych, układa się w opowieść o kolorze, który istniał, zanim wynaleziono barwne odbitki. To wystawa zbudowana z niuansów. Każda z sekcji opowiada o innym materiale, innej fakturze i sposobie, w jaki światło zapisuje się na powierzchni – metalu, szkła albo papieru. Obcowanie z dagerotypami czy ambrotypiami zamkniętymi w misternych puzderkach przypomina kontakt z relikwiami. W epoce cyfrowego nadmiaru i jednorodności MuFo pokazuje fotografię jako kruchy przedmiot, często niosący na sobie ślady czasu i dotyku. Autorzy wystawy pomagają też zrozumieć, jak z eksperymentów z chemią, światłem, a czasami za sprawą przypadku rodziła się nowa forma sztuki. Na ścianach pojawiają się nazwiska klasyków – Krieger, Bułhak, Dłubak, Lewczyński – ale to nie oni są w tym zbiorze najważniejsi. Równie ważne są zdjęcia anonimowe, „kulawe", czasem technicznie nieudane, ale na swój sposób prawdziwe, a przede wszystkim – ocalałe. To bardzo ważne, bo w ten sposób wystawa nie tylko uczy historii technik, ale też przypomina, że fotografia jest zapisem emocji, błędu, eksperymentu, a jej dzisiejsza doskonałość stała się swego rodzaju aberracją. ©℗ JACEK TARAN

Pasja podwórkowa



ANITA PIOTROWSKA

KINO | Domalewski wręcza nam antidotum na zmartwienia i lęki – związane z nadużyciami kleru, systemową niesprawiedliwością i realną bliskością wojny.

Kiedyś znana polska reżyserka opowiadała, jak będąc dzieckiem wyszła w Wigilię na spacer z psem i, ku zdumieniu swojej rodziny, przyprowadziła do domu obcą staruszkę. Bo czyż nie po to zostawia się na świątecznym stole dodatkowe nakrycie? Dziecko odważyło się powiedzieć „sprawdzam" tradycyjnej symbolice, rodzimej gościnności i deklarowanym cnotom chrześcijańskim. Mniej więcej o tym właśnie mówi w „Ministrantach" Piotr Domalewski, który w innym swoim filmie, „Cicha noc", prześwietlał polską rodzinę próbującą się pojednać przy opłatku. A robił to w klimatach gorzko-słodkich, na antypodach kina Wojciecha Smarzowskiego, mimo wszystko „ratując" rodzinę i polskie Święta.

Najnowszy film Domalewskiego dużo bardziej przekornie stawia pytanie o przywiązanie do wartości i wiary. I dlaczego czasem trzeba przewrócić stolik, rozpędzić przekupniów, a nawet założyć podsłuch w konfesjonale, żeby powrócić do samej jej istoty. Reżyser idzie w tym jeszcze dalej: bo czy można anarchistycznym gestem zbawić świat albo uzdrowić chory system? Na te niby retoryczne pytania Domalewski zrazu szuka odpowiedzi w łobuzerskim tonie. Pojawią się skojarzenia z przygodowymi, a dziś już kultowymi serialami dla młodzieży z lat siedemdziesiątych, jak „Wakacje z duchami" czy „Podróż za jeden uśmiech", albo programem telewizyjnym „Niewidzialna ręka", zachęcającym do „partyzanckiej" pomocy.

Początek sugeruje raczej antyklerykalną satyrę: oto archidiecezjalny konkurs drużyn ministranckich, w którym znalazły się tak absurdalne konkurencje, jak ubieranie manekina w ornat. Bohaterowie tego filmu przegrywają zmanipulowane zawody, mocno przeżywają tę niesprawiedliwość, a ich frustracja pogłębia się, kiedy odkrywają, że przebrany w ornat rekolekcjonista (w tej roli dyżurny „złol" polskiego kina, Tomasz Schuchardt) przywłaszcza sobie datki dla biednych. Dlatego czterech wczesnonastoletnich kumpli z blokowiska, Filip (Tobiasz Wajda), Gucci (Bruno Błach-Baar) oraz bracia Kurczaki (Mikołaj Juszczyk i Filip Juszczyk) równie nielegalnymi metodami spróbują odzyskać hajs zebrany na parafialną tacę. Chcieliby go rozdzielić między naprawdę potrzebujących, a że bieda czy bycie ofiarą przemocy to często problemy wstydliwie skrywane, chłopaki zaczynają podsłuchiwać przez ukrytą kamerkę spowiadających się znajomych i sąsiadów. Następnie, schowani za kominiarkami, obdarowują tych najbardziej pokrzywdzonych.

Domalewski mruga tu do ludowej tradycji „świętych łotrów", do różnej maści Robin Hoodów czy Janosików, nie mówiąc o komiksowych superbohaterach. Wprowadza do polskiego kina młodziutkich buntowników, co to wzięli sobie całkiem na serio przesłanie Ewangelii i jeszcze o tym rapują. Scenarzysta i reżyser, który sam przez dwanaście lat był ministrantem, z czarnym humorem i jednocześnie jak najbardziej poważnie idzie tropem „Bożego Ciała" (2019) Jana Komasy; zresztą za oboma tytułami stoi ten sam producent, Aurum Film. Czyli, na przekór pustym kościelnym formułom, wspólnotowej bierności i powszechnej hipokryzji, tworzy współczesne kino ewangeliczne. Szkoda tylko, że w pewnym momencie zbyt dosłownie przekłada podwórkowo-chłopacką historię o naśladowaniu Chrystusa na pasyjną przypowieść.

Największym bowiem atutem tego filmu jest bezpretensjonalność i swada, z jaką opowiada się tutaj o dziecięcych próbach naprawiania świata. Tyleż autentycznych, co naiwnych, i zgrywusy w komeżkach muszą w końcu zderzyć się ze ścianą. Nie tylko instytucji kościelnej czy obowiązującego prawa (które chłopcy w imię miłości bliźniego nagminnie łamią), lecz także wybranej przez nich metody. I dobrze, że twórcy filmu nie próbują swoich bohaterów na siłę przeanielać. Bo ci samozwańczy aniołowie sprawiedliwości, szczególnie mesjański w swojej misji Filip, wielokrotnie przeginają. Kwestionując powiedzenie, iż „sprawiedliwy jest tylko Pan Bóg", stosują prowokacje, groźby i kary. Bywają też wobec siebie nawzajem okrutni, a fakt, iż pochodzą z różnych domów (tych „złych" i tych „dobrych", choć to podział bardzo umowny



ŁUKASZ BĄK / NEXT FILM

MINISTRANCI
– reż. Piotr Domalewski. Prod. Polska 2025. Dystryb. Next Film. W kinach od 21 listopada.

Piotr Domalewski za kamerą debiutował w 2017 r. filmem „Cicha noc", rozbijając bank na festiwalu w Gdyni. Problem emigracji polskiej poruszył także w „Jak najdalej stąd" (2020), a imigracji u nas w krótkometrażówce „60 kilo niczego" (2017). Ma też na koncie film „Hiacynt" (2021) i serial „Wzgórze psów" (2025). Obecnie pracuje nad filmem fabularnym o małżeństwie Kuroniów.

Na zdjęciu: Tobiasz Wajda, Bruno Błach-Baar Mikołaj Juszczyk i Filip Juszczyk w filmie „Ministranci".

i ułomny), buduje społeczny kontekst. Domalewski wie, jak przekuć bezsilność i bezradność, tę indywidualną i tę zbiorową, emocjonalną i ekonomiczną (okazuje się, że nie wszystkie dzieci w tym kraju mają buty na wuef) w opowieść o sprawczości. Stąd pewnie wielki sukces „Ministrantów" na festiwalu w Gdyni, w tym Złote Lwy, i być może za chwilę również w polskich kinach. Najwyraźniej jest zapotrzebowanie na tego rodzaju historie.

W czasach, gdy filmy i seriale o dorastaniu biją na alarm, prześcigają się w oskarżaniu dorosłych o „kiepski przepis na ten świat" i przedstawiają dzieciaki jako jego nieodrodne produkty i zarazem ofiary, „Ministranci" próbują wyjść poza ten schemat. Idąc w fabularne uproszczenia i mocno naginając życiowe prawdopodobieństwo, film Domalewskiego proponuje podwórkową fantazję, osadzoną w realistycznej scenerii (patrz: wątek pogrążonej w depresji matki Filipa czy ojca przemocowca albo zebrany przez chłopców osiedlowy katalog ludzkich krzywd), ale swoją prawdę czerpie zupełnie skądinąd. Przede wszystkim z samego opowiadania, w którym gładko wymieszano najróżniejsze emocjonalne tonacje, oraz z energii swoich bohaterów. I choć czasem trzeba być eksministrantem, żeby uwierzyć w ten dziecięcy idealizm, to przemieszany ze spontanicznością, gniewem i łotrzykowską konwencją filmu, zaczyna działać. Utwierdza też w przekonaniu, że pseudoautorytetom należy pokazywać język, a nawet środkowy palec.

Zapewne znajdą się i tacy, dla których „Ministranci" są mimo wszystko filmem zbyt ugrzecznionym, familijnym, „fajnokatolickim". Wszak postać Filipa, najbardziej radykalnego naprawiacza, balansuje między wołaniem o matczyną uwagę i miłość a groźną fiksacją religijną. Jedno zdaje się pewne: Domalewski, choć nie szczędzi swoim bohaterom ran i blizn, z pełną świadomością serwuje nam antidotum na wszelkie nasze strachy – związane z nadużyciami kleru, systemową niesprawiedliwością, brakiem solidarności społecznej czy realną bliskością wojny. Jest w tym filmie także jakaś odtrutka na polskie kino, które lekceważy bądź zadręcza swojego widza. Ten film może chwilami aż za bardzo chciałby mu się podobać, uwieść go i finalnie rozbroić, jest jednak szansa, że coś w nim istotnego poruszy i z czymś pozostawi. ©

Lektor: *Lekcja czytania*



▪ *Ewa Bieńkowska*
DOM POWROTU
Instytut Badań Literackich PAN – Wydawnictwo, Fundacja Akademia Humanistyczna, Warszawa 2025, ss. 256.

Czas mojego intelektualnego dojrzewania przypadł na lata 70., a więc gierkowski Peerel, ale i tak miałem szczęście. Mogłem uczyć się od pokolenia starszego o dekadę. Ryszard Krynicki, Adam Zagajewski, Ewa Lipska, Stanisław Barańczak – to byli moi poeci, ostro i bez złudzeń, ale wrażliwie pokazujący świat. A eseje Wojciecha Karpińskiego, Marcina Króla, Małgorzaty Dziewulskiej pomagały rozumieć historię, literaturę, sztukę i ich wzajemne związki. Wszystkie te nazwiska pojawiały się w „Tygodniku Powszechnym". Także nazwisko Ewy Bieńkowskiej.

Rok 1981 był rokiem wyjazdów z kraju dzięki łagodniejszej polityce paszportowej, natomiast stan wojenny nie zachęcał do powrotów. Dzięki energii Barbary Toruńczyk w Paryżu powstały „Zeszyty Literackie". Ci, którzy ponad doraźną politykę przedkładali rozmowę o lekturach, o ideach, o Europie, której wkrótce mieliśmy się stać znów pełnoprawną częścią, znaleźli przystań.

Mieszkająca we Francji Ewa Bieńkowska była jednym z filarów międzynarodowej ekipy „Zeszytów". Tak też pozostało, gdy redakcja przeniosła się do wolnej już Polski. „Dom powrotu" gromadzi teksty, które w większości tam miały pierwodruk. Czy przywołane na nowo po upływie czasu znajdą kontakt z czytelnikiem? – zastanawia się autorka. I portretuje swojego czytelnika idealnego, który nie kieruje uwagi wyłącznie ku teraźniejszości. „Zakładam – pisze – że przeszłość może być ciągle interesująca"; ta dawna i ta na wyciągnięcie ręki, która przyniosła nam tak wielkie zmiany.

Czy może? Oczywiście! Jeden przykład: „Buddenbrookowie" Thomasa Manna. Ewa Bieńkowska poświęciła im piękny esej. No i czytamy go teraz, w chwili, gdy ukazał się nowy przekład Mannowego arcydzieła, a nowe przekłady zeszłowiecznej klasyki – bo to i Thomas Mann, i Joyce, i Virginia Woolf, i Proust, i Faulkner – świadczą przecież o jej żywotności.

Szkice Bieńkowskiej, tak różnorodne – malarstwo od quattrocenta i Flamandów, poprzez Zurbarána i Caravaggia, po de Staëla i Korolkiewicza, literatura i biografie pisarzy oraz ich wzajemne relacje (Miłosz–Iwaszkiewicz–Jeleński!), filozofia (Pascal!), dramat wielkich Rosjan, Pasternaka i Cwietajewej – są wspaniałą lekcją czytania tekstów kultury. A takim tekstem jest też architektura, pejzaż i codzienne życie. Nie tylko ołtarz z Isenheim, ale i cała Alzacja. Czytajmy więc. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Najlepsze jabłko świata



Osiem lat wstawali z kolan, a nie umieli wyjąć ropiejącej zadry z polskiej tożsamości. Niegdysiejszy Landsberg został przecież słusznie oddany Polsce łaskawym gestem aliantów – wraz ze swoją jabłonią! Bilionów reparacji od Niemiec pewnie nie uzyskamy, ale spróbujmy działać w obszarze symbolicznym: kiedy wreszcie przyjmie się szeroko zrepolonizowana nazwa „reneta gorzowska", wszem wobec będzie wiadomo, iż najlepsze jabłko na świecie pochodzi z Polski. Podobnie jak Kopernik, odkrywca prawa, iż piernik w fałszywej czekoladzie ze sztucznym nadzieniem wypiera lepszego piernika, polanego lukrem bez żadnej łże-marmoladki.

Trzeba się jednak spieszyć, bo opracowania fachowe głoszą, iż reneta landsberska to odmiana reliktowa, co potwierdza empiryczny ogląd braku owoców na straganach. Może właśnie dlatego politycy odpowiedzialni za pamięć i tożsamość nie zawracali sobie tym głowy, licząc, że ostatnie drzewka zaraz przestaną rodzić i germanizm wreszcie zniknie, przestanie psuć anglosaską harmonię na pomologicznym firmamencie, upstrzonym prinsami i empajerami, tudzież dżemsgryfem i delicjuszem. Drzemie jeszcze etniczna siła w narodzie, który na tekturce zatkniętej w skrzynce pisze to, co usłyszy!

Nie wiem, może tegoroczna obfitość landsberskich tam, gdzie zwykle chodzę po owoce, to właśnie łabędzi śpiew starego sadu – tym bardziej muszę o nich napisać, bo się tej jesieni po uszy zakochałem. W porównaniu z szarą renetą albo czerwonym boskopem – czyli dwoma najpospolitszymi odmianami, jakie godzi się przerabiać na szarlotkę lub do owsianki – te jabłka rozpadają się pod wpływem ciepła jeszcze szybciej. Ledwo zdążysz włączyć ogień, sypnąć goździków i dołożyć cynamonu lub cytrynowej skórki, ręka z łyżką miodu zawisa nad rondelkiem, a one pufff! – jednym westchnieniem zmieniają konsystencję, tracą szorstki opór surowego miąższu, przechodzą w stan skupienia zasługujący na miano musu.

W odróżnieniu od papki mus, wierny swej nazwie, jest materią wielorakiego skupienia – bliski gazowej mgiełce wypełnionej aromatem, choć po wzięciu do ust okazuje strukturalną pożywność stałego pokarmu. Nie wiem, ile to potrwa, uczone opracowania piszą, iż ta odmiana zachowuje optymalne właściwości do stycznia, szczęśliwi chwil nie liczą. Wrócę potem do renet szarych jak piechota w pierwszym szeregu na bój albo do kortlandów, które z kolei najpiękniej zachowują formę, kiedy się je piecze w całości z dziurą po



ANAMMARQUES / ADOBE STOCK

wydłubanej szypułce zalaną miodem z rodzynkami (lub suszoną żurawiną, tak jest bardziej swojsko).

Często przy mieszaniu owsianki lubię pofantazjować na temat tego, jakie mianowicie jabłko sobie wyobrazili twórcy pewnej marki elitarnych komputerów, a potem znacznie powszechniejszych telefonów. Na pewno to lekkie dziabnięcie z boku musi być pamiątką po owym Adamowym kęsie jabłka, od którego się wszystko zaczęło, Ameryka jest krajem zbyt przesiąkniętym Biblią – cokolwiek byśmy sądzili o formach tej religijności – żeby taki kształt graficzny został użyty bez choćby śladowej świadomości znaczeń. Jabłek się nie nadgryza bez konsekwencji, dlatego właśnie na wszelki wypadek prawie zawsze je kroję na plasterki albo w bezpieczną, utylitarną kostkę. Kabały nie znam, więc liczba tych kostek jest obojętna dla mojego losu. No więc z pewną wyższością muzealnego Europejczyka myślę sobie, że Jobs i Wozniak wzięli zupełnie bezpłciowe, za to śliczne Granny Smith. Po pierwsze, bo takie są realia tamtejszego rynku owocowego. Po drugie, wynalazki ich firmy bardzo ładnie wygładzają życie, odsysając z niego nieregularny smak i skazy. Bez ostrych kantów, dziur i potknięć. Dlatego za chwilę użytkownicy w Europie (w Stanach już to działa), mający nowoczesny model słuchawek, będą mogli kazać aplikacji tłumaczyć wprost do ucha na żywo to, co ktoś do nich mówi w obcym języku.

Jako przykład „z życia" dla tej nowej usługi możliwej dzięki AI, podaje się turystów dogadujących się z kelnerem w egzotycznej restauracji. Słownictwo związane z jedzeniem



obfituje jak mało które w dziwne idiomy, zbitki, warianty słów i nieostre zakresy znaczeń – zanim się modele porządnie wyćwiczą, może być naprawdę wesoło albo i czasem straszno. Ale się wyćwiczą, jestem ufny i przy okazji czekam, aż powstanie moduł międzykulturowego tłumacza rozbioru tuszy wołowej i wieprzowej. Zostawmy też na boku fakt, że akurat Amerykanie naprawdę mało potrzebują takiego translatora, bo cały świat, jaki zechcą nawiedzać z dolarami, gada już po angielsku. Z wyjątkiem dzielnic latynoskich w ich własnych miastach.

Ale ludzi z innych kultur to wygładzenie komunikacji w żywej, „parterowej" mowie może okraść z ważnego doświadczenia, jakim jest mozolne przeczołgiwanie się przez bariery językowe. Opór, zderzanie się z szybą językową, za którą jakaś twarz coś do nas mówi, próba dookreślania znaczeń przez mowę ciała, gesty – zapewne rozwija mózg, lecz o tym niech piszą neurolingwiści. Ale i bez nich wiem, że rozwija doświadczenie, dodaje smaku, nawet jeśli coś pozostaje zagubione w tłumaczeniu. Nawet jeśli zjadamy tylko kęs lub kilka kęsów z owocu wiadomości. Poza tym, my tu bez aplikacji potrafimy się dogadać i nie będzie obce empajer grzebać nam w szarlotce.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Posthalloweenowe muffinki

Listopad jest wybitnie pokracznym miesiącem w tutejszym kalendarzu kolonialnym. Oto mamy „blek łyks", chociaż w metropolii świętuje się tę marketingową czerń w jeden tylko dzień, piątek po Fenksgiwing. A jeśli zostały wam po Halołyn jakieś dynie – te zwyczajne, czyli o bardziej wodnistym i mniej smacznym miąższu niż odmiana hokkaido, to warto je przerobić na smakowite muffinki. Kiedy pierwszy raz zobaczyłem przepis, myślałem, że to wariant ciasta marchewkowego. Ale okazało się to mieć całkiem osobną godność.

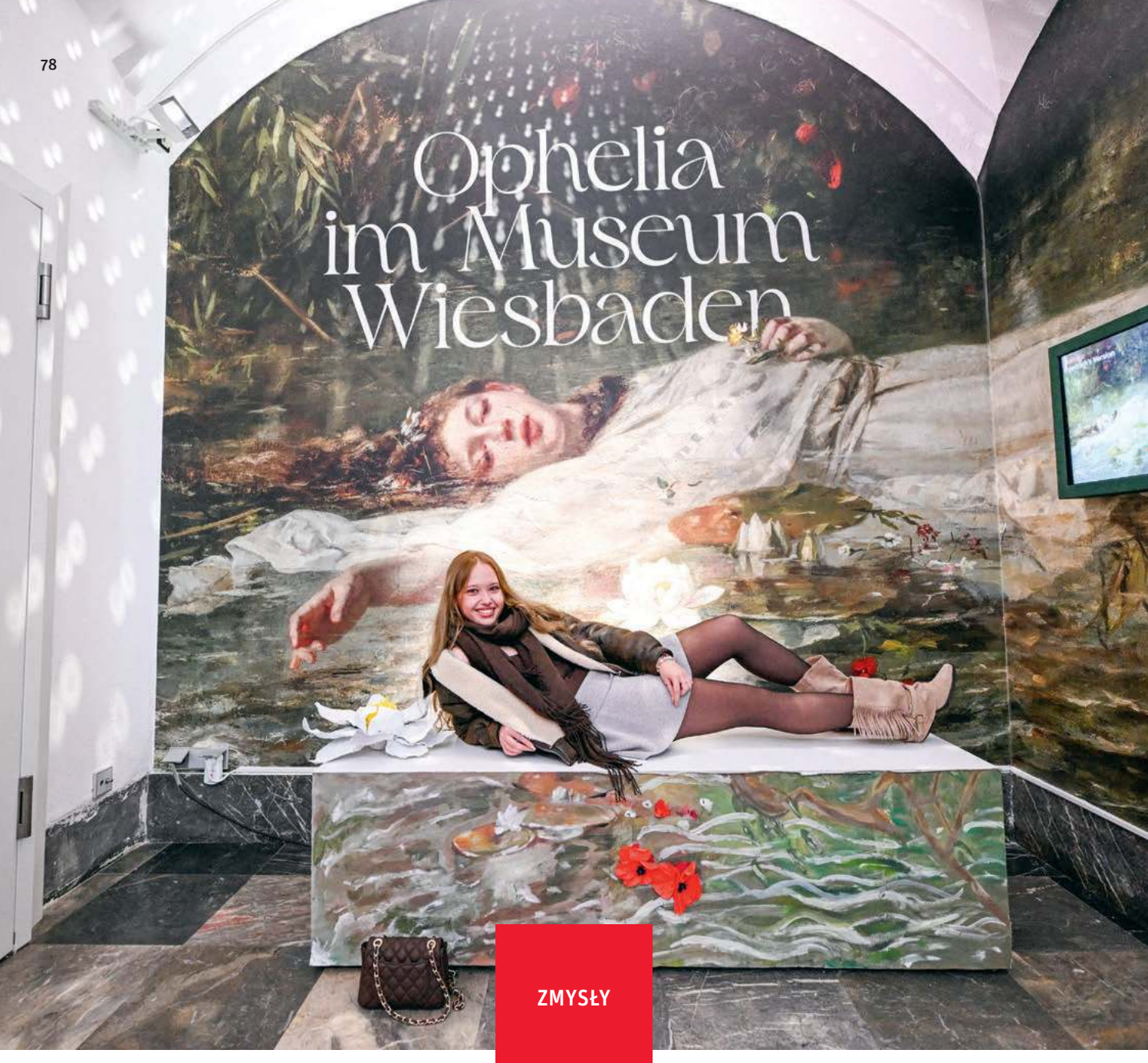
SKŁADNIKI:
230 g miąższu z dyni 2 jajka 150 g cukru trzcinowego 150 g oleju roślinnego 200 g białej mąki 1,5 łyżeczki proszku do pieczenia 0,5 łyżeczki sody ▪ kapka ekstraktu waniliowego ▪ mielony cynamon ▪ imbir ▪ gałka muszkatołowa ▪ skórka z pomarańczy

Na syrop:
50 g cukru pudru ▪ sok z 1 pomarańczy

Ubijamy w dużej misce jajka, olej, cukier plus wanilię na puszystą masę. W drugiej misce łączymy składniki suche oraz przyprawy. Przesypujemy je do miski z mokrymi, po czym łączymy wszystko łyżką, szybko, bez długiego wyrabiania. Dodajemy dynię startą na drobnej tarce i skórkę pomarańczową, delikatnie mieszamy. Przekładamy masę do papilotek (powinno starczyć na 12) i wkładamy je do formy na muffinki. Wstawiamy do pieca nagrzanego do 180 stopni i pieczemy nieco ponad kwadrans – sprawdzając patyczkiem, czy w środku muffinka jest sucha. Możemy też całą masę przelać do tortownicy o średnicy 24 cm – z tym że wtedy trzeba piec dłużej, co najmniej pół godziny.
Po wystudzeniu robimy w powierzchni kilka dziurek i wlewamy łyżeczką syrop uzyskany z zagotowania soku z cukrem. Można też posmarować serkiem mascarpone ukręconym z niewielką ilością cukru i kropelką rumu. ©℗



OLGA ROMANKOVA / ADOBE STOCK



ZMYSŁY

OFELIA Z ROLKI

Niedługo po premierze najnowszego hitu Taylor Swift dyrektor niemieckiego Museum Wiesbaden kazał przenieść „Ophelię" Friedricha Heysera z kolekcji sztuki secesyjnej do audytorium. Tam będzie miała lepsze światło i więcej miejsca. No i wygodniej będzie przed nią nagrywać TikToki.

KATARZYNA KARPIŃSKA



KATARZYNA KARPIŃSKA

Fanki przed obrazem „Ophelia" Friedricha Heysera, Museum Wiesbaden, 2 listopada 2025 r.

KIRILL KUDRYAVTSEV / AFP / EAST NEWS

Muzealny porządek w stolicy niemieckiego kraju związkowego Hesji-Wiesbaden zachwiany został 3 października 2025 r. Tego dnia Taylor Swift opublikowała teledysk do piosenki „The Fate of Ophelia" z albumu „The Life of a Showgirl". W pierwszej scenie wideo piosenkarka ubrana w białą, zwiewną sukienkę leży w wodzie, otoczona rzecznymi zaroślami. Czerwone kwiaty komponują się z kolorem jej ust. Ponurą kolorystykę rozprasza jedynie złocisty blond jej włosów. Kadr niczym z obrazu Heysera.

Pielgrzymki Swifties

Najpierw pracownicy muzeum zaczęli tonąć w prywatnych wiadomościach od rodziny i przyjaciół: „Hej, Taylor Swift wygląda jak wasza Ofelia". Potem w mailach z prasy, radia i telewizji. Największa fala przyszła w pierwszy weekend października, gdy muzeum zalały Swifties, czyli fanki amerykańskiej wokalistki.

– Zwykle największy ruch mamy, gdy jest brzydka pogoda albo są darmowe wejścia. Jednak czegoś takiego jeszcze nigdy nie doświadczyliśmy – mówi Urszula Szmugiel, bileterka w muzeum. – W sobotę mieliśmy ponad 2000 gości. Niektórzy tylko wpadają, pytają, jak dojść do „Ophelii". Robią zdjęcie i znikają. Choć nie da się tego dobrze oszacować przy takim ruchu. Może niektórzy zostaną i przejdą się po całym muzeum. Bo mamy naprawdę dużo do zaoferowania.

Na powierzchni 7400 metrów kwadratowych można zobaczyć słonia afrykańskiego wielkości 1:1, średniowieczne figury sakralne, instalację „Czerwony wagon" nawiązującą do czasów socjalizmu, szczątki kręgowców lądowych sprzed 20 milionów lat, plakaty kobiece z XIX wieku, 1000 rodzajów próbek piasku, niebieskie jeansy Josepha Beuysa z dwoma zaschniętymi rybami na poziomie kolan, witraże, kości syreny morskiej i meble secesyjne. Do pełni szczęścia w muzeum brakuje tylko Taylor Swift. Ale tym problemem zajmą się władze Hesji. 28 października 2025 r. Timon Gremmels, minister departamentu nauki, badań, sztuki i kultury landu Hessen, wysłał oficjalne zaproszenie do amerykańskiej piosenkarki. Przeczytane, nieodpisane.

Krąg inspiracji

Przed obrazem Heysera ochrona postawiła barierki, żeby zapobiec ewentualnemu zniszczeniu dzieła. Zawisły na nich ręcznie robione, koralikowe bransoletki przyjaźni, którymi Swifties wymieniają się między sobą. Obowiązkowy element w biżuterii: tytuł lub fraza jednej z piosenek.

Kustosz sztuki secesyjnej dr Peter Forster nosi taką, z napisem „Bad Blood", od połowy października. Dostał ją od fanki. – Ja w ich wieku uwielbiałem zespół The Clash. Byłem członkiem fanclubu. Jak ma się idola, który coś dla ciebie znaczy, i do tego niesie jakieś wyższe przesłanie, to celebrowanie tego zachwytu z innymi jest na wagę złota. Totalnie rozumiem, dlaczego te dziewczyny tak za nią szaleją. Jakbym był młodszy, może też byłbym Swiftie. Zawsze miałem skłonności do fandomów.

Friedrich Heyser stworzył swój obraz około 1900 r. w Dreźnie, wzorując się na Ofelii brytyjskiego malarza Johna Everetta Millaisa, który bohaterkę utworu Szekspira namalował w 1852 roku. I pozostał wierny tamtym czasom i interpretacjom, przedstawiając umierającą w wodzie kobietę jako *femme fragile* – piękną, delikatną, kruchą, bezbronną i podporządkowaną męskiej władzy kobietę. Ułożoną w łagodnej pozie w stylu „*draw me like one of your French girls*".

Jedną rękę Ofelia trzyma na sercu, drugą ma ułożoną ponad głową. Heyser otacza ją symbolicznymi ornamentami: liście wierzby przy prawej krawędzi ukazują niespełnioną miłość, księżyc – śmierć, stokrotki – niewinność, lilie wodne – dziewictwo, żółty jaskier trzymany w dłoni sugeruje ↦

↦ niewdzięczność i dziecięcą naiwność, a biała suknia – czystość. Samobójstwo pasywne. Ofelia nie walczy. Jako wyidealizowany przez mężczyzn obraz kobiecego piękna poddaje się wodzie. Tym samym uderza swoim uzasadnionym gniewem nie w świat zewnętrzny, a samą siebie.

I teraz – 125 lat później – wchodzi w tę opowieść Taylor Swift. A właściwie wychodzi z obrazu i mówi „*I swore my loyality to me, myself and I*". W tłumaczeniu: Przysięgam lojalność sobie i tylko sobie.

Produkt niezgodny z opisem

– Nie pierwszy raz Taylor majstruje przy dotychczasowych znaczeniach historycznych dzieł sztuki i kultury – mówi profesor kulturoznawstwa Jörn Glasenapp z Uniwersytetu w Bamberg, autor książki „Taylor Swift – wszystko o kolorowym, błyszczącym świecie Taylor i globalnym fenomenie popu". – W 2008 roku wydała piosenkę „Love Story", w której również nawiązuje do Szekspira, tym razem do Romea i Julii. W utworze i teledysku przedstawia siebie jako nowoczesną Juliet, która w anturażu klasycznego amerykańskiego *high school* walczy wraz ze swoim ukochanym Romeo o ich prawo do miłości. Swift to poetka, artystka, czytelniczka literatury klasycznej i feministka. Tyle że nową płytą „The Life of a Showgirl" nadszarpnęła swoje dobre miano przodowniczki feminizmu – dodaje Glasenapp.

We wcześniejszych albumach Taylor Swift często nawiązywała do podwójnych standardów płciowych.

– W teledysku do piosenki „The Man" z 2020 roku przebrana za mężczyznę ironizuje z seksizmu. W albumie „The Tortured Poets Department" rozlicza swoje byłe związki i mierzy się z rozczarowaniem i stratą. Teraz, szczęśliwie zaręczona z amerykańskim futbolistą Travisem Kelcem, zmienia narrację na bardziej tradycjonalną. W „The Fate of Ophelia" pozycjonuje się jako liryczne ja, które dzięki uwalniającej miłości odkrywa w sobie siłę do walki o swój los – kontynuuje Glasenapp.

– Czyli „nowa" Taylor uważa, że kobieta potrzebuje jednak bohatera, który wyciągnie ją z opresji, nawet jeśli to ów bohater jest przyczyną problemu? – pytam kulturoznawcę.

– Swift zawsze zostawia w tekstach piosenek dużo przestrzeni na własną interpretację. Niektórzy mówią, że „The Fate of Ophelia" to hołd dla jej fanów. Dzięki ogromnemu sukcesowi jej ostatniej trasy koncertowej „The Eras Tour" mogła odkupić prawa do oryginalnych nagrań studyjnych swoich pierwszych sześciu albumów, co zwróciło jej moc i kontrolę nad własną twórczością. Z drugiej strony, nie można zaprzeczyć, że najnowszy album pisała będąc już w związku z Kelcem i moim zdaniem mocno to wybija. Zwłaszcza w teledysku do „Ophelii" pełno jest tak zwanych „*easter eggs*", czyli ukrytych elementów wizualnych o specjalnym znaczeniu. Już w pierwszym kadrze widzimy na drugim planie po lewej stronie pod schodami plakat z Swift i wielkim hasłem „Wood". To tytuł piosenki z nowego albumu, która cała jest o jej narzeczonym. W scenie, w której artystka przebrana jest za Marylin Monroe, na lustrze zawieszonym za grupą tancerek przyczepione jest czarno-białe zdjęcie Travisa. Przed sceną końcową Swift łapie piłkę futbolową, po czym przechodzi przez drzwi z numerem 87, czyli takim, jaki Kelce nosi na koszulce swojej drużyny.



KATARZYNA KARPIŃSKA x2

– Czyli Taylor wchodzi choć trochę w klasyczną rolę Ofelii? Tę z „Hamleta"? – stawiam kolejne pytanie.

– Na pewno z niej czerpie, ale też tworzy ją na nowo, i to zasługuje na docenienie. Zastanawiam się tylko, dlaczego wybrała właśnie ją. U samego Szekspira mamy dużo innych postaci, które moim zdaniem lepiej odwzorowują kobiecą siłę i feminizm. Choćby Lady Makbet, Viola z „Wieczoru Trzech Króli" czy Portia z „Kupca weneckiego". Ale może trzyma je na specjalną okazje? – pyta retorycznie Glasenapp.

Sukces napędza zmiany

Piosenka „Fate of Ophelia" Swift bije wszystkie możliwe rekordy. W dniu premiery utwór odtworzony został na Spotify 25,5 milionów razy. W pierwszym tygodniu osiągnął wyniki, do których nie dotarł nikt inny: 128,9 milionów odtworzeń na tej platformie. Na liście Billboard Hot 100 utrzymuje się na pierwszym miejscu już piąty tydzień.

Taki sukces dużo zmienia i w wielkim świecie muzyki, i w niewielkim muzeum zachodnich Niemiec. W muzealnej kawiarni do menu dodano pozycję „Ophelia by Taylor Swift", a w niej „French Blonde Mocktail": sok grejpfrutowy, lemoniada cytrynowa, syrop z kwiatów czarnego bzu, mięta i lód (6,50 euro) oraz „Pink Latte" – kawa latte z różową posypką (4,50 euro).

Dużo więcej zmian Taylor wprowadziła w działach marketingu i prasowym. W muzealnym wokabularzu, gromadzącym takie słowa jak *ekspozycja*, *podobrazie* czy *światłocień*, pracownicy z dnia na dzień musieli znaleźć miejsce na *hype*, *merch* i *viral*. Taka okazja zdarza się pewnie raz w życiu.

Najlepszy prezent na świecie

Raz w życiu zdarzają się też 200. urodziny, które muzeum w Wiesbaden obchodzi właśnie w tym roku.

– Lepszego prezentu nie mógłbym sobie wymyślić – mówi dyrektor Andreas Henning. – Życzę każdemu muzeum takiej akcji. Co prawda ten fejm spadł na nas jak grom z jasnego nieba i musieliśmy zmienić cały nasz harmonogram pracy, ale wiedzieliśmy, że będzie warto. Po pierwszym tygodniu od premiery



Dziewczyny nie ukrywają, że do muzeum przyjechały dla Taylor Swift, a nie dla sztuki. Czy planują przeczytać „Hamleta”? Annika obiecała sobie, że obejrzy musical. Lara miała „Hamleta” na angielskim i to jej starczy. – A nie – prostuje – to był jednak „Makbet”!

Od lewej: dyrektor Museum Wiesbaden Andreas Henning.

Kustosz sztuki secesyjnej dr Peter Forster. Museum Wiesbaden, 2 listopada 2025 r.

piosenki powiedziałem mojemu zespołowi, że musimy znaleźć dla Ofelii nowe miejsce. Takie dzieło nie może teraz stać w kącie. Poza tym przed obrazem nie było za dużo miejsce dla fanek Swift. Dziewczyny robiły sobie sesje zdjęciowe, tańczyły choreografie z teledysku, nagrywały TikToki – to było dla wszystkich zbyt niebezpieczne. A co, jakby któraś się potknęła i spadła na obraz?

Muzeum postanowiło zorganizować dla Swifities specjalny *event*. Bilety rozeszły się w ciągu pierwszej godziny – popyt prawie jak na koncert gwiazdy. Głównym punktem wydarzenia, które miało miejsce w niedzielę, 2 listopada, w muzealnym audytorium, był wykład i analiza porównawcza dzieła Haysera oraz teledysku „The Fate of Ophelia”. Ponadto fanki miały możliwość zatańczenia choreografii przed obrazem, powyplatać wspólnie bransoletki przyjaźni i zajrzeć do specjalnie przygotowanego „kącika selfie”, gdzie można było zrobić sobie zdjęcie w pozie z obrazu – z obrazem w tle.

Jesteśmy tu dla Ofelii! Ale dla której?

Annika, Emma, Lara i Charlotte śpiewały najgłośniej i tańczyły z największą charyzmą. Nastolatki do Wiesbaden przyjechały z nieodległej Koblencji i Bad Kreuznach. Emma słucha Swift od piątej klasy. I właściwie tylko jej: – Taylor była zawsze przy mnie, w każdej złej i dobrej sytuacji, jest dla mnie takim *safe space*.

Annikę fascynuje w artystce jej siła: – W filmie dokumentalnym „Miss America” Swift mówiła, że czuje, że już jest na końcu swojej kariery, choć miała dopiero 28 lat. Ale mimo to podniosła się jak feniks z popiołu i teraz bije wszystkie możliwe rekordy popularności. Nie poddała się, działała dalej. Do tego stworzyła ogromnie wpierające się *community*, gdzie wszyscy się szanują i są dla siebie mili.

Dziewczyny nie ukrywają, że do muzeum przyjechały dla Taylor Swift, a nie dla sztuki, ale wykład im się podobał. Czy planują przeczytać „Hamleta”? Annika obiecała sobie, że obejrzy musical. Lara miała „Hamleta” na angielskim i to jej starczy. – A nie – prostuje – to był jednak „Makbet”!

Nicole Sewell na wydarzenie w muzeum przygotowała specjalną stylizację: białą sukienkę w stylu boho, na szyi wisiorek z wężem nawiązującym do albumu „Reputation”, w długie, rude włosy wplotła kolorowe kwiaty. W przyszłym roku Nicole będzie obchodzić sześćdziesiąte urodziny. Pochodzi z Sacramento w Kalifornii, do Niemiec przeprowadziła się 11 lat temu. Fanką Swift jest od początku jej kariery – od czasów muzyki country. Ceni ją za poetyckość tekstów, elokwencję i przykładanie dużej wagi do szczegółów. Piosenka „The Fate of Ophelia” to dla niej *perfect match*, bo Szekspir jest jej ulubionym pisarzem. Gdyby mogła wrócić teraz do Stanów, to od razu zapisałaby się na kurs na Harvardzie: „*English 183ts. Taylor Swift and Her World*”. Ale jej mąż ma pracę w Niemczech i na razie zostanie z nim.

Fejm odejdzie, tusz wyblaknie

Przypadkowa sława, która na początku października spadła na muzeum w Wiesbaden, to sukces wizerunkowy, ale też ekonomiczny. Swifties pytały w sklepiku muzealnym o „merch z Ophelią”. Kasjerki nie widziały, co to *merch*. Dziś już wiedzą, że chodzi o produkty sygnowane przez artystę, które można kupić na koncertach: odzież, gadżety, plakaty. W muzeum w Wiesbaden nie odbył się żaden koncert, a jednak zapotrzebowanie na *merch* było ogromne. – Swifties chciały coś z tej wizyty w muzeum zabrać ze sobą. I ja to rozumiem – mówi dyrektor Hennig. I dodaje: – Nasz team marketingowy stanął na rzęsach, żeby zaprojektować i wyprodukować nowe gadżety. Dostępne są białe i czarne T-shirty, plakaty i kartki pocztowe. Magnesy jeszcze nie dojechały.

Muzealna bileterka Urszula pochodzi z Głuchołaz. W Opolu kończyła szkołę plastyczną, do Niemiec przeprowadziła się 39 lat temu – za miłością. Kryzys pandemiczny zmusił ją do znalezienia pracy na etat, ale swojego małego studia w Moguncji nie zamknęła. Okazjonalnie prowadzi tam kursy malowania farbami akrylowymi. Poza tym dużo tworzy sama: obrazy, biżuterię i nadruki na tekstyliach. O muzealnych gadżetach nie ma dobrej opinii. – To nie jest nawet sitodruk. Drukują Ofelię na folii i przyklejają na T-shirt. Szybko się zmyje. Tak jak Swifties z naszego muzeum.

© KATARZYNA KARPIŃSKA

TOMASZ

Stawiszyński: *Święta księga epoki obrazkowej*



Kiedy niedawno natknąłem się w „Independencie" na artykuł „Generacja Z ma obsesję na punkcie »Oczu szeroko zamkniętych«", moje spiskowe serce od razu mocniej zabiło. Okazuje się bowiem, że po 26 latach od premiery ostatnie dzieło Stanleya Kubricka przeżywa coś na kształt drugiej młodości. Co ciekawe, fascynują się nim głównie przedstawiciele pokolenia dzisiejszych nasto- i dwudziestolatków, którzy traktują je jak wiarygodne źródło wiedzy o świecie. A w szczególności – o tego świata niewidocznej na pierwszy rzut oka podszewce, starannie ukrywanej przez wszechmocne tajne stowarzyszenia. Czyli ludzi ekstremalnie bogatych i wpływowych, których uosobieniem i symbolem jest oczywiście Jeffrey Epstein.

Że ów film można odbierać w ten sposób – to mnie nie zaskoczyło, podobnie jak, mam nadzieję, tych z Państwa, którzy regularnie czytują moje felietony. Kilka lat temu, w tekście „Spiskowa żarliwość", pisałem wszak o „Oczach szeroko zamkniętych", przywołując postać niejakiego Kentroversy'ego, czyli Kenta Daniela Bentkowskiego, zmarłego w 2009 r. niestrudzonego badacza wszelkich możliwych konspiracji, przede wszystkim zaś autora szaleńczo szczegółowej analizy (dostępnej wciąż na stronie Kentroversypapers.blogspot.com), z której jednoznacznie wynika, że rzeczony film jest rozległą ekspozycją tajemnic rządzącego nami Zakonu Iluminatów. Właśnie dlatego, że Kubrick ich sekrety ujawnił, miał za karę zginąć: wedle Kentroversy'ego, reżyser nie umarł na serce, lecz został rytualnie zamordowany, czego dowodzi okoliczność, że zgon nastąpił 7 marca 1999, a zatem dokładnie 666 dni przed 1 stycznia 2001, czyli datą wpisaną w jego najsłynniejszy film „2001: Odyseja kosmiczna". Iluminaci, wiadomo, lubią dawać takie znaki, a kto ma oczy, ten je widzi i potrafi zinterpretować.

Dobrze pamiętam, jak lekceważąco traktowano tego typu zjawiska 15-20 lat temu. Dobrze pamiętam również, jak powoływano się przy tym na statystyki, które wskazywały, że teorie spiskowe to zjawisko z pogranicza błędu pomiarowego. Cóż, dziś myślenie spiskowe jest w rozkwicie. Nie tylko w swoich nominalnych, dosłownych przejawach, ale także tam, gdzie występuje w masce politycznej polaryzacji, nieufności wobec instytucji oraz „oficjalnych narracji".

Skąd ten rozkwit? Przykład drugiej młodości „Oczu szeroko zamkniętych" dostarcza wielu intrygujących obserwacji. Film ten traktowany bywa przez młodych wielbicieli nie tylko jako krynica sensu, ale także zbiór oszałamiających trafnością przepowiedni. Przyznaję: trudno otrząsnąć się z wrażenia, że Victor Ziegler, postać kreowana przez Sydneya Pollacka, do złudzenia przypomina Epsteina. Skądinąd Pollack, grając Zieglera, miał tyle lat, ile Epstein, kiedy został aresztowany. Przypadek? Być może, ale w takich uniwersach nie istnieją przypadki, lecz jedynie znaczące koincydencje i ścisłe wynikania. I właśnie dlatego, że wszystko się tu ze wszystkim łączy i ze wszystkiego wynika, da się z tej mozaiki czytać zarówno przeszłość, jak i przyszłość, uzyskiwać odpowiedzi na dowolne pytania, rozwiązywać wybrane zagadki, a co najważniejsze – koić każdy niepokój i niwelować każdą niepewność.

„Oczy szeroko zamknięte" funkcjonują więc na zasadzie wyroczni, wielkiej świętej księgi. Jak przystało na epokę zaniku pisma i dominacji obrazu, jest to księga filmowa, ale być może właśnie przez to jej oddziaływanie wydaje się jeszcze bardziej sugestywne. Zwłaszcza że doskonale rezonuje z powszechnymi obawami i fantazjami, co potwierdza, nawiasem mówiąc, że Kubrick był po prostu genialnym artystą, świetnie wychwytującym podskórne trendy czy tendencje. Np. rosnące poczucie braku sprawstwa; pogłębiające się przepaście pomiędzy potężnymi elitami a resztą społeczeństwa, która może się ich luksusom co najwyżej przyglądać na instagramowych witrynach; weryfikujące się co i rusz w kolejnych skandalach (Epstein, Weinstein, eksksiążę Andrzej) podejrzenie, że rządzący nami bogacze są amoralni i zepsuci, i że kiedy ich nikt nie widzi, zachowują się w sposób urągający wszelkim zasadom, bo zasady i ograniczenia są wyłącznie dla maluczkich. No i ten dojmujący, przeraźliwy deficyt sensu. To znaczy: brak orientacji, w którą stronę iść; zanik struktury, w ramach której da się planować przyszłość; rozpad symbolicznej formy pozwalającej mierzyć się z doświadczeniami granicznymi – cierpieniem, miłością, śmiercią, stratą.

Cóż, lekcja, jaka z tego płynie, jest prosta, acz wciąż dla wielu niedostrzegalna, niczym knowania iluminatów. Potrzeba sensu jest w nas nieusuwalnie wpisana, a jeśli niedostępne stają się jej konstruktywne źródła, człowiek zaczyna zaspokajać ją gdzie popadnie. Z całym szacunkiem dla Kubricka, świat, w którym to „Oczy szeroko zamknięte" mają stanowić matrycę naszego rozumienia rzeczywistości, zdaje mi się co najmniej niepokojący. Ale najważniejsza okazuje się jeszcze inna, ignorowana nieustannie oczywistość: to, że coś w danym momencie wygląda na marginalne i pozbawione znaczenia, nie znaczy, że za dekadę lub dwie nie zmieni się w dominujący problem.

Należy więc mieć oczy szeroko otwarte. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

REKLAMA



RATUJEMY ŻYCIE LUDZI PODCZAS WOJEN

DZIĘKI TWOJEMU WSPARCIU

Konflikty zbrojne powodują natychmiastowe i długofalowe zagrożenie dla zdrowia i życia ludzi. Odbierają możliwość zaspokojenia nawet najbardziej podstawowych potrzeb, w tym dostępu do opieki medycznej. W Strefie Gazy, Sudanie i innych miejscach, w których ludzie cierpią na skutek wojen, Lekarze bez Granic niosą pomoc medyczną. Dowiedz się więcej i wpłać darowiznę. Dziękujemy!

WWW.LEKARZE-BEZ-GRANIC.PL

REKLAMA

Więcej szczegółów:



20 lat POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ

PISF x MDAG

Kino dokumentalne - nasza miłość!

Listopad 2025 → 2026 Styczeń

Najlepsze polskie filmy dokumentalne wracają do kin!

ORGANIZATORZY: POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ; Millennium DOCS AGAINST GRAVITY FILM FESTIVAL

PATRONI MEDIALNI: TVP; 100 LAT POLSKIEGO RADIA; onet; NOIZZ; ekrany; MINT; FILMWEB

PARTNERZY: stowarzyszenie kin studyjnych; FUNDACJA KINO DOSTĘPNE; PFDKF